U. I. C. C.
NOV 30 1978
LIBRARY

5

TWÓRCZOŚĆ

MAJ 1951 ROK

TWÓRCZOŚĆ

MIESIĘCZNIK

ZWIĄZKU LITERATÓW POLSKICH

ROK VII ZESZYT 5

WARSZAWA MAJ 1951

Okładkę projektował Henryk Tomaszewski
Druk Zakłady Graficzne i Wydawnicze „Dom Słowa Polskiego"
Zamówienie 645 nakład 6.710. 2-B-29182

ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

NARODOWY PLEBISCYT POKOJU

„W imię niepodległości Polski, w imię pokoju między narodami, w obliczu wojennych knowań imperialistów i odbudowy przez nich militaryzmu hitlerowskiego — popieram i podpisuję Apel Światowej Rady Pokoju:

Żądamy zawarcia paktu pokoju między pięciu wielkimi mocarstwami — Związkiem Radzieckim, Stanami Zjednoczonymi, Chińską Republiką Ludową, Wielką Brytanią i Francją.

Gdyby rząd któregokolwiek z wielkich mocarstw odmówił spotkania w celu zawarcia tego paktu, będziemy uważali tę odmowę za dowód napastniczych zamierzeń tego rządu."

Nikt z nas, Polaków, nie uchylił się od wypełnienia narodowego obowiązku. Nikt z nas, Polaków, nie poniżył się do obojętności na los ojczyzny i świata. Miliony podpisów złożonych przez Polaków i Polki pod Apelem Pokoju stanowią dowód naszej siły i dojrzałości politycznej. Pod sztandarem pokoju powiewającym nad naszym krajem cały naród się skupił. W toczonej z imperializmem przez wszystkich uczciwych ludzi świata walce o pokój, Polacy, zajęliśmy pozycje godne naszej rewolucyjnej przeszłości, naszego teraźniejszego wysiłku i naszej wiary w przyszłość. Naród nasz zjednoczony wypowiedział się przeciw kapitalistycznej międzynarodówce przygotowującej nową rzeź ludzkości. Żarliwie, całym sercem naród nasz stanął po słonecznej stronie świata. Razem z narodami jak on świadomymi swoich sił stanął u boku Związku Radzieckiego, którego potęga materialna i moralna strzeże życia milionów istnień ludzkich.

Międzynarodówka kapitału po raz pierwszy spotyka na swojej drodze grabieży i zbrodni przeciwnika, jakiego nigdy jeszcze nie miała. Do walki z nim nie posiada ani środków, ani taktyki. Sidła zależności ekonomicznej, wypróbowane przez faszyzm narzędzia eksterminacji, terror, szantaż moralny, mimo wielkich zniszczeń, które są w stanie spowodować, w ostatecznym rozrachunku są bezskuteczne w tej trwającej obecnie walce o przyszłość świata. Siła międzynarodówki kapitalistycznej zawsze bowiem polegała na materialnej przewadze czyli na bezsilności i ideowym rozbrojeniu przeciwników. Przekupstwem lub groźbą narzucano wolnym narodom reżimy posłuszne dyktatowi dolara. Aktami brutalnej przemocy likwidowano opór niepodległych. Prawem pięści normowano międzynarodowe stosunki.

Obecnie do walki z imperializmem amerykańskim stanęły miliony ludzi, których ani przekupić, ani zastraszyć, ani podbić się nie da.

Przeciwko amerykańskiemu imperializmowi stanęła strona świata, gdzie dolar nie ma żadnej wartości obiegowej. Cóż bowiem można

kupić za dolara w świecie, gdzie stopy życiowej nie mierzy się ilością wypitych butelek coca cola, a ideałów ludzkich — liczbą gangsterskich napadów? Cóż można kupić za dolara w świecie, gdzie miarą wartości jest człowiek, istota w imperialistycznej strefie nieznana?

Przeciwko amerykańskiemu imperializmowi stanęły miliony ludzi wszystkich ras, kultur i narodowości, których nie zastraszy żadna groźba użycia przemocy. Miliony ludzi, którzy wolność swoją tak cenią jak życie, za żadną cenę, nawet za cenę życia, jej się nie wyrzekną. Dla milionów ludzi, którzy niepodległość swoją własną pracą wznieśli z ruin i pożogi, groźba utraty niepodległości jest nie czynnikiem obezwładniającym lecz bodźcem do tym większego, tym bezwzględniejszego wysiłku dla obrony niepodległego życia.

Akt brutalnej przemocy, który miał stać się dla świata ostrzeżeniem przed konsekwencjami oporu wobec panamerykanizmu, stał się natchnieniem ludzkości mobilizującym miliony do walki o pokój aż do ostatecznego zwycięstwa. Korea, tragiczna, wielka, bohaterska Korea stała się drugą ojczyzną wszystkich uczciwych ludzi świata.

Amerykański imperializm wciąż jeszcze miota się opętany swoim mitem o panowaniu nad światem. Wciąż jeszcze śmiertelne niebezpieczeństwo zagraża ludzkości od bankierów Wall Streetu powtarzających bezmyślnie wyuczone role o swojej wszechwładzy. Szaleństwo, zbrodnia i głupota podały sobie ręce na zgubę i nieszczęście milionów ludzi. Ziemia koreańska wciąż krwawi. Co dzień padają obrońcy naszych domów na froncie pod Seulem. A już nowe niebezpieczeństwa nam grożą. Sztab Atlantycki przygotowuje plany inwazji naszego kraju. Zniweczone pod Stalingradem hitlerowskie plany wykonać ma nowa Wehrmacht pod wodzą Eisenhowera.

W obliczu niebezpieczeństwa naród nasz zjednoczył się, tak jak zjednoczyły się wszystkie wolne narody świata. Nie strach jednak jest siłą jednoczącą. Właśnie świadomość siły każe nam domagać się poszanowania naszych ludzkich praw do życia i do wolności. Nie przerażenie przed atomowym mitem, ale poczucie odpowiedzialności za życie milionów ludzi, za nasze życie i życie naszych bliskich dyktuje nam żądanie pod adresem imperialistycznych podpalaczy świata. Zwycięstwo będzie nasze, gdyż niezwyciężone są nasze siły i nasza idea.

Nieprzejednana postawa milionów ludzi uratowała już świat przed imperialistycznym szaleństwem. Apel Sztokholmski powstrzymał ręce zbrodnicze przed użyciem atomowego narzędzia śmierci. Drugi światowy Kongres Pokoju zmusił politykierów Wall Streetu do zrewidowania dotychczasowej taktyki. Obecnie Apel Światowej Rady Pokoju wyraża znów jednomyślną wolę milionów ludzi ratowania świata przed wojną i zagładą.

Apel Światowej Rady Pokoju nie jest protestem tylko, nie jest manifestacją. Jest on politycznym programem, za którym stoi niepodległa i niezwyciężona strona świata.

Na ustawicznie nękające nas pytanie, czy wojna jest nieunikniona, odpowiedzmy słowami Stalina:

„Pokój zostanie utrzymany i utrwalony, jeżeli narody ujmą w swe ręce sprawę utrzymania pokoju i będą broniły jej do końca."

Od nas wszystkich, od nas samych przede wszystkim zależą nasze losy. Od nas samych zależy przyszłość nasza i przyszłość naszej ojczyzny. Żądanie zawarcia pokoju musimy poprzeć wysiłkiem wzmagającym nasze poczucie siły. Podpis złożony pod Apelem Pokoju zobowiązuje każdego z nas do służby najwznioślejszej i najsłuszniejszej sprawie świata. Podpisując Apel Pokoju zobowiązaliśmy się ofiarnie służyć sprawie życia naszego narodu.

Z naszej walki o pokój powstaną nowe domy, nowe miasta, nowe fabryki, nowe dzieła kultury.

Z naszej walki o pokój wzniesie się potęga materialna i duchowa naszego narodu.

Z naszej walki o pokój nowy człowiek się narodzi.

Nasze będzie zwycięstwo, bo z nami jest siła i idea słonecznej strony świata.

Zbigniew Bieńkowski

LEOPOLD INFELD

DROGI I BEZDROŻA NAUKI

Rok dobiega od czasu jak opuściłem Zachód i przeniosłem się do Polski. Zaczynam już — tak mi się wydaje — rozumieć naszą rzeczywistość polską. To nie jest rzeczą łatwą. Bo życie tutaj jest zupełnie inne od tego, do którego przyzwyczaiłem się w Europie w czasach przedwojennych oraz w Ameryce i w Kanadzie, w której lat dwanaście spędziłem. Ale czas, aby zrobić obrachunek, porównać życie naukowca tam i tutaj.

Mam wielu kolegów na Zachodzie. Niektórzy z nich to postępowcy, z którymi i dzisiaj łączą mnie więzy przyjaźni. Inni znowu to uczciwi ludzie, ogłupieni natrętną propagandą wojenną. Jeszcze inni — to złośliwcy, których serca zatrute są beznadziejną nienawiścią.

Nie wierzę, by dzisiaj uczony mógł być obiektywny. Wiem, że tego obiektywizmu nie posiadam. Od powstania Polski Ludowej żyłem pod działaniem tej siły przyciągania, którą mój kraj rodzinny na mnie wywierał. Dlatego też powróciłem do Polski. Zachód psuje ludzi komfortem zewnętrznym. Powoli wyrasta przekonanie, że lodówki, auta — to rzeczy arcyważne. I powoli rozwija się proces, w wyniku którego naukowiec sprzedaje się za elektryczną maszynkę do golenia i za wieczne pióro. To brzmi trywialnie, gdy się tak napisze, ale tak jest naprawdę. I tej prawdzie trzeba spojrzeć w oczy. Na ogół jest to proces powolny, jak proces chudnięcia lub tycia i dostrzega go się dopiero wtedy, gdy już nic nie można na to poradzić. Okoliczności zewnętrzne pomogły mi ten proces zobaczyć z bliska i jestem im wdzięczny za to.

Zależy mi szczególnie na tym, ażeby moi koledzy tutaj te słowa czytali. W wielu rozmowach spotkałem się z niezwykłą nieznajomością tego, co się dzieje na Zachodzie. Wielu spośród nas — naukowców — spędziło lata studiów wyższych na Zachodzie. Tęsknota za tym Zachodem jest połączona jak zawsze w takich wypadkach z tęsknotą za minioną młodością. Poza tym ludzie wyobrażają sobie, że teraz na Zachodzie jest mniej więcej tak, jak to było wówczas. Dopiero w ostatnim roku można zauważyć pewne otrzeźwienie. To, co się dzieje w sferach rządzących Ameryki, i to, czym amerykańska „kultura" popisała się w Korei, zaczyna nas napawać wstrętem i pogardą. Ale ziarna, z których wyrosły okrucieństwa w Korei, zdeprawowanie ONZ, deptanie praw człowieka — te ziarna zasiane były już dawniej. Istotnie, w historii Stanów Zjednoczonych mamy tradycje zdrady i zaprzaństwa obok tradycji walki o wolność i postęp. Dzisiaj we wzmożonej formie wychodzą na powierzchnię chwasty zasiane przez lata reakcji i wyzysku.

A co sądzi o nas Zachód? Dam tylko jeden przykład. Kiedy w roku 1949 wybierałem się do Polski na czas krótki, jeden z moich kolegów uniwersyteckich w Toronto powiedział mi: „Przecież jak pan pojedzie za żelaną kurtynę, to oni pana stamtąd nie wypuszczą". A kiedy po-

jechałem, wróciłem i starałem się opowiadać o moich wrażeniach, nikt z wyjątkiem zdecydowanych lewicowców nie chciał słuchać tego, co miałem do powiedzenia. Wyobrażałem sobie w swojej naiwności, że będę proszony przez wiele organizacji o opowiedzenie tego, co w Polsce i w Europie widziałem. Nikt nie był ciekawy. Nikt, dosłownie nikt — z wyjątkiem moich radykalnych przyjaciół — nie pytał mnie o mój pobyt w Polsce, a kiedy sam zacząłem opowiadać, zmieniano temat. Tak to było wśród naukowców — ludzi, którzy powinni być pierwsi w poszukiwaniu prawdy, dla których ciekawość poznania powinna być jednym z głównych źródeł pracy naukowej. Istotnie, moje kłopoty osobiste zaczęły się wówczas, gdy nie mogąc o Polsce mówić, zacząłem o niej pisać. Gdybym im tam w Kanadzie lub w Ameryce powiedział, że tutaj w Polsce każdy pracuje nad tematem mu zadanym, że je czarny chleb tylko i że go z uniwersytetu do domu i z powrotem odprowadza policja, to na pewno wielu z moich kolegów uwierzyłoby. Więcej, to są wiadomości, które oni pragną słyszeć, na które czekają.

Krótko mówiąc uczeni nasi ciągle jeszcze idealizują to, co się dzieje na Zachodzie, a koledzy moi na Zachodzie nie wyobrażają sobie, że tutaj ludzie się śmieją, że pracy jest dużo, ale jest to praca dająca wiele radości i satysfakcji, często niestety zakłócanej przez tępą biurokrację. Na pewno nie wyobrażają oni sobie, że tę tępą biurokrację wolno krytykować.

Twierdzę z całym poczuciem odpowiedzialności, na jaką mnie stać, że my naukowcy w Polsce żyjemy w wielkiej swobodzie, w porównaniu z naszymi kolegami na Zachodzie. Aby nie być gołosłownym, muszę powiedzieć kilka słów o różnicy pomiędzy hierarchią uniwersytecką u nas i w Ameryce. Tutaj rektorem jest jeden z nas, jest on pierwszym pomiędzy równymi sobie. Dzisiejszy rektor może już za rok, dwa być tylko profesorem, a inny z jego kolegów zajmie jego miejsce. Władza rektora jest ograniczona przez Radę Wydziałową, senat, ministerstwo.

W Ameryce odpowiednikiem rektora jest prezydent uniwersytetu. Mianowany on jest na czas nieograniczony przez Radę Nadzorczą uniwersytetu. Tylko w rzadkich wypadkach jest on naukowcem. W Nowym Yorku jest Columbia University — jeden z największych uniwersytetów Ameryki. Jej prezydentem był Eisenhower. W wielu innych uniwersytetach prezydentami są generałowie, przemysłowcy, dyrektorzy banków, politycy, głównie ci, którym kariera polityczna niezupełnie się udała. Np. Stassen — jeden z kandydatów na prezydenta Stanów Zjednoczonych partii republikańskiej został prezydentem jednego z uniwersytetów, gdy jego kandydatura na prezydenta Stanów Zjednoczonych upadła.

Taki prezydent uniwersytetu ma niemal władzę życia i śmierci nad profesorami. On to mianuje profesorów, wypowiada im posady, gdy okazuje się, że poglądy ich są zbyt liberalne. Władza jego jest niczym nieograniczona. Pensje profesorskie są indywidualne i zależne od woli prezydenta. A więc praworządność polityczna jest wynagradzana amerykańskimi dolarami, awans dla postępowych profesorów jest bez porównania trudniejszy.

W dziedzinie administracji jest rada nadzorcza, która czuwa nad sprawami uniwersytetu i która znowu w dużej części składa się z bussinesmanów, przemysłowców, generałów. Ona to wybiera i mianuje prezydenta, który z kolei angażuje profesorów. Ta rada nadzorcza decyduje też o nadawaniu doktoratów honorowych.

Niedawno podczas pamiętnego Kongresu Warszawskiego uczestniczyłem w prostej i pięknej uroczystości wręczenia doktoratu honorowego profesorowi Joliot. Przemówienie pełne powagi wygłosił profesor Pieńkowski, a odpowiedź profesora Joliot o obowiązkach naukowca postępowego była skromna, mądra i piękna.

Jacy ludzie otrzymują doktoraty honorowe w Ameryce? W Yale w jednym z najpoważniejszych uniwersytetów Ameryki, doktorat honorowy otrzymał generał Clay, którego główną zasługą naukową był udział w stworzeniu neohitleryzmu w Niemczech. W New York University doktorat honorowy otrzymał J. Edgar Hoover — szef osławionej F. B. I., która Amerykę zmieniła w państwo policyjne. Nawet w Toronto, w najlepszym i największym uniwersytecie kanadyjskim, doktorat honorowy otrzymał Mc. Cullough — człowiek bez wykształcenia, wydawca największej reakcyjnej gazety w Kanadzie, który sam jest członkiem rady nadzorczej uniwersytetu, przyznającej doktoraty honorowe.

Na ogół oczekuje się od doktorantów honorowych złożenia większej sumy na uniwersytet. Jeden z moich kolegów w Toronto powiedział zupełnie poważnie, że należałoby doktoraty honorowe sprzedawać za cenę 100 tysięcy dolarów. To byłaby znacznie prostsza i uczciwsza procedura.

Rozpisuje się tak o uniwersytetach w Ameryce, bo wydaje mi się ważne, aby moi koledzy zdali sobie sprawę z różnicy pomiędzy stosunkami akademickimi u nas i w Ameryce. U nas dziekanem jest jeden z kolegów. Ostatnie posunięcia naszego Ministerstwa, które do urzędu dziekanatu dopuszczają młodych ludzi, wydają mi się bardzo trafne. W Ameryce dziekan również mianowany jest na całe życie, a głównym kryterium jest charakter. Wiele anegdot krąży na temat warunków, jakie musi spełniać kandydat na dziekana. Takim warunkiem nieodzownym jest to, aby krótko trzymał profesorów i ażeby wysługiwał się prezydentowi i radzie nadzorczej. Cała hierarchia i organizacja uniwersytetu w Stanach Zjednoczonych wzorowana jest na wielkich kapitalistycznych przedsiębiorstwach przemysłowych. Profesor pracuje dla uniwersytetu, ale uniwersytet nie należy do niego. Najważniejszą rzeczą są gmachy, stadiony, drużyna footbalowa, a profesor na uniwersytecie znaczy niewiele.

To, co tutaj napisałem, powiedziałem w jeszcze ostrzejszej formie podczas mego przemówienia bankietowego na zjeździe naukowców w Vancouver w roku 1949. Był stenograf, który moją mowę stenografował i mowa ta miała się ukazać w książce poświęconej temu zjazdowi. Dziwnym zbiegiem okoliczności ten stenogram zaginął jakoś. To, co powiedziałem wówczas, spotkało się z żywym oddźwiękiem wśród młodych

moich kolegów, ale dziekan i prezydent nigdy mi tej mowy nie wybaczyli.

Oczywiście powody tego stanu rzeczy leżą głębiej. W Ameryce nie ceni się stanu profesorskiego, nie ceni się nauki. Przytoczę tutaj jeden dowcip, który trafnie charakteryzuje stosunek społeczeństwa amerykańskiego do stanu profesorskiego.

Booker T. Washington, murzyn, był wielkim nauczycielem swego uciśnionego ludu. Miał on „menagera", który mu organizował odczyty i który oczywiście na tym zarabiał. Ktoś zapytał tego „menagera", jak on się zwraca do Booker T. Washingtona, czy nazywa go „Mister"? Biały menager odpowiedział: „chyba nie będę mówił „Mister" do murzyna, po prostu mówię: „Jak się masz, profesorze?".

Nieustanny ucisk polityczny, finansowy, socjalny zwraca naukowców coraz bardziej w kierunku propagandy i pracy wojennej. Tylko nieliczni mogą się oprzeć temu naciskowi.

Nacisk polityczny polega na tym, że ktoś, kto jest przekonań liberalnych (nie mówię oczywiście o komunistach, których wyrzuca się z posad bez większych ceregieli) jest narażony na utratę posady lub na znacznie opóźniony awans. A ktoś, kto raz straci posadę w jednym uniwersytecie, nie ma szans uzyskania jej w innym. Jeden z moich przyjaciół w Kanadzie po ostatnim swoim wykładzie powiedział do swoich studentów ostatniego roku kilka krytycznych uwag o planie Marshalla. Wypowiedziano mu posadę i nigdzie w Ameryce posady drugiej nie otrzymał. I to po 20 latach pracy w charakterze dyrektora instytutu naukowego.

Ilość uniwersytetów, które bronią się przed tym terrorem politycznym (a trzeba przyznać, że są i takie) zmniejsza się nieustannie. Do najlepszych pod tym względem należała jeszcze rok temu słynna szkoła technologiczna w Bostonie (M. I. T.) i uniwersytet w Chicago. Ale jeżeli uniwersytet się broni, to wtedy zaczyna się nagonka nie przeciwko poszczególnym profesorom, ale przeciwko całemu uniwersytetowi.

Profesorowie w uniwersytetach zachodnich mówią na swoich zebraniach towarzyskich trochę o nauce, trochę o kinie, książkach, o swoich kolegach, ale nigdy o sprawach politycznych. To jest wielce niebezpieczne. Nawet milczenie staje się coraz bardziej niebezpieczne. Trzeba głośno deklarować swoją nienawiść do komunizmu i powtarzać te same wytarte kłamstwa o Sowietach. Ileż razy je słyszałem! Ileż razy widziałem jak pod wpływem tych kłamstw i oszczerstw liberałowie wycofywali się ze swych pozycji. Ci, którzy podczas wojny należeli do towarzystwa przyjaźni sowiecko-amerykańskiej, zacierali ślady przez namiętne oskarżanie Sowietów. Trzeba się zakłamywać, a ceną tego ciągłego kłamstwa jest utrata szacunku do samego siebie. Widziałem setki razy tę smutną ewolucję dawnych liberałów. Sądzili oni, że ocalą swoją dawną radykalną opinię przez wycofywanie się z pozycji, których bronili. Ale zawsze ci ex-liberałowie zmuszani są do dalszego wycofywania się, bo nacisk jest coraz większy. I tak Henry Wallace skończył smutno swoją karierę postępowca usprawiedliwieniem agresji amerykańskiej w Ko-

rei. Niewielu zrozumiało, że jedynym wyjściem jest stać twardo na raz obranym gruncie. Dzisiaj już każdy, kto jest na lewo od Ludwika XIV, kto aktywnie nie poświęca sporo czasu szkalowaniu komunizmu, jest uważany za niebezpiecznego i podejrzanego politycznie.

Poza tym uciskiem politycznym jest też ucisk finansowy, który coraz bardziej pcha ludzi w kierunku pracy wojennej. Uczonych odciąga się od spokojnej pracy naukowej przez to, że ofiarowuje się im pensje znacznie wyższe od uniwersyteckich. Znam Kanadyjczyka, miłego chłopca, który na pewno nie pragnie wojny, ale który ma czworo dzieci i chce im zabezpieczyć przyszłość. Bo w Ameryce zabezpieczenie przyszłości, odkładanie pieniędzy, ubezpieczenie na starość, to rzeczy najważniejsze. Życiem ich rządzi niepewność i jedyny punkt, który im się wydaje stary i bezpieczny, chociaż dewaluujący się, to ich dolar. Tak więc mój młody kolega opuścił posadę uniwersytecką i od lat już pracuje wyłącznie w tajnej pracowni atomowej, gdzie wszystkie jego czyny są szpiegowane, a każdy wynik i każda myśl otoczona tajemnicą. Istotnie warunki, w których uczeni tam pracują, muszą być pod względem moralnym okropne. Nic też dziwnego, że to uwodzenie ludzi do tych posad nie jest rzeczą łatwą. Dobrzy uczeni ciągle jeszcze wolą swoje pracownie naukowe, a w produkcji bomb atomowych, lub w ogóle w przemyśle wojennym pracują tylko jako konsultanci.

Oczywiście, że materialnie t. zn. w budynkach, urządzeniu i wyposażeniu tamte uniwersytety są znacznie bogatsze od naszych. Tak jest teraz, ale czy tak będzie za lat 10 lub 12, gdy syn mój i córka będą uczęszczali na uniwersytet? Jestem pewien, że nie. Bo jeden fakt zasadniczy wydaje mi się pewny — my tutaj idziemy naprzód, a oni tam się cofają. U nas liczba studentów powiększa się z każdym rokiem, tam — zmniejsza się. Grono profesorskie się kurczy i wypowiada się posady młodszym siłom przede wszystkim. Już obecnie wielu rezygnuje z kariery akademickiej i przyjmuje pracę w przemyśle wojennym. Ponieważ tylko nieliczne i to raczej drugorzędne uniwersytety są subsydiowane przez poszczególne Stany, a na ogół zależne one są od fundacji, więc sprawa uzyskania pieniędzy ze źródeł prywatnych jest sprawą życia i śmierci dla wielu uniwersytetów.

U nas ilość studentów, katedr nieustannie się powiększa. Ten wzrost jest tylko hamowany brakiem kadr. W Stanach Zjednoczonych w tej chwili jest na odwrót. Ilość studentów i katedr kurczy się nieustannie, jak również zmniejsza się ilość dotacji. Dla wielu uniwersytetów źródłem dochodu w tej chwili jest wojsko i marynarka. Młodzi ludzie otrzymują od wojska i marynarki stypendia na prace naukowe na określone tematy, a pracownie otrzymują dotacje na przyrządy. Oczywiście faworyzowane są tematy związane z wojną. Już kilka lat temu wojsko i marynarka wyciągnęły swe macki w kierunku uniwersytetów. Dzisiaj już w dużej części byt i rozwój uniwersytetu zależą od tego, w jakim stopniu służą one sprawie przygotowań wojennych.

Ale może najsmutniejszy wynik tego nacisku finansowego i politycznego — to wpływ na umysły ludzkie. Czasami litość bierze, gdy się widzi, jak nisko spaść może człowiek kształtowany w takich warunkach.

W roku 1950 odbyła się w Sztokholmie uroczystość 50-lecia fundacji Nobla. Na uroczystość tę zaproszono dawnych i ostatnich laureatów Nobla i zadawano im pytania dotyczące bomby atomowej. Posłuchajmy, co na te pytania odpowiedziała śmietanka intelektualistów amerykańskich-laureatów Nobla.

Profesor H. S. Gasser, neurolog, powiedział: „Wątpię, czy te sprawy nas, naukowców, bardziej obchodzą niż kogokolwiek innego". Słyszymy w tym zdaniu to, co tak często przebija się w wypowiedziach uczonych na Zachodzie. Nauka jest „czysta", powinna być przeczysta i stać z dala od zagadnień społecznych. Posłuchajmy jednak dalej, co mówi pan profesor: „Oceny moralne leżą poza nauką. Nauka jest obojętna na sprawy moralności". Potem przychodzi głęboka myśl, istotnie godna laureata Nobla: „Jednak oczywiście naukowiec jest także człowiekiem". No dobrze. Nareszcie możemy się z czymś zgodzić. Istotnie, naukowiec jest też człowiekiem. Więc jaki z tego wniosek? Oto jak kończy profesor: „Zachodnie ideały warte są ratunku i muszą być uratowane. Nie wiem, czy jesteśmy w niebezpieczeństwie utracenia ich przez zrzucenie bomb atomowych. Ja nie wiem".

Wielki umysł profesora sądzi, że jednak chyba nie ma sprzeczności między zrzuceniem bomb atomowych, a uratowaniem ideałów zachodnich. Pójdźmy jednak dalej i posłuchajmy, co mówi inny laureat nagrody Nobla dr Philip Hench, lekarz. Zaczyna on świetnie: „Dlaczego człowiek nie uczy się żyć w zgodzie z człowiekiem? Powinna nastąpić rewolucja w sercach ludzi i zmiana duchowa. Co mnie najbardziej interesuje, to, co się stanie z moim 19-letnim synem?". Czy to nie brzmi pięknie? Oto nareszcie laureat Nobla, który chce żyć w zgodzie ze swym sąsiadem, i który kocha swego syna. To już dużo. Po prostu ma się ochotę zaprosić go do wzięcia udziału w naszej akcji pokojowej. Ale posłuchajmy, co ten sam wielki doktór mówi dalej: „A jednak nie wolno nam iść na kompromisy dla wygody... ja jestem w zupełności zdecydowanym wrogiem komunizmu i musimy się mu przeciwstawić". No tak, kocha swego bliźniego, kocha syna, ale poświęci to wszystko dla walki z komunizmem. Oto przemówił drugi laureat Nobla.

Trzeci i ostatni laureat z Ameryki, którego wypowiedź mam przed sobą, to profesor Izydor Rabi, wielki fizyk. Widywałem się z nim w czasie mego pobytu w Princeton w roku 1937, kiedy odwiedzaliśmy się wzajemnie. Nie widzieliśmy się od roku 1938, gdy losy poniosły mnie do Kanady. Profesor Rabi już podówczas rozpoczął swoje historyczne prace nad badaniami momentów magnetycznych jąder. Był to człowiek niezwykle miły, liberał, wiele przebywający w towarzystwie ludzi postępowych. Łączyło nas pochodzenie. Profesor Rabi również urodził się w Polsce, którą opuścił mając lat 9. Za to skoszlawienie poglądów profesora Rabiego ponosi winę nie tylko współczesna Ameryka, ale i dawna Polska. Opowiadał, że jedyne wspomnienie, jakie wyniósł

z dzieciństwa, to wybryki antysemickie, których był ofiarą. Teraz jest on na usługach idei, które głoszą, że nadchodzący wiek, to wiek Ameryki. Pisze on: „Naukowiec pracujący dla rządu ma odpowiedzialność, ale nie ma władzy dokonania czegokolwiek".

A więc czy to jest ta słynna demokracja amerykańska, w której obywatel nie ma żadnego wpływu na rząd? Ale posłuchajmy i tutaj ostatniego zdania. Po prostu wstyd je przytoczyć. „Uważam, że Hiroszima (tj. zrzucenie bomby atomowej) była moralnym czynem i dobrodziejstwem dla ludzkości". To jest tak straszne, że już nawet komentować tego nie można. W ciągu kilku chwil 100 tysięcy ludzi ginie. I to jest „czyn moralny". Czy można nie nienawidzić ludzi tak mówiących? Jednak byłoby rzeczą błędną uogólnianie takiego stanowiska laureatów Nobla. Są i inni naukowcy w Ameryce. Jest znany fizyk, Morrison. w Cornell University, jest Shapley Harvard, jest Einstein w Princeton. Wszyscy oni pragną pokoju i walczą z histerią wojenną. W warunkach amerykańskich ta walka wymaga wielkiej odwagi.

Starałem się krótko scharakteryzować wpływ stosunków w Ameryce na naukowców i wskazać różnice pomiędzy atmosferą naukową tam i u nas.

Zdaję sobie sprawę, że i u nas nie wszystko jest, jak być powinno, że nie osiągnęliśmy tego poszanowania nauki w Polsce, jaka jest w Związku Radzieckim. Z jednej strony profesorowie uważają, że jest za dużo biurokracji i że nie otacza się ich dostateczną opieką — z drugiej strony zarzuca się profesorom, że jeszcze niedostatecznie przyswoili sobie zasady marksizmu-leninizmu. Ale wydaje mi się, że wszystkie te wzajemne zarzuty są nieistotne wobec pewnych oczywistych faktów, o których zawsze pamiętać musimy.

Rząd Polski Ludowej dba o rozwój nauki jak żaden inny. Buduje nowe pracownie, tworzy nowe katedry, otwiera po raz pierwszy w historii Polski szeroko wrota uniwersytetów i politechnik przed synami chłopów i robotników. Przygotowuje kongres nauki, który krytycznie oceni przeszłość i sformułuje wytyczne dla przyszłego rozwoju nauki polskiej. Te wysiłki zyskują sobie tych profesorów, którym rozwój nauki i dobro młodzieży leży na sercu. Ich liczba wzrasta i wzrastać będzie.

Oto żyjemy w kraju, który planowo buduje nowe, lepsze jutro. Rząd Polski Ludowej stara się wciągnąć nowe kadry profesorskie w pracę całego społeczeństwa, którą jest budowanie, tworzenie, a nie zagłada i niszczenie. Mnie się wydaje, że nie ma dla prawdziwego naukowca większego szczęścia nad uczestniczenie w tym wielkim zadaniu.

Leopold Infeld

MIECZYSŁAW JASTRUN

O moim kraju

Kraju, gdzie sapią lokomotywy
Przed świtem, pośród lasów, gdzie rubin latarni
Wskazuje drogę ospałym pociągom,
Gdzie rano wiatr wplątany w końskie grzywy
Nad głowami pastuchów galopuje łąką,
Gdzie w śniegu wiosny stoją krzaki tarnin,
Gdzie morze liże brzeg słonym jęzorem,
Gdzie w dzwoneczki błękitne biją gór gencjany,
Gdzie pastuch owce zapędza wieczorem
Do szałasu — i słychać stuk stada drewniany.
Kraju mój, kołyszący się od zbóż kosmatych,
Od łąk nadrzecznych, od kwiatów żarliwej piękności,
Nie wypowiem cię mową wszystkich gwar i gramatyk,
Ani was, dęby o korze stwardniałej na grudzień,
Kronikarze skłębionej w konarach przeszłości...
Ty trwasz od wieków, lecz mnie wciąż się zdaje,
Żeśmy razem wyrośli,
I jak do domu wracam na młodości kraje.

Jest tutaj kilka miejsc, dla cudzoziemca obojętnych,
Za które gotów bym oddać życie,
Są żywi i zmarli ludzie,
Dla których nie mam dosyć słów namiętnych,
Ani pióra, co pisze w granicie.

Więc tylko małym słowem ciebie wspomnę,
Wzgórze, gdzie żółte kity podnoszą dziewanny,
Gdzie na topole włażą obłoki ogromne,
Nim je przepędzi za widnokrąg wiatr poranny.
Tam nad stawem płomienie słońca podobne do dzid
Tatarów, o których żyła tu odległa wieść
Pośród zacichłych trzcin i parowów.
Któż to powiedział: *Mantua me genuit...*
Mnie urodziła małopolska wieś.
Słyszę, jak sapie i świszcze prowincjonalny parowóz.

Do Ibrahima Gadżijewa*)

Azerbejdżanin, rówieśnik Puszkina,
Żyje! To prawda, choć uwierzyć trudno.
Świadcz, brodo Gadżijewa Ibrahima,
Że człowiek żyje jak dąb i jak źródło!

Goethe by z tobą chętniej pogawędził
Niż z Eckermanem, ty chodzący wieku!
Którego głowę obrósł puch łabędzi,
Półtorawieczny wędrowcze, człowieku...
Nie rozmawiałeś z Faustem. Nie wiesz nawet,
Że w twych narodzin i stulecia roku
Szedł Bonaparte z ciężarem swych lawet
Przez śnieg alpejski wśród grzmotu potoków.
W dwunastym roku twym wkroczył do Rosji.
Ty pożar Moskwy znałeś z opowiadań
W aule górskim, gdzie rumak rozrosły
Drżał, płonął, rzucał się pod jeźdźcem śniadym.
Przeżyłeś królów, carów i mocarzy
W cieniu Kaukazu. Spojrzyj na doliny,
Gdzie nie poznaje twej zamierzchłej twarzy
Młodzieńcze życie radzieckiej krainy. —
Gdzie nowe pieśni śpiewają dziewczęta,
Piękne jak niegdyś. Spójrz na pól dywany,
Gdzie jak za twoich młodych lat pamięta
Cień o swym drzewie, z którym jest związany,
Gdzie liść dąbrowy, co w źródło kipiące
Spadł w czasach twoich, może już skamieniał...
Ale ty w ciągłej ze sobą rozłące
Znów się odradzasz w nowych pokoleniach.
Ja na Syberii będąc podziwiałem
Pastucha wołów, starca z siwą brodą,
Jak Lwa Tołstoja starcy. I widziałem
Ślepca, którego dwaj wnukowie wiodą.
A teraz patrzę na zorzę i jabłoń,
(Tak się odradza znów drzewo, dzień, życie)
Powiedz prawnukom (tęsknić im nie zabroń!)
„Wy dwutysięczny wschód słońca ujrzycie."

Przez pola twoje przeszła straszna wojna, ale blask
Nowej wiosny okrywa sczerniałe ruiny,
Poczęciem nowego roku każdy brzask,
I każdy dzień to nasze nowe narodziny.
Z piękności twej niewiędnącym obrazem
W oczach — chcę odejść, gdy nadejdzie czas.
Szliśmy na śmierć i głodowaliśmy razem.
Wykarmiony twą wodą, solą i żelazem
Ja jestem drzewo, ty jesteś las.

Mieczysław Jastrun

---

*) *Ibrahim Gadżijew* — starzec, liczący 151 lat, mieszkaniec Republiki Azerbejdżańskiej, ze wsi Szalwa w rejonie Laczińskim u podnóża Grzbietu Kaukaskiego.

JERZY FICOWSKI

Twórczość

Dalekie lata, te, które będą,
Które wypełnią idący wiek,
Wy, zwiastowane ciemną legendą,
Co pogodzicie nurty i brzeg.

Jeszcze was nie ma, lecz nieuchronnie
Już was przewidział człowiek i zgadł
Czasy odległe, co przyjdą po mnie,
Aby wyrzeźbić zaczęty kształt.

Nam dziś — fundament i podwaliny
Kłaść, jak murarzom, gdy wstaje dom,
By ktoś, co szukać będzie przyczyny,
Świadectwo ujrzeć mógł naszych rąk.

Cóż pozostało po erach młodych?
Odcisk paproci, kreda i piach,
W bursztynie — kropla dawnych zachodów,
Z ludzkim rozumem — przedludzki strach.

Lecz my tworzymy czas, który nie jest
Gnijącą mierzwą pod przyszły plon, —
Los budowany z naszych nadziei,
Z dzisiejszej wiedzy — wczorajszym snom.

Nie będzie w nim już lęku, kabały,
Spróchnieją wrota obłudnych krucht.
I tylko dzieci będą się bały
Brzęku komarów i strasznych snów.

Piorunochrony

Gdy biegną stada wełnistych chmur,
batem błyskawic poganiane,
i w owczym pędzie, chmurnym strachu
walą przed burzą truchtem na zachód,
w przestrzenie sine i stratowane,
a wiatr jest lękiem chmur —
szumi leszczyna, drży osiczyna
i dym spłoszony płacze w kominach,
dach skrzypi, huczy bór.

Pasterze w błyskach szukają trzód,
które z chmurami odeszły,
drżą wątłych świeczek języki złote,
odmawiające gromy i grzmoty,
kiedy szukają ucieczki grzesznych
wędrowcy, których wiatr zwala z nóg,
matki nad dziećmi szepczą zaklęcia
i loretańskie dzwoneczki dźwięczą,
nim ogień stanie u wrót.

My już umiemy i śmierć, i gniew,
język pożarów i serc eksplozje.
Dzisiaj dla bliskich — choćby najdalszych —
o ludzki pokój będziemy walczyć,
gdy człowiek rośnie i serce rośnie
w wysokim niebie murarskich wiech,
dla mej dziewczyny, światu i sobie
chcemy pogodę wzniecić — nie ogień:
natchnienie przyszłych klechd.

My nie czekamy wybuchów bomb,
zaklęcia są nam zbyteczne.
Wierzymy w światło jasnej pogody,
w łagodne oczy, w ramiona młode,
przy których gołąb siada bezpiecznie,
i w pełen słońca nasz dom. Nasz Dom!
Patrzcie: u progu naszego domu
u stóp wyniosłych piorunochronów
legł żywcem pogrzebany grom.

Wielki Tydzień

Nie znałem was, jedzących czosnek
w dzielnicy, gdzie nie bywa wiosny,
nie rozumiałem ciemnych spojrzeń,
nie mogłem bólu w oczach dojrzeć.
Cedrem szumiały mi libańskim
cuchnące ścieki Franciszkańskiej.
Nieśli talmudów ciężkie brzemię
mego dzieciństwa czarodzieje,
mistrze sobotnich ceremonii
z brodami niby dym, lub płomień.
Gdy świecznik się nad śledziem modlił
i gasł przekupniów jazgot wschodni,
nad miastem, wiatrem i omackiem,
szedł księżyc w czapie rabinackiej,

usypiał głód i krzywdy głuchły.
Nie znałem gorzkiej treści snów tych.

Pamiętam — deszcz był. Bandy młodych
przyszły w podwórka głuche z głodu,
dary przynieśli jak magowie:
kamienie — w okno, kij — po głowie,
I bili starców, bili dzieci.
Pobłogosławił im ksiądz Trzeciak.
Malutkiej Miriam łzy widziałem,
były bezradne i dojrzałe
nie smutkiem pozłacanych madonn,
które na sercach dłonie kładą,
ale tym, który gniew zapali,
by zetrzeć głownią łeb kanalii.
Zbrodnia się dzieje, wicher wieje
ponad młodością, nad ojczyzną.
Tak się skończyli czarodzieje.
Tak się zaczęła noc faszyzmu.

Noc długa, ostra jak cios noża.
To nie wschód jeszcze — łuna, pożar.
Faszyści szli innojęzyczni,
po tropach naszych magów przyszli.
Błękitnie wzeszło na opaskach
przekleństwo żywych — dobra gwiazda,
i ślepe mury ścianą płaczu
zakryły wielką śmierć tułaczy,
tylko mundurów wrogich zieleń
szumiała ponad Izraelem.
I Stary Doktór wiódł swą dziatwę
i bajkę mówił im. Ostatnią.
I szły pociągi. To nie wiatr w nich
płakał. To ludzki krzyk. Ostatni. —
Kiedy w zasiekach jak w koronie
wyrósł spod ziemi wolny płomień.
I w blasku ognia jak w pochodni
szedł wielki tydzień. Wielkiej zbrodni.

Z dala się przyglądali — znikąd
lecącym chmurą żałobnikom:
przelatywały niebem rudym
stada ulotek, bez obwódek
z płonących gett świadectwa zgonu,
karty umarłych ksiąg zwęglone.
Bili się, tonąc w ognia rzekach,
już nie o siebie — o człowieka,

by mógł oddychać, wolny, wszędzie.
Cokolwiek zdarzy się — on będzie!
Bili faszystę, nie chcąc łaski
i w ogień szli, co się nie pastwi.
Szli robotnicy getta z bronią,
póki ich płomień nie pochłonął
i po swej śmierci — w innych walczą
o ludzką sprawę. Nad spiż trwalszą.

Piosenka, którą śpiewam tobie

Tyle siada
gwiazd na dachu,
same młode!

Lecą stada
gwiazd na zachód
nad ogrodem...

Jedna gwiazdka spadła
i w kominie mieszka...
Nie upadła żadna.
To bajka?
Bajeczka.

W tamtej stronie
fiołki rosną,
wszystko w kwiatach!

Tylko po nich
ciemną nocką
został zapach...

To wieczór tak gaśnie,
to nie fijołeczki...
Tylko zapach baśni.
Bajeczki?
Bajeczki.

Był tu jawor,
ale teraz
pewno drzemie.

Pod murawą
rozpościera
swe korzenie...

Staruch jawor, staruch,
gwiazdy zna od dawna...
Mrugają z konarów —
Czy to prawda?
Prawda.

Sen się stanie,
nim zaświta
i zaśpiewa.

Na spotkanie,
ranek witać
pójdą drzewa...

Spadnie deszczyk światła,
czarną noc rozpuści...
To nie bajka. Zgadłaś:
To sen.
Uśnij, uśnij...

Jerzy Ficowski

*
* *

Tam, gdzie z pustyni wytryska rzeka,
Pędzona ludzką dłonią,
Gdzie świateł w domach i praw człowieka
Żelazne prawa bronią;

Gdzie każde dziecko — skarbem, nadzieją,
Zwiastunem mądrych przemian,
Gdzie nad polami gwiazdy jaśnieją
Z żarówkami na przemian;

Kiedy cię z rana słoneczny promień
Ze snu do pracy zbudzi,
Rozjaśnij czoło, serce rozpłomień —
Jesteś wśród wolnych ludzi!

Leopold Lewin

KAZIMIERZ BRANDYS

AKCJA W KALENIU

Rzecz dzieje się w roku 1945

I

Robota agitacyjna zmieniała kolumnę w zespół nieznużonych dyskutantów, mówców, dialektyków, trybunów. Każdy — od małego blondynka Pałasza do najstarszego wiekiem Krajewskiego — dobywał wtedy z siebie głęboko ukrytych sił. I każdy stawał się wówczas odrębną indywidualnością o samorodnych gestach, stylistyce i oryginalnych środkach działania. Wszyscy czerpali argumenty ze wspólnego źródła — z tej samej prawdy; lecz każdy ubarwiał ją swoją naturą: Cyrański — dziecinnym zapłem, Zajdel — spokojną rozwagą, Ciężarek — twardym, przemyślnym uporem. Rozbiegali się po izbach i podwórkach, dopadając ludzi natychmiast, gdzie kto którego zastał. Jeden lubił namawiać z ławy, po sąsiedzku, drugi wskakiwał na zydel, inny jeszcze wyciągał z chałupy, przypierał do płotu i tam wbijał w człowieka argumenty jak gwoździe.

Obojętnemu widzowi działanie agitacji mogłoby się wydać magiczne. Ludzie niejednokrotnie zamykali się przed nią na trzy spusty, a ona — po godzinie czy dwóch — niespodzianie przekręcała klucz w zamku, rozwierała drzwi i pociągała za sobą najbardziej nieufnych. Dokonywało się to w zamęcie i rozgwarze, nie wiadomo kiedy i jak — często ledwie kto zdążył się spostrzec, już było po wszystkim: mieszkańcy, pomieszani z ludźmi z kolumny, szli rozrzuconą, bezładną gromadą na zebranie do dworskiego budynku czy spółdzielni.

Wieś kaleńska przyjęła kolumnę milczeniem. Tatara szedł przodem, obok niego Krystyn, reszta parę kroków za nimi; z tyłu nie wiadomo po co wlókł się Sobik. Chłopcy rozglądali się po oknach, wymieniając półgłosem uwagi. Między wsią a dworską kolonią wznosiła się murowana kaplica; wejście było zamknięte, wokół ani żywej duszy. — Postawiła ją dziedziczka — mruknął zatrzymując się Tatara — po wojnie 20 roku.

— W dziękczynieniu za cud pański — dorzucił z boku Sobik — jest nawet tablica, hoho...

Krystyn odrzucił papierosa:

— Towarzysze — przeciął — rozdzielamy się na dwie grupy. Każda działa po jednej stronie drogi. W porządku?

— W porządku — odparł Krajewski. — Jedną bierzecie wy z Janiszem, drugą towarzysz Zajdel...

— Z wami — dorzucił Zajdel.

Szybko ustalono skład każdej z grup. Dwudziestu kilku ludzi ruszyło wzdłuż drogi, po obu jej stronach. Zza płotów zaczęły ujadać psy. — Agituj, Flis! — zawołał Ciężarek, pchnąwszy furtkę pierwszej z brzegu zagrody. Flis skoczył naprzód, za nim weszli: Ciężarek, Szarlej i Gaj.

* * *

Wyzyskiwana od setek lat przez dwór, kościół i rząd — wieś kaleńska nie potrafiła już nikomu ufać. Przez szyby swych okienek oglądała co jakiś czas zmienne dzieje: styczniowych powstańców, carskich kozaków, poborców podatkowych, granatową policję, zbuntowanych fornali, limuzyny wracające nocą z dworskich rautów, szwadrony ułanów ciągnące na manewry, partyzantów, żandarmów, świadków Jehowy i Żydów proszących o nocleg. Orszowie pielęgnowali odwieczną, rodową tradycję: obcinając robociznę pracownikom rolnym, trzymając ich rodziny w gnijących czworakach, wskazując gubernialnym czy wojewódzkim władzom chłopów „zarażonych buntem" — dbali jednocześnie o patriarchalne stosunki ze wsią: spośród biedniackich córek wybierano pokojówki do dworu, synów posyłano do burs jezuickich, aby ich kształcić na pałacowych rządców, co ładniejsze dziewczyny swatano ze stangretami.

Ludzie kaleńscy od dawna musieli już uznać ten porządek świata, w którym pałac, starostwo i plebania były ziemią, słońcem i księżycem. Od czasu do czasu wprawdzie docierały tu wieści o rewolucjach i strajkach; parę razy na rok ktoś emigrował na zamorski chleb, lub jechał pod konwojem do powiatowego więzienia; i na tym się kończyło. Wieś nie była zamożna: kilkunastu kułaków wzbogaconych na wojnie, trochę średniactwa faworyzowanego przez dwór, i wiele biedoty. W ciągu pięciu lat dwukrotnie przetoczyły się tędy esmańskie kolumny pancerne: za pierwszym razem ominęły pałac, za drugim — pałac spłonął. Radziecki oddział gwardyjski, który wyparł stąd hitlerowców, nie zatrzymał się długo: ruszył dalej, przez lasy na P. W Kaleniu zaległa cisza, chłopi jeździli kraść drzewo do dworskiego parku; w jakiś czas potem powstał robotniczy komitet folwarczny i pojawili się nowi ludzie z powiatu, aby dzielić ziemię. Jednocześnie przypłynęła wieść, że ziemi brać nie wolno. Wieść przyszła nie wiadomo skąd — jedni twierdzili, że z Londynu, od generała Orszy, drudzy —

że z lasu w okolicy Narutni, od bandy „Ogrodnika", która w tym właśnie czasie zaczęła wykonywać swe pierwsze wyroki. Nadzieloną ziemię przemyły wiosenne deszcze i wygrzało czerwcowe słońce. Rozciągała się między wzgórzami a lasem, w pięknym, spokojnym krajobrazie. Tu i ówdzie tylko tknęła ją orka i siew. Czyja była ta ziemia? — niewielu ludzi w Kaleniu śmiałoby odpowiedzieć. Leżała pośrodku chłopskich gruntów, bogata, rozległa jak pański płaszcz porzucony w ucieczce; strzegły go z dala pańskie oczy.

— Ludowa ona jest — tłumaczył Ciężarek siedząc na zydlu pośrodku izby — i nie siać jej — wielki grzech. Ale takich chyba u was nie ma, obywatelu, co nie sieją?

Namawiali już pół godziny; jak dotąd bez wyniku. Prócz gospodarza, który na wszystko kiwał z frasunkiem głową, w izbie znajdowały się dwie kobiety i troje dzieci. Po każdym zdaniu Ciężarka chłop wydawał niewyraźny, zatroskany pomruk i zapadało milczenie. Dzieci, przytulone do siebie na przypiecku, patrzyły okrągłymi oczkami na trzech gości, którzy niczym nie zdradzali zamiaru odejścia. — Siłę wieku dźwigacie na plecach, babciu — uśmiechnął się Ciężarek do staruszki, zeschniętej jak wiórek.

— Trzech carów pamięta — objaśnił gospodarz. — Ojciec to jeszcze na pańskiem pracował. Prawda, matko?

Staruszka zaszeleściła coś głosem drżącym jak listek. Gaj zmarszczył czoło w natężeniu i rzekł: — Sprawiedliwość jednak coraz większa na świecie. Bo proszę: dziadek wasz pracował na pańskiem, was jeszcze dziedzic oszukiwał, a oto teraz pańska ziemia, wam, czyli ludowi, została oddana... Uprawiacie ją i siejecie — dla kogo? Dla narodu. Chlebek z niej będzie sprawiedliwy.

Wszyscy po tych słowach umilkli, albowiem każdy wiedział, że gospodarz, kilkumorgowiec Kalesza, nie obsiał swojego nadziału.

— Obywatelu — odezwał się Szarlej spod okna — myśmy tu do was przyszli, żeby się naradzić. Słyszeliśmy, żeście człowiek mądry. W izbie szkolnej będzie zebranie. Chodzi o to, żeby jak najwięcej ludzi na nie przyszło. W Kaleniu nie dzieje się dobrze, wiecie o tym i wy, i my. Pomóżcie nam, obywatelu Kalesza.

Mówił to swoim niskim, dobitnym głosem, nie odejmując spojrzenia od twarzy Kaleszy. Wszyscy obecni patrzyli nań z ciekawością. Z trzech przybyszów wyglądał na najstarszego. Siedział na ławce pod oknem, zwrócony do światła szerokimi plecami, ręce oparłszy na kolanach.

Kalesza kiwnął głową i zerknął w stronę drzwi. Zza okien dobiegł gwar, nawoływania, okrzyki; chłopcy poruszyli się niespokojnie; każdy wyłowił znajome odgłosy: wokół wzmagała się gorączka agitacyjna, z sąsiednich podwórek przylatywało echo bieganiny, szczekanie psów, strzępy przemówień; agitacja wylewała się z izb w opłotki, pod stajnie, na klepiska...

— My, warszawscy ludzie — Ciężarek pochylił się wprzód i położył na stole rozwartą dłoń — nie ukrywamy swoich myśli. Ot, jeździmy już tak pół miesiąca. Prawdę kłaść wszędzie na stół. Ile wsi jużeśmy objechali! Nie policzę. Co my za jedni? Proszę: Gaj — kolejarski syn, ten oto kolega: wyższe szkoły ukończył, a teraz — szofer władzy ludowej; ja, jeśli chcecie wiedzieć, z ojca stolarza się rodzę. Tacy też i inni: chłopsko-robotnicze dzieci. Trzydziestu nas jest, najmłodszy ma szesnaście lat, najstarszy — sześćdziesiąt. Słyszycie ich? Tłumaczą ludziom: na zebranie trzeba wyruszyć! Gromadą! Bo w gromadzie, uważacie, większa jest siła i rozum, niż w jednym człowieku. Światowe prawo. Bierzcie czapkę, obywatelu Kalesza, i chodźcie z nami, ludziom pomóc.

— We wspólnej sprawie! — pisnął Gaj, któremu powoli czerwieniały odstające uszy.

Kalesza wykonał nieokreślony ruch, jakby szukając wokół siebie czapki i spojrzał na żonę. Trzej agitatorzy obrzucili ją szybkim, bystrym wzrokiem. „Od tego należało zacząć...“ dał znać oczami Ciężarek. Była jeszcze rumiana i rosła, spod chustki wymykały się jej gęste, ciemne włosy.

— Młodeście chłopaki — uśmiechnęła się do Szarleja — opierając na stole różowe łokcie — i życia wam nie szkoda? Pod kule przecie idziecie, na śmierć. Wracajcie do Warszawy, póki...

— Póki co? — podchwycił Szarlej — mówcie śmiało.

Zapadła cisza, w której z niedaleka, jakby z malw rosnących pod oknem, rozległ się wesoły głos Cyrańskiego: — Na co czekacie, Kaleńszczaki? Żywo! Zetwuem wskazuje drogę! — Potem głos się oddalił, a z płotu zapiał kogut.

— ...póki „Ogrodnik“ nie wyjdzie z lasu... — powiedział z wolna Kalesza.

Nagle wstał z ławy, zadziwiając chłopców swą chudością i ogromnym wzrostem; na tle bielonej ściany wyglądał teraz jak wielkie, ciemne malowidło. Poruszał przez chwilę głową, spozierając to na jednego, to na drugiego.

— Nie szkodujcie nom — wyrzekł cicho i prędko — panowie z Warszawy... nie gubcie. My ludzie spokojni, wiejscy...

Stał, zwiesiwszy po bokach długie ręce i mamrotał coś dalej pod nosem; dzieci na przypiecku zaczęły płakać. Agitatorzy patrzyli na siebie zmieszani; Gaj wiercił się na stołku, nie wiedząc, gdzie podziać oczy.

Śpiewnym, zawodzącym głosem Kaleszyna opowiadała o gwałtach „konfederacji Ogrodnika", która nachodziła wieś co parę dni, zabierając konie, buty, uprząż, załatwiając krwawe porachunki z opornymi, rabując żywność i inwentarz. Przyjechali nie dalej jak sześć dni temu. Zwalili się na Kaleń pijani i źli, całym swym obozem, złożonym z fur, bryczek, taczanek, rowerów i linijek; kilku konnych wpadło na podwórka, strzelając do kur. Zabawili dzień i noc; pili, kradli i odprawiali sądy; trzech ludzi, podejrzanych o współpracę z partią, wywlekli na gościniec; przez godzinę bito ich cepami, jeden zmarł.

Mówiła jeszcze długo, dzieci uczepiły się jej spódnic; kiedy milkła na chwilę, przyciskając skraj fartucha do oczu, staruszka w kącie szemrała coś do siebie, cichutkim szeptem, jak strumyk.

Szarlej wstał z ławki i podszedł do gospodarza.

— My o „Ogrodniku" wiemy — rzekł — i przyjechaliśmy po niego aż z Warszawy. Nie ujdzie on słusznej kary. A karać będziemy go wszyscy, gromadą. Dlatego trzeba iść na zebranie, naradzić się, rozsądnie postanowić. Jak długo chcecie żyć w strachu przed wilkiem?

— Żarcia będzie chciał coraz więcej — dorzucił Ciężarek — a strach go tylko ośmiela.

Kalesza szukał wzroku Szarleja.

— Panowie se odjadą — mruknął posępnie — a my tu zostaniemy. Tych, co na zebranie pójdą, „Ogrodnik" puści z dymem. Ludzie doniosą.

— Na zebranie pójdzie cała wieś — odparł spokojnie Szarlej — całej wsi z dymem nie puści. Uchwalimy środki działania, zbiorową obronę. Dlatego trzeba się zebrać, rozumiecie?

— W innych wsiach bywało gorzej — wtrącił Gaj — a ludzie na zebranie szli. I nie żałowali potem.

— Jesteście pod opieką władzy ludowej! — zawołał zniecierpliwiony Ciężarek — Czyli sami sobą władacie! Zebranie gromadzkie to ludowa władza. Jakże chcecie sobie poradzić, człowieku, nie gospodarząc sami sobą?

Naraz przerwał i umilkł z otwartymi ustami, nie opuszczając ręki uniesionej nad stołem. Wszyscy nadstawili uszu.

Potem dzieci uderzyły w krzyk, a staruszka zaczęła się modlić. Od strony kaplicy rozlegało się szybkie, pośpieszne dzwonienie.

— Towarzysze! — wrzasnął zdyszany Pałasz wpadając z szurgotem do izby — wychodźcie na drogę! Wieś idzie na zebranie!

Dzwonienie nie ustawało, brzmiąc coraz donośniej w rosnącym zewsząd zgiełku i rozgwarze. Chłopcy rzucili się do otwartych drzwi, zagarniając ze sobą oszołomionego Kaleszę.

— Pożar!!! — krzyknęła kobieta. — Jezu, odpuść nam...

— Nie jęczcie, mamusiu! — zaśmiał się Cyrański wsuwając głowę przez okno — Gdzie tam pożar? Słoneczko się tylko pali! — I pobiegł dalej. — Na zebranie, obywatele! — słychać jeszcze było z drogi jego głos.

Pałasz, czerwony z przejęcia, stał na zydlu pośrodku izby i wołał potrząsając pięścią ponad zmierzwioną czupryną:

— Przepędzimy wściekłe plemię, towarzysze! My, zetwuemowska brać, nie boimy się faszystów! Siła Polski Ludowej w was spoczywa, biedoto wiejska i towarzysze fornale! Zbierzcie się kupą, i chodźcie z nami! Do socjalizmu! Przeciw wyzyskiwaczom i mącicielom! Z postępem i sprawiedliwością! Przemawia do was walczący proletariat, polska klasa robotnicza, której ofiary i krew... i krew...

Pałasz zatchnął się i rozejrzał po izbie. Była pusta. Stał sam na zydlu i mówił tylko do staruszki, która szeptała pod ścianą przebierając wyschłymi palcami różaniec. Pałasz spotkał wlepione w siebie blade talarki jej źrenic, westchnął z żalu i opuścił ręce. Cicho zeskoczył z zydla, a potem na palcach ruszył ku drzwiom. — Zostańcie z Bogiem, babciu — rzucił smutno od progu. I wypadł na podwórze, płosząc przerażone kokoszki.

Dzwonienie stawało się coraz głośniejsze, ktoś wściekle targał sznur. Na drodze zbierał się coraz liczniejszy tłum mężczyzn, kobiety zawodziły w opłotkach, z obór dolatywało ryczenie zaniepokojonego bydła; czyjaś koza wybiegła na środek gościńca i beczała brzęcząc łańcuchem. Nikt nie rozumiał, do czego wzywa dzwon w kaplicy; nigdzie nie było pożaru. Chłopi stali wystraszeni, oglądając się na dzieci i kobiety wołające ich po imieniu; ten i ów ruszał niepewnie za Tatarą i ludźmi z kolumny, którzy zachęcali gromadę raźnymi okrzykami. Krystyn, Zajdel, Janisz i Krajewski szli już drogą poza wieś, w stronę kolonii przylegającej do dworskiego parku. Podleciał do nich zziajany Ciężarek: — Wściekli się czy co, w tej kaplicy?! — wołał usiłując przekrzyczeć dzwonienie — ludzie mówią, że diabeł dzwoni, a inni, że

Pan Bóg! — Krystyn żachnął się z irytacji: — Pomacać by tego diabła — warknął — a wyjdzie mu spod żebra sabotażysta... — Księże sztuczki... — dorzucił Janisz, wycierając chustką łysinę.

W wysokim błękicie słońce grzało już mocno, złocąc świetlistym pyłem drogę, patyki chruścianych płotów i poruszających się ludzi; barwne chustki kobiet odprowadzały stłoczoną grupę mężczyzn, żegnano ich płaczem, jakby. szli na wojnę; Kaleszyna biegła za mężem, który szedł wśród innych, przynaglany żartami zetwuemowców, stawiając duże, sztywne kroki, z czapką kurczowo przyciśniętą do piersi.

— Antoni!... Antoni... — chlipała Kaleszyna. Przebiegł obok niej Cyrański i machnął w powietrzu brzozową witką. — Niewiasty! — zapiał szczerząc białe zęby — szykujcie pierzyny, chłopaki wrócą na noc! Oj! Oj! — Dogonił go Pałasz i nagle obaj przystanęli jak wryci. Dzwonienie umilkło w jednej sekundzie; pola za wsią niosły przez chwilę jego dźwięczne echo. — Mówiłem, że diabeł, eche... — zachrypił Sobik idący z tyłu o kilkanaście kroków za gromadą. Zdziwieni chłopcy patrzyli w stronę kaplicy. — Ty, Cyranka — mruknął nagle Pałasz — widzisz? — Cyrański kiwnął głową, przełykając ślinę. — Będzie heca — szepnął — nie? — No — potwierdził Pałasz z mieszaniną okrutnej złości i zachwytu. — Urwał się z warty, taki syn, i złamał partyjny rozkaz...

Obaj wytrzeszczali oczy, gapiąc się w okno kaplicy, w którym przez moment ukazała się głowa w polowej rogatywce. Po chwili z bocznego wejścia ostrożnie wynurzył się Lelkowski. Na widok chłopców uskoczył w bok całą swą czarną postacią i pogroził im pięścią zza węgła. Po czym wielkim susem przesadziwszy drogę, zaczął umykać przez kartofliska ciągnące się na tyłach zabudowań ku dawnym pałacowym gruntom.

Ludzie kaleńscy, pomieszani z agitacyjną załogą, szli w tym samym kierunku. Dochodzili już do drewnianego krzyża wznoszącego się u wylotu wsi i mieli za chwilę zniknąć za rozstajem. Przysłonił ich trochę kurz na gościńcu, leniwie rozpylony w skwarze słonecznym; kilka kobiecych chustek towarzyszyło im jeszcze aż do ostatniej zagrody. Potem kobiety przystanęły przy krzyżu, a oni szeroko rozrzuconą gromadą oddalali się powoli, w gwarze męskich rozmów, coraz rzadziej odwracając za siebie głowy. Jeszcze krok —i zginęli wśród cienistej dębiny wiodącej na przydworską kolonię. Po chwili słychać już było tylko

piosenki zetwuemowców, rozsianych pośród gromady jak wróble w stadku drobiu.

Na drodze, w pobliżu kaplicy, została tylko koza z urwanym łańcuchem i stróż nocny, Sobik, w swej wytartej, połatanej kurcie. Śledził przez chwilę przymrużonymi oczkami oddalających się mężczyzn, a potem przyjrzał się kozie.

— Oj, głupi ludzie... — mruknął w zamyśleniu, przygładzając dłonią wytłuszczony kosmyk na czole. Mamrotał coś jeszcze do kozy, która spokojnie szczypała wyschłą trawę pod płotem. I po chwili, nałożywszy kaszkiet z herbem Orszów, powlókł się w tę samą stronę, za kaleńską gromadą, szurając buciorami w sypkim kurzu.

II

Wypadki, które nastąpiły w Kaleniu, rozeszły się głośnym echem po miasteczkach i wsiach całego województwa. Mimo że podobnych zdarzeń w owym burzliwym roku działo się bardzo wiele, historia kaleńska uzyskała swą odrębną legendę, wzbogacaną coraz to nowymi szczegółami, przekazywanymi przez długie jeszcze tygodnie z ust do ust, z powiatu do powiatu. Mówiono o niej na partyjnych zebraniach, w świetlicach i przy warsztatach; pogłosy jej dotarły nawet do stołecznej prasy, rzecz prosta w krótkich wzmiankach.

Tymczasem, gdyby tak pogadać z Kurzawcem albo Ciężarkiem, lub zahaczyć tego czy owego z zetwuemowców: „Opiszcie, towarzyszu, wasze bohaterskie czyny w czasie akcji w Kaleniu" — gość wybałuszyłby oczy lub po prostu splunąłby ze złością. Nie, chłopcy z kolumny nie lubili takich rozmów. Oczywiście, w późniejszych dniach często wspominali wypadki kaleńskie — było przecie co wspominać — ale żeby się nimi upajać, czy wciągać je na cokół, doprawdy nie leżało to w ich manierach.

Początek był najzwyklejszy: ot, zwyczajny początek gromadzkiego zebrania. Najlepiej opowiadał o nim Pałasz:

„Zaczęło się tak: siedzimy, proszę was, na ławkach, w izbie szkolnej — ciasno jak w kinie. My z tyłu, pod ścianą: obok mnie Cyranka, dalej Gaj, Ciężarek i Szarlej. Tak jużeśmy w tych ostatnich dniach ze sobą się trzymali. W piątkę — no, a teraz tylko trójka pozostała..." (W tym miejscu Pałasz zazwyczaj wycierał nos).

„Kaleńszczaki, towarzyszu, nie tęgie mieli miny. Siedziało to przytulone jeden do drugiego, stare przecie chłopiska, a niektórzy poskrywali się za plecami tych, co usiedli z przodu — prawdziwie jak

w szkole. Nasza kolumna nie cała była w izbie: paru strzegło aut w podwórzu, kilku innych rozstawiono z bronią wśród parkowych drzew, dla wszelkiej, że się tak wyrażę, pewności. Z początku, jak to zwykle bywa, trwało niejakie zamieszanie: ludzie wchodzą, wychodzą, wiercą się, wstają, kierownictwo w kącie odprawia króciutką naradę. My pod ścianą — czekamy, słoneczko w okna zagląda, ptaszki w krzakach świergoczą; tylko średniaki kaleńskie głowy pozwieszali, stłoczeni jak smutne śledzie. Ech, powiadam wam, można było wtedy na gębie rozpoznać pochodzenie klasowe człowieka. Zgadywaliśmy z Cyranką po kolei: ten — dawny fornal, zacięte ślepia; tamten — pewno piętnastohektarowiec, a u tego obok — świńską hodowlę znać na pysku i zadołowane dolary — patrzcie jak boczkiem przysiadł, strachliwie... Dymu już było dużo od machorki, kaszel mnie napadł, proszę towarzyszy, i Cyranka pięścią po karku parę razy mi przejechał, bo to podobno pomaga. Wtem cisza się robi, kierownictwo zasiada przy stole: Krystyn pośrodku, a koło niego towarzysze Zajdel, Krajewski i Tatara. Piąte krzesło puste: Janisza jakoś nie było, ale nikt na to większej uwagi nie zwrócił".

Tu Pałasz posępnie kiwał głową, po czym westchnąwszy ciągnął dalej:

„Kuksnąłem w bok Cyrankę, żeby mnie przestał w kark walić, i słuchamy. Wstaje towarzysz Krystyn. „Obywatele — zaczyna — dziękuję wam, żeście przyszli na nasze zebranie. Takich zebrań odbywa się dzisiaj wiele w całej Polsce. A do czego one są potrzebne? Potrzebne są one, obywatele, dlatego, żebyście mogli prawdziwie, po ludowemu w Polsce gospodarzyć. I po to właśnie zebraliśmy się tutaj: żeby w Kaleniu rozpoczęła sprawiedliwe rządy kaleńska gromada. Nie dziedzic, nie policjant i nie zbój — ale wy sami: polscy chłopi, w polskiej wsi. Tak nakazuje rozum i sumienie, a żadna uczciwa wiara nie może tego zakazać". Dobrze rozpoczął, widzę to po twarzach, i trącam w bok Cyrankę. Krystyn zaś przetarł czoło łapą z trzema palcami i ma już dalej mówić... Aż tu nagle, proszę towarzyszy, nie wiadomo co: wszyscy zrywają się z miejsc, kilku naszych po głowach do okien... Krzyk, szum, tynk leci ze ścian, szkło dzwoni potłuczone i tylko — trrrach! trrrach! łubudu! łubudu! patata! patata!... Mnie ktoś przyparł do ściany, ławki poprzewracane, niektóre kaleńszczaki brzuchami do podłogi przypadli, Cyranki już nie widzę, i znowu: wiuuu, tatata-tam! — aż patrzę: Szarlej ciska granat przez otwarte okno!"

Wszyscy, co rzucili się do okien lub wybiegli przed budynek ujrzeli ten sam widok: rozpędzoną bryczkę, trzy siwe konie powiewające w galopie grzywami, wychylonego naprzód woźnicę bez czapki, który krzycząc wściekle okładał je biczem, a za nim kilku innych w mundurach: przycupnięci, strzelali, klęcząc na dnie bryczki, krótkimi seriami automatów; spoza kłębów wzbitego przez kopyta kurzu, więcej nie można było dostrzec, a zresztą trwało to sekundę: bryczka zatoczyła szaleńczy łuk wokół klombu, wjechała na trawnik, ktoś z niej o mało nie wypadł i w chwili, gdy rozerwał się granat ciśnięty przez Szarleja — diabelski zaprząg znikał właśnie w klonowej alei, ścigany krzykiem wyskakujących z okien zetwuemowców i strzałami ochrony nadbiegłej z podwórza.

Podobno z bryczki strzelał sam „Ogrodnik", tak przynajmniej twierdził Sobik, który go już widywał. Zapanował zgiełk i bieganina. Ludzie stłoczeni u wejścia do szkolnego budynku oglądali łuski po bandyckich nabojach, które znalazł Ciężarek; Szarlej odczytał głośno drobniutki napis: „Made in USA". — Zdrajcy! — wrzasnął Gaj, bliski płaczu z oburzenia — ciury imperialistyczne! Amerykańskimi kulami do polskich chłopaków strzelają! — W gromadzie zaległo ponure milczenie. Wszyscy patrzyli na garść zgniecionych blaszek leżących na rozwartej dłoni Ciężarka. Krajewski wziął jedną z nich w dwa palce i uniósł w ręku wysoko, tak żeby wszyscy widzieli: — Zapamiętajcie sobie, towarzysze — rzekł twardo — kto wyrabia pociski na śmierć polskiego ludu. Za nich bił się kiedyś Kościuszko, a oni nam tak odpłacają.

Rozmowa przycichła, ludzie zaczęli się niespokojnie rozglądać wokoło, kilku ukradkiem wysunęło się z gromady. Reszta milczała patrząc wyczekująco na Krystyna i Zajdla, stojących nieopodal klombu, w otoczeniu garstki aktywistów.

— Przede wszystkim — mówił szybko Krystyn — trzeba rozstrzygnąć jedno: agitujemy dalej, czy zwijamy kram. Według mnie — wracać, to byłaby porażka. Faszyści utwierdziliby tu swoją władzę i cały powiat byłby dla nas stracony. Nie możemy do tego dopuścić. Jak myślisz? — zwrócił się do Zajdla.

Zajdel uniósł lekko brwi i zamiast odpowiedzieć, przesunął uważnie wzrokiem po twarzach chłopców.

— Czemu pytasz mnie? — uśmiechnął się. — Ja przecież myślę tak samo jak oni...

Szarlej zbliżył się do Krystyna.

— Trzeba zabezpieczyć auta, towarzyszu — powiedział. — W stajniach i szopie pusto — można by je tam zaparkować. Poza tym proponuję wyznaczyć stanowiska bojowe. To był zwiad. Za chwilę mogą nas otoczyć.

Krystyn skinął głową.

— Znaczy: agitujemy dalej?

— Agitujemy! — odpowiedzieli wszyscy razem.

Z grupy stojącej pod budynkiem oddzielił się Krajewski, Tatara i Gaj. Zajdel wyszedł parę kroków naprzeciw nich, poprawiając płaszcz opadający z ramion.

— Smarkacze postanowili zostać — mówił idąc ku nim — więc trudno, stara gwardia musi się posłuchać, towarzyszu Krajewski. Wyszykujemy „Ogrodnikowi" ogródek jak z bajki...

— Poleży sobie w nim do sądu ostatecznego — zaśmiał się Krajewski, nabijając fajkę.

— Obywatele! — huknął Ciężarek do chłopów skupionych przed sienią — zebranie trwa dalej! Wracamy do izby!

Odpowiedziało mu niepewne milczenie. Ludzie z kolumny spojrzeli po sobie: z gromady kaleńskiej pozostało zaledwie kilkunastu mężczyzn, reszta się rozpierzchła.

— Tak, zebranie trwa dalej! — rzucił Krystyn ruszając ku wejściu swym prędkim, nierównym krokiem. — Nie będzie radziła gromada, to będzie radził aktyw! Stworzyliście aktyw gromadzki — mruknął do ustępujących mu z przejścia fornali.

Miał już wejść do sieni, a za nim inni, gdy z boku spod szpaleru rozległ się krzyk.

— Cóż tam znowu? — odwrócił się porywczo Krystyn. Wszyscy przystanęli. Pałasz z Cyrańskim biegli zobaczyć, co się stało.

— Towarzysz Janisz... — dyszał Kurzawiec nadbiegając z tamtej strony — towarzysz Janisz... leży pod samym szpalerem... Z Lelkiemśmy go znaleźli. — Po twarzy spływały mu grube krople potu. Trząsł się całym ciałem i powtarzał w kółko te same dwa zdania.

— Tutaj! Tutaj! — doleciał zza budynku stłumiony głos Lelkowskiego. — Żyje jeszcze... — dodał cicho rozpinając sprawnymi ruchami koszulę Janisza, który jęcząc, pół leżał wciśnięty plecami i głową w splątany gąszcz berberysu. Zdawał się patrzyć na nadbiegłych ludzi spod ciężko opadłych powiek; lewą rękę zaczepił o krzak głogu; zwisająca dłoń szarzała na tle ciemnej zieleni. Nie było widać krwi.

III

Ubyło im dwu ludzi i wóz. Janisz dostał dwie kule w brzuch; był jeszcze przytomny i prosił, żeby go położyli w izbie szkolnej. Kierownictwo jednak postanowiło odesłać rannego „Oplem“ do powiatowego szpitala. W Kaleniu musiałby skonać bez pomocy: w promieniu dwudziestu kilometrów nie było mowy o felczerze, a cóż dopiero o chirurgu. Brakło nawet opatrunków: chłopcy podarli dwie uprane koszule na bandaże, udało się w ten sposób zatamować upływ krwi.

Kto miał poprowadzić „Opla“? Trzeba było wybrać jednego z czterech kierowców: Szarlej czy Krajewski? Kurzawiec albo Gaj... W izbie odbyła się krótka, zciszona narada. Skupili się wokół siennika, na którym leżał Janisz, przykryty kocami. Chciał wziąć udział w naradzie, prosił o to przygasłym, białym wzrokiem, musieli go więc wysłuchać.

Kiedy usiedli przy nim, zaczął tłumaczyć urywanym szeptem, żeby go zostawili w spokoju. — Nie róbcie głupstw... Ta decyzja... w naszym położeniu... byłaby szkodliwa. Stracicie szofera — i wóz. A ze mnie... pociechy już nie będzie. Prosta rzecz, towarzysze... Rozumujcie partyjnie. Głosuję... przeciw wnioskowi.

Zamknął oczy i ciężko odetchnął, widocznie tych kilka zdań kosztowało go wiele wysiłku; włosy na skroniach miał zlepione potem. Czterech szoferów nie patrzyło na siebie; Kurzawiec wycierał chustką szyję.

— Będę głosował za wnioskiem — przemówił cicho Zajdel. — Nie macie racji, towarzyszu Janisz. Życie ludzkie jest dla partii cenne, nie wolno nam go poświęcać, jeśli nawet pozostał tylko okruch nadziei. I to jest partyjne stanowisko — w każdym położeniu. Operacja może was uratować, a tu, na sienniku, nie pomożecie nam w niczym. Dzielny z was człowiek, Janisz, ja... rozumiem wasze pobudki. Ale nie wymagajcie od ludzi postanowień sprzecznych z partyjnym sumieniem. Skończyłem.

Krystyn nachylił się nad siennikiem, szukając wzroku rannego.

— Janisz — odezwał się półgłosem — jest jeszcze jeden argument za wysłaniem ciebie, słuchasz? Szofer, który cię odwiezie, zawiadomi milicję o nas, rozumiesz? Ściągnie pomoc. Warto w tym celu wysłać wóz, tak czy nie? Nawet, do licha, jeśli ty w drodze zemrzesz, człowieku, w co, jak cię znam — nie wierzę. Macie partyjny argument, towarzysze.

— Tu nie ma wątpliwości — mruknął Krajewski — wszystko przemawia za wnioskiem.

Krystyn spojrzał bystro po twarzach szoferów: — Pozostawałoby tylko... — zaczął.

— „Opla" prowadzi towarzysz Krajewski... — szepnął przejęty Pałasz.

— Krajewski musi zostać — wtrącił Zajdel z namysłem — ma więcej doświadczenia niż każdy z nas... Potrzebne nam będą wasze rady — wyjaśnił zwracając się do Krajewskiego.

Słychać było ciężki oddech Janisza i krzątaninę na schodach: to w pałacowej wieżyczce ustawiono karabin maszynowy, przy którym miał czuwać Lelkowski. Zetwuemowcy i ludzie kaleńscy wnosili do izby worki napełnione żwirem.

— Szarlej? — wymieniał Krystyn. — Gaj?

— Będą w razie czego potrzebni na stanowiskach — zauważył Krajewski — obydwaj umieją obchodzić się z bronią.

Wszystkie spojrzenia spoczęły na Kurzawcu. Siedział skulony, jak winowajca schwytany na gorącym uczynku, i gniótł w ręku brudną chustkę.

— Ja... towarzysze — wyjąkał, patrząc w posadzkę — powinienem zostać... Strachu już nie czuję. Przełamałem dawną słabość... Pamiętacie. A „Opla" — dobrze nie znam.

Zachłysnął się jakoś i urwał. W izbie zrobiło się ciemniej, gdyż osłona z worków w oknach zabrała trochę światła. Z podwórza dobiegł warkot aut wtaczanych do stajen i szczekanie Flisa.

— Źle to pojmujecie, Kurzawiec — Zajdel wstał i położył mu rękę na ramieniu. — Nie wybralibyśmy człowieka, który się boi. Przeciwnie, wasze zadanie będzie wymagać znacznej zręczności i odwagi. Suma ryzyka taka sama, jak byście zostali z nami. A obowiązek — ciężki. Ufamy wam, Kurzawiec. Możecie pomóc nie tylko Janiszowi, i nie tylko nam...

— Sprawie — dorzucił Ciężarek.

— A „Oplem" już jeździłeś — wyrwał się Gaj — pamiętasz? Wiozłeś nim w lipcu towarzyszy z Wydziału Rolnego KW do Grójca...

Kurzawiec podniósł głowę. W niebieskich źrenicach miał teraz powagę, smutek i odrobinę szaleństwa.

— Jak chcecie, towarzysze... — rzekł głucho i powoli — prywatnie — wolałbym zostać. Partyjnie — podejmuję się jechać. Niech postanowi kierownictwo.

Umilkł i siedział ze zwieszoną głową. Po chwili spojrzał po zebranych. Zrozumiał, otarł dłonie o kolana i wstał, nakładając czapkę.

— No to pójdę, towarzysze — przemówił cicho od drzwi — sprawdzić motor „Opelka".

Próbowali dalej ciągnąć przerwane zebranie. Ale ludzie byli podnieceni: wciąż powracano do wypadku z Janiszem, dyskusja utykała; co parę chwil zalegało duszne, zwarzone milczenie. Fornale kaleńscy siedzieli pod ścianami, przyglądając się jak zetwuemowcy czyszczą broń. Chłopcy pokazywali im rozłożone części, objaśniając mechanizm wystrzału. Zwłaszcza Cyrański i Pałasz umieli ściągnąć na siebie uwagę: trzaskali zamkami ciężkich karabinów, obojętni i jakby trochę tym wszystkim znudzeni, niby dwaj weterani postarzali w bitwach. Chłopi kurzyli machorkę, w regularnych odstępach spluwając na posadzkę.

Kierownictwo ustaliło plan akcji na następny dzień. Kolumna z aktywem gromadzkim miała o świcie wyruszyć na wieś, aby rozpocząć siew na zaoranych nadziałach. Na grunty dotychczas nietknięte orką postanowiono pchnąć ochotnicze zespoły złożone z agitatorów i aktywistów wiejskich. Uchwałę przyjęto jednogłośnie. Od strony parku doleciał leniwy szum gałęzi i krzyk leśnego ptaka.

O „Ogrodniku" nikt głośno nie wspominał. Z chwilą odjazdu Kurzawca stało się jasne, że nie należy mówić o tym, co może nastąpić za godzinę czy dwie, o zmierzchu lub w nocy. W kolumnie nie lubiano uprzedzać wypadków, zarówno dobrych jak i złych; był to jeden z jej wielu niepisanych zwyczajów: jeśli mówiono „jutro" — znaczyło to: „zadanie na następny dzień". Zresztą, pojawienie się bryczki mogło być przypadkowe. Drobnych band i oddziałków działało w okolicy dość dużo. Może zabłąkał się jakiś patrol posłany po żywność lub podwodę, albo odcięty od swej grupy szukał schronienia w Kaleniu? Nikt przecież nie wiedział dokładnie, ile było prawdy w pogłoskach o zbrojnej „konfederacji Ogrodnika", a ile dodał strach i szeptana plotka. Czy „Ogrodnik" w ogóle istniał? Czy jego potęga nie była tylko wytworem powiatowej wyobraźni? W każdej okolicy roiło się od podobnych bajek i legend. Podsycała je nienawiść przyczajona w bogatych młynach, tartakach i kułackich gospodarstwach; normalne zjawisko w toczącej się wojnie klasowej.

Taki był pogląd Ciężarka, który podzielali Gaj, Cyrański i Pałasz. Śmieli się z namarszczonych min zetwuemowców skupionych czujnie przy drzwiach i oknach w oczekiwaniu natarcia. — Patrzcie-no — podkpiwał Cyrański — stalingradczyki! A mamusia mleka wam dała? — Wszyscy się roześmieli. Nawet Zajdel podniósł z uśmiechem głowę znad mapy rozłożonej na kolanach. Cyrański gwizdnął przez zęby

z demonstracyjnym znudzeniem. Potem ziewnął, wyjął z kieszeni organki i otarłszy je dłonią zagrał piosenkę radzieckich szoferów: „Nam nie straszna bambioszka lubaja...“

Krystyn, który wszedł właśnie do izby z Krajewskim, obrzucił siedzących szybkim, przenikliwym spojrzeniem. — Maszyny zaparkowane — powiedział przysiadając się do Zajdla. — Gaj, weź dwóch chłopców, zastąpicie tamtych na podwórzu. Na wszelki wypadek...

— To się rozumie — rzekł Gaj, wciągając karabin na ramię. — Idziemy.

We trzech, z Pałaszem i Cyrańskim, wysunęli się z izby. Przez chwilę słychać było ich kroki na żwirze.

— A wy tu co? — rozejrzał się Krystyn — Spokój? Tak? No, to w porządku, człowieku. Mieliście rację, Krajewski: można liczyć na naszych chłopców... — Umilkł, przecierając kaleką ręką czoło. — Powinien już być na miejscu... — szepnął do Zajdla, rzucając mu przez ramię spojrzenie na mapę. Zajdel skinął głową.

— Szosa nie najgorsza — dorzucił obojętnie Krajewski — a Janisz mocny chłop; wytrzyma. Jeśliby wszystko dobrze poszło, to...

— Tak — przerwał Krystyn — no, zobaczymy, człowieku. Zrobiliśmy wszystko, co do nas należało. A gdzie Lelkowski?

— We wieży... — poinformował spod ściany Ciężarek.

Rzeczywiście, na schodkach wiodących do wieżyczki rozlegało się szuranie butów, głuche odgłosy i pomruki.

Lelkowski od rana nie brał udziału w rozmowach. Po partyjnej naganie, którą dostał za samowolę i szkodliwą działalność, zżółkł na twarzy i przestał się odzywać. W czasie zebrania pilnował maszyn na podwórzu i Kurzawiec opowiadał potem, że Lelkowski nie odezwał się do niego ani słowem, natomiast mówił coś do siebie zgrzytając zębami. Nikt się temu nie dziwił; wszyscy rozumieli, że dawny partyzant musiał dotkliwie odczuć przeżyte upokorzenie. Lelkowski milczał do chwili, kiedy odnalazł rannego Janisza. To on pierwszy zaczął wołać o pomoc i on z Szarlejem przeniósł go do izby. Po czym znowu umilkł, aż do odjazdu Kurzawca. Lecz od tego momentu zaczął się zachowywać inaczej niż wszyscy.

Obserwowali to bez słowa, ukradkiem śledząc go oczami. Lelkowski nie spoczywał ani chwili. Jego czarna postać coraz to pojawiała się w izbie lub za oknem, w drzwiach albo na schodkach; czasami znikał na długie minuty i nikt nie wiedział, gdzie się podziewa. Wracał po kwadransie, aby wyciągnąć z izby paru ludzi do ładowania wor-

ków. Potem znowu przepadał, z wieżyczki dolatywał wtedy łomot, stukanie kroków i szelest przesuwanych ciężarów. W izbie na dole milkły rozmowy: chłopcy zamieniali między sobą spojrzenia. Po jakimś czasie Lelkowski nagle wyrastał w drzwiach. Był nieco blady, cichy i gibki; stawiał kocie, bezszelestne kroki, wąsiki pod rozdętymi nozdrzami miał jakby zjeżone. Wszyscy patrzyli, jak wprawnymi ruchami rozkłada na ławie wiązki granatów. Nikt mu w tym nie przeszkadzał. Ale i nikt nie zabierał na ten temat głosu. Krystyn, Zajdel i Krajewski, zajęci rozmową z fornalami, udawali, że tego nie widzą. Na mocy niemego układu dwudziestukilku ludzi Lelkowski wziął na siebie przygotowania do zbrojnej ochrony kolumny. Jeden tylko Szarlej, z którym od czasu do czasu wychodzili naradzić się przed budynkiem, był zapewne wtajemniczony w jego plany.

Teraz od godziny tkwili w wieżyczce. Musieli niezgorzej pracować. We dwóch wtaszczyli tam kilkanaście worów, napełnionych piaskiem i żwirem, i skrzynki z amunicją. Słychać było ich ciężkie oddechy, sapanie Lelkowskiego i krótkie uwagi Szarleja. Porozumiewali się prawie bez słów, urywanymi pomrukami; obydwaj byli małomówni.

W pewnej chwili odgłosy w wieżyczce ucichły. Zetwuemowcy spojrzeli w stronę drzwi. Na schodkach rozległy się kroki: do izby wszedł Lelkowski. Był zabrudzony, spotniały, czarne włosy przylepiły mu się do czoła. Wszyscy zrozumieli, że zrobił już swoje: stał z czapką w ręku i patrzył spode łba na Krystyna. Parę godzin temu Krystyn udzielił mu publicznej nagany i Lelkowski na pewno o tym nie zapomniał. Teraz zerkał nań z ponurą, czułą wymówką, jak gdyby chcąc powiedzieć: „No, mów, czy nie żałujesz..."

Krystyn podniósł głowę. Spotkał wzrok Lelkowskiego i zmarszczył się.

— No, jak tam z wami? — spytał. — Skończone?

Lelkowski odwrócił oczy.

— Melduję... cie... towarzyszu — mruknął patrząc w okno — że tak.

Zapadło krótkie milczenie. Chłopcy spod ścian spoglądali wyczekująco na Krystyna i Zajdla.

— Więc jesteście gotowi? — powiedział Zajdel. — Myślę, że trzeba podziękować Lelkowskiemu.

— Nie trzeba — warknął Lelkowski.

Krystyn przebierał palcami po brzegu ławki, przypatrując się z namysłem jego zakurzonym butom.

— Odłożymy to na później — rzucił oschle — teraz obgadamy z towarzyszami z Kalenia jutrzejszą akcję. Przede wszystkim: konie i narzędzia. Towarzysz Tatara ma głos. Zebranie trwa. Mówcie.

Ludzie kaleńscy poruszyli się na ławach. Tatara oparł ręce o kolana i chrząknął. Nikt nie spostrzegł, że Lelkowski uczynił niespokojny ruch, jakby chcąc o coś się upomnieć.

Nie usiadł, i podczas gdy Tatara coś mówił, Lelkowski stał przy drzwiach, wlepiając w Krystyna natarczywy, podniecony wzrok. Lecz Krystyn nie widział tego: uważnie słuchał Tatary, który podawał stan inwentarza w gromadzie. Lelkowski machnął ręką z rezygnacją i przykucnął w kącie na sienniku.

— Towarzysze — rozległ się spod drzwi głos Szarleja, kiedy Tatara skończył. — Lelkowski powinien nam wyjaśnić rozkład stanowisk bojowych na wypadek...

Urwał pchnięty z tyłu rozwartymi drzwiami. Do izby wpadł Pałasz i potknął się o czyjeś nogi. — Są... są... — dyszał łapiąc oddech otwartymi ustami. — Zajechali... od podwórza.

— Do okien! — wrzasnął Lelkowski, cisnąwszy czapkę na ziemię. — Szarlej, ze mną, na wieżę! — Kopnął leżącą czapkę i wybiegł na schody.

W izbie zakotłowało się od wrzawy. Zetwuemowcy tłoczyli się przy oknach. Słychać było szczęk zderzanych karabinów, przekleństwa i ostry, szybki głos Krystyna.

W chwili gdy na podwórzu zabrzmiał pierwszy wystrzał, przez rozwarte drzwi wleciał Cyrański. Oparł się o ścianę, skulony z wysiłku; miał pokłutą twarz, przedzierał się pewnie przez szpaler.

— Gaj został — wyjąkał resztką tchu — będzie się ostrzeliwał... Z dachu spichrza. Nam kazał wracać... — Zachłysnął się i otarł dłonią twarz. Od strony zabudowań folwarcznych, w czystym ucichłym powietrzu rozległ się drugi wystrzał. Wszyscy poznali stary karabin Gaja.

IV

— Pałasz, słyszysz? Mówię ci: silnik gra na szosie... Przyłóż tylko ucho.

Zetwuemowiec z czołem przepasanym brudną chustką, szarpał za rękaw Pałasza, który zdawał się drzemać, głową oparty o ścianę.

— Może to Kurzawiec wraca z pomocą... — odezwał się z kąta czyjś głos.

— Dajcie spokój — szepnął Pałasz nie otwierając oczu — to nie silnik. Wiatr tylko gra w szparach. W stronę Warszawy wieje: północno-wschodni...

Znowu ucichli, nasłuchując. Zmierzch nie zapadał jeszcze, ale światło, wsączające się do izby poprzez osłonę z worków, stawało się coraz chłodniejsze. Łagodnie gasnące niebo przysyłało daleki łopot skrzydeł wodnego ptactwa, ciągnącego zapewne na nocleg, i wysoki szum parkowych klonów. Ilekroć zrywał się silniejszy podmuch wiatru, z dachówki porytej kulami leciał tynk, kawałki muru i szkła. Wieżyczka, z której bronił się Lelkowski, dwukrotnie wytrzymała skoncentrowany ogień bandy.

Na dole, w izbie, panowało ciężkie milczenie, z rzadka tylko przerywane szeptem. Siedzieli pod ścianami, pokładłszy broń na kolanach i obok siebie. Część skupiona przy oknach, klęcząc lub półleżąc, śledziła przez luki w osłonie ciemniejącą gęstwę szpaleru, zakrywającego budynki folwarczne, i kępy krzaków rozrzucone za klombem, u wejścia do parku. Krystyn stał bez ruchu, przyparty bokiem do futryny; widać było jak w zapadłej skroni pulsuje mu tętno, rękę z „Naganem" opuścił wzdłuż uda. Od czasu do czasu, nie odwracając się, rzucał za siebie krótkie polecenia swym suchym, zachrypłym głosem. Wtedy jeden z chłopców wysuwał się z izby na schodki wiodące do wieżyczki; kroki głośno skrzypiały w ciszy.

Ciało Cyrańskiego, przykryte kocem, leżało na sienniku w rogu izby. Obok przycupnął Pałasz. Pałasz z początku płakał i wszyscy udawali, że tego nie widzą. Teraz uspokoił się już, ale nie chciał odejść od siennika. — Zostawcie — mruknął Ciężarek, gdy jeden z zetwuemowców próbował go pocieszać — tak mu lepiej. — I pogłaskał Flisa, który oparł mu łeb o kolana, obwąchując lufę pepeszy.

— Ile czasu do zmierzchu? — spytał Krystyn.

— Przeszło godzina — odpowiedział Krajewski, który siedząc okrakiem na ławie dzielił pozostałe kostki cukru po trzy dla każdego. Jego fajka i „Vis" leżały obok, pod ręką. — Chcesz pociągnąć? — spojrzał na Pałasza, chowając zegarek do kieszeni. Po raz pierwszy odkąd go znali, Krajewski częstował chłopców fajką.

— Dziękuję, panie Krajewski — smutno potrząsnął głową Pałasz.

Z wieżyczki szczeknął krótko kaem. Widocznie Szarlej wymacał kogoś za szpalerem. Zaczęli nasłuchiwać, czy nie rozlegnie się dłuższa seria. Ale Szarlej oszczędzał resztek amunicji: tym razem skończyło się na ostrzegawczym wystrzale. Słychać było, jak rzuca krótkie polecenia

zetwuemowskiej obsłudze. Potem cisza; znów usłyszeli, że przesuwa worki. Stosował zmienny obstrzał z trzech okien wieżyczki. Lelkowski zbyt długo bronił się z jednej pozycji, dlatego zginął: gdy jego głowa po raz któryś z rzędu ukazała się w tym samym oknie, dostał od razu pięć kul. Leżał teraz na górze, przykryty swoją czarną kurtką, z workiem wsuniętym pod głowę.

— Do zmierzchu będzie chyba spokój, chłopcy — odezwał się Zajdel — kto się zmęczył, może sobie uciąć drzemkę... Zajrzę do Szarleja — rzucił Krystynowi. Wstał i podszedł do drzwi.

— Weźcie płaszcz — rzekł Ciężarek — na górze ziąb. Wiatr tam hula jak w gołębniku.

— Sprawdź, ile mu jeszcze zostało amunicji — dodał Krystyn nie odwracając głowy.

— Dobrze — odparł Zajdel. Zarzucił płaszcz, obejrzał z bliska pistolet, który trzymał w ręku. Wreszcie cicho otworzył drzwi i opuścił izbę, garbiąc swe chude, cywilne plecy.

V

W dwóch natarciach stracili trzech ludzi; pięciu było rannych. Bronili się od czterech godzin, okrążeni przez leśnych ze wszystkich stron. W przerwach między natarciami wytrzymywali nękający ogień ręcznej broni. Nie mogli marnować kul — wyczerpywał się ich skąpy zapas amunicji. Malała również ich nadzieja — pomoc, która powinna była nadejść przed zmierzchem, dotychczas nie nadeszła. Z chwilą gdy milkł huk wystrzałów, słyszeli dookoła ciszę, szmer liści na parkowych drzewach i szelest tynku osypującego się z wieżyczki. Zdawało im się wówczas, że walczą na tonącym okręcie, otoczeni bezludnym oceanem i że daleka ziemia zapomniała o nich.

Pierwsze natarcie bandy zatrzymał Gaj. Powstrzymał je własnymi piersiami: kiedy oddział złożony z kilkunastu ludzi wpadł przez bramę folwarczną między zabudowania, Gaj nie stracił przytomności umysłu: zrozumiał, że należy ostrzec towarzyszy, nie przygotowanych jeszcze do odparcia ataku, krzyknął więc Pałaszowi, by biegł z Cyrańskim do izby, a sam wdrapał się po drabinie na dach murowanego śpichrza, w którym zgromadzono ziarno na siew. Bronił się stamtąd przez kwadrans celnymi strzałami swego karabinu; widać było z wieżyczki jak pełzał po śliskim, spadzistym dachu, zmieniając miejsce po każdym wystrzale. Zaskoczeni napastnicy musieli się ukryć za wozownią; ostrzeliwali go stamtąd seriami z automatów. Po każdej serii, z dachu odzy-

wało się chrapliwe szczeknięcie karabinu i cienkie wymyślania Gaja. Nikt nie zauważył, kiedy dosięgła go kula. Gdy z izby w skrzydle pchnięto wypad szturmowy na podwórze, karabin Gaja już milczał. Mały szofer na widok biegnących towarzyszy musiał zapomnieć o ostrożności; ugodzony, spadł na drugą stronę śpichrza; leśni wyparci z podwórza zabrali pewnie jego ciało, gdyż potem nie można go było odnaleźć.

Godzina upłynęła w spokoju; przez ten czas mocniej obwarowali swoje stanowiska. Położenie ich było ciężkie, ale nie beznadziejne; z trzech okien w izbie szkolnej — dwa wychodziły na klomb i park, jedno — na podwórze folwarczne; wieżyczka górowała nad terenem, trzymając cały obszar dworski w zasięgu swego kaemu. Mogliby stąd przez dłuższy czas odpierać przeważające siły napastnika, mogliby się bronić nawet kilka dni — gdyby im starczyło amunicji...

Szpaler ciągnął się dwiema ścianami żywopłotu po obu stronach klombu, stanowiąc niby przedłużenie pałacowych skrzydeł. Jedną swą ścianą oddzielał dwór i park od zabudowań folwarcznych, za drugą krył strojne owocowe sady. Prowadził aż do pierwszych parkowych drzew, tam ustępował miejsca dzikiej gęstwinie krzaków, pni i mchów. Teren walki był więc zamknięty jak gdyby z czterech stron: podwójnym szpalerem, parkiem i frontonem pałacu; pośrodku widniała nieruchoma tafla wody — na plecach brązowych najad oglądano później liczne ślady kul.

W parę lat po opisywanych wypadkach, gdy wieś kaleńska była już spółdzielnią produkcyjną, warszawscy aktywiści pezetpeerowscy lubili oprowadzać przyjezdnych literatów i dziennikarzy po dawnym terenie walki.

„Okrążeni, proszę towarzyszy — wspominał wtedy ów dzień Ciężarek — zostaliśmy już przed drugim natarciem. Nasz wypad, jak wiadomo, przepłoszył ich czołówkę: wycofała się straciwszy trzech ludzi; nam ubył biedak Gaj... Podkreślam, towarzysze, że w wypadzie brał udział aktyw zetwuemowski: ośmiu chłopców z granatami i ręczną bronią; poprowadził ich towarzysz Krystyn i Szarlej..."

„Po wykonaniu zadania — ciągnął po chwili zadumy — wróciliśmy na stanowiska. W izbie pożegnaliśmy Gaja minutą milczenia: zginął partyjną śmiercią... Lelek i Cyranka stali z czapkami w ręku jak wszyscy. Któż by przewidział, że w godzinę później... Szkoda słów, towarzysze, każdego mogło to spotkać, tak jak nas było wtedy dwudziestu siedmiu z kolumny..."

Już w pół godziny później usłyszeli turkot taczanek, wystrzały i stłumioną wrzawę zbliżającą się od strony wsi, parku i sadu. Wyparta czołówka musiała zawiadomić główne siły „Ogrodnika“: teraz zamykały ich jednocześnie z trzech stron. Nic jeszcze nie było widać, banda zachowywała ostrożność: korzystając z osłony szpaleru i parkowych drzew, napastnicy zajmowali upatrzone pozycje. W izbie można było wtenczas usłyszeć brzęczenie much i oddech każdego człowieka; stali lub klęczeli przy oknach, ciasno zwarci w trzech gromadach, z bronią gotową do strzału; jedni opierali lufy o worki, ułożone na parapetach, inni — o ramiona klęczących.

Czekano na pierwszy znak, który miał paść z wieżyczki. Czuwało tam trzech ludzi: Lelkowski przy kaemie, Szarlej i Cyrański z automatem i granatami. Leśni rozrzucali się zapewne w tyralierę, osłonięci żywopłotem i cieniem drzew; z głębi parku słychać było okrzyki, nawoływania, rżenie koni i głuche dudnienie jaszczy; musiały tam stać znaczniejsze siły, najpewniej — sztab bandy.

Otaczani nie widzieli otaczających. Ludzie w izbie, skupieni przy oknach, liczyli mijające sekundy: ze skroni Krystyna ściekała kropla potu; czuli, jak zwolna zaciska się wokół nich groźna niewidzialna obręcz; każdy modlił się w duchu o huraganowy ogień lub wściekły szturm — wszystko byłoby lepsze od przyczajonej ciszy, pełnej zagadkowych poruszeń i odgłosów.

Pałasz, pchnięty na górę, wrócił blady: z wieżyczki także nie widać było ruchów napastnika. — Lelek powiedział, żeby czekać, towarzysze — szepnął stając w drzwiach.

Krystyn szarpnął porywczo ręką z „Naganem“: — Wracaj i powtórz mu, co mówię: jedną serię w szpaler, drugą w park! Zobaczymy, czy się nie odezwą...

Odezwali się. Kiedy Lelkowski szerokim ściegiem swej maszynki przejechał się po szpalerze, sad niemal jednocześnie odpowiedział błyskami i terkotem; nad berberysem i głogiem wykwitły błękitne dymki, po blaszanym dachu zadzwoniło szkło. Na sekundę zapadła cisza, po czym z okien buchnął krzyk: zetwuemowcy dali folgę długo wzbierającej wściekłości: — Dranie! Kanalie faszystowskie!—wołał przedzierając się do okna Pałasz z wytrzeszczonymi oczami i białą, skurczoną twarzą.

— Nie strzelać na oślep! — rozkazywał Krystyn — spokojnie, chłopcy, nie tracić głowy!

Z wieżyczki roległa się druga seria kaemu; wraz z jej echem doleciał szmer obłupanej kory i bolesny świst klonowych liści, przeszytych kula-

mi. Na górze Lelkowski zaczął podśpiewywać jakąś partyzancką piosenkę, potem sucho zaklaskał automat Szarleja; usłyszeli okrzyk Cyrańskiego: — Zetwuemowcy! — Czołem! Śmierć faszystom!

— To nic... — mruknął Krajewski — to nic, towarzysze... — Trzymał się za prawę ramię i, trochę pobladły, ostrożnie usiadł na brzegu ławki. — Towarzyszu Krajewski — szeptał Pałasz — Towarzyszu Krajewski... Z worków w oknach unosił się żółty kurz, piec wstrząśnięty hukiem posypał ziemię zeschłą gliną. — Kryć głowy!... — słychać było ostry głos Krystyna — Nie wychylać się! — Ciężarek odsunął Pałasza; klęcząc przy Krajewskim odwijał mu rękaw. Szofer siedział na ławce bez czapki; pod siwym kosmykiem na czole przebiegał czerwony odcisk daszka. — Głupstwo... — syknął usiłując podnieść „Visa" leżącego na ziemi; lecz nie dosięgnął: zaklął tylko i otarł wierzchem dłoni spotniałą twarz.

— Teraz uważać, chłopcy... — odezwał się w niespodziewanej ciszy głos Zajdla — zobaczymy, z czym idą...

Nikt z początku nie rozumiał, co się stało. — Nie strzelać — mówił Krystyn przyciśnięty do futryny — spokojnie... spokojnie... Pałasz na górę. Nie wolno otwierać ognia — póki my nie zaczniemy...

Na wieżyczce i w izbie ucichły wszelkie odgłosy. Dwadzieścia siedem par oczu wpiło się w krzaki rozrzucone między wylotem klonowej alei a klombem.

— To Sobik... — szepnął Ciężarek zza pleców Krystyna — Biała chustka?... Czegóż ten...

— Uważać... — przerwał Krystyn — nie wolno ich przepuścić poza klomb.

Przez chwilę znowu nic nie było widać: zasłoniły ich krzaki tarniny rosnące nad starą fosą czy wyschłym strumykiem, który niegdyś tędy zapewne przepływał, by zginąć w głębi parku. Można teraz było dostrzec tylko poruszenia białej chustki zatkniętej na gałęzi, którą niósł Sobik; może nie chciał iść dalej. Zza krzaków dobiegło chrapanie konia, a potem donośny, męski okrzyk:

— Nie-strze-lać! Nie-strze-lać!...

— Jesteście o-to-cze-ni!

— Po-da-my-wa-run-ki! Nie-strze-lać...

Z okien pałacowego skrzydła odpowiedziało milczenie. — Spokój... — powtórzył szeptem Krystyn.

Zza krzaków tarniny wynurzył się najpierw Sobik: gałąź z białą szmatą niósł wysoko ponad głową, jak kościelny feretron; szedł chwiej-

nie, lecz dużymi krokami, nie patrząc ani w prawo, ani w lewo; z daleka mogło się wydać, że ma zamknięte oczy; poły wytartej kurty plątały mu się między kolanami. Z tyłu, truchtem, na małym, chłopskim koniu jechał człowiek w skórzanej pilotce, której klapki powiewały na wietrze; automatyczny pistolet oparł o kulbakę, lufę kierując w plecy Sobika. Rozglądał się ukradkiem po oknach i rzucał jakieś słowa do rowerzysty w polowym mundurze i bufiastych spodniach opadających na żółte, marszczone buty, który podskakiwał obok, pedałując z wysiłkiem po murawie; jego lorneta, przewieszona przez pierś, połyskiwała w słońcu.

— Pięciu... — mruknął Ciężarek. Dwóch pozostałych szło o kilkanaście kroków z tyłu: bluzy khaki z koalicjami, czarne kawaleryjskie oficerki, srebrne naszywki; jeden miał beret, drugi furażerkę na bakier; — obydwaj młode wyrostki, widać było, że są w strachu.

— Stać! — rozległ się z okna głos Krystyna — Ani kroku poza klomb! Mówcie: czego chcecie?

Sobik zarył się buciorami w skraj klombu; powoli opuścił gałąź i zerknąwszy spode łba w stronę okien wycofał się za konia; koń uskoczył w bok, jeździec w samochodowej pilotce grzmotnął go kolbą automatu.

— Złóżcie broń! — wołał wychylając się z siodła ponad końskim łbem — jesteście wzięci do niewoli przez oddziały „Konfederacji Walki Zbrojnej"! Nie ujdziecie stąd! Waszych towaryszczy tu niet! Ej, słyszycie? Wychodzić po kolei i składać broń!

Odjął od ust dłoń zwiniętą w trąbkę i powiedział coś do rowerzysty w żółtych butach. Tamten skinął głową i krzyknął, jąkając się z podniecenia:

— Wyślijcie dwóch ludzi, poprowadzimy ich do dowództwa! Inaczej — za kwadrans będziecie wisieć na gałęziach! Szybko! Nie mamy czasu!

— Zamknij pysk, zdrajco skurwysyński! — zachrapał z góry Lelkowski. — Smród z niego zieje...

— Wiesz do kogo mówisz?! — wrzasnął falsetem Cyrański — do władzy ludowej, wypędku faszystowski! Zdejm orzełka!

— Zdejm orzełka! Zdejmijcie orzełki!!! — rozległo się naraz ze wszystkich trzech okien na dole. Zetwuemowcy cisnęli się wygrażając pięściami i plując na żwir.

Rowerzysta szarpnął rower i cofnął się, wystraszony; twarz mu trochę zszarzała, ręką dawał znaki jeźdźcowi, który ściągał swego konia, spłoszonego krzykiem. — Odpowiadacie, czy nie?! — rzucił wreszcie uno-

sząc się w strzemionach — „Nie“ — to będzie z was szynka dla Kremla!... Pięć minut do namysłu... — Pogroził „Stenem“ i pchnął konika ku sadzawce.

— Za dużo dla takich świń! — krzyknął wyrostek w berecie z naszywką kaprala — lepiej od razu puścić z dymem...

— ...towarzyszu Krajewski... słyszycie? — szeptał Pałasz pociągając za rękaw starego szofera, który siedział na ławce w głębi izby — a to psy! Co? Towarzyszu Krajewski... słyszycie? We mnie, to krew... uuch, matko miłosierna, strzelę chyba, albo co...

Krajewski milczał, nie patrząc na niego; twarz miał jeszcze pobladłą, wąsy i brwi dziwnie mu się ruszały. Pałasz trącił go w zdrowe ramię:

— Panie Krajewski... — powtórzył niespokojnie.

Szofer wystukał o brzeg ławy popiół z wygasłej fajeczki.

— Wracaj, smarku, do okna — mruknął — i ucz się rozpoznawać swego wroga... No?...

W oknach i w stronie klombu było teraz cicho.

— Ludzi do was nie wyślemy! — brzmiał donośny, twardy głos Krystyna — Klasa robotnicza nie paktuje ze zdrajcami narodu. Powiedz o tym, człowieku, swoim dowódcom i powtórz nasze warunki: natychmiast złożyć broń i oddać się w ręce władzy ludowej. Kara będzie wymierzona sprawiedliwie.

Koń odskoczył od sadzawki, jakby w niej poczuł siarkę: jeździec w pilotce zdarł ze złością cugle.

— Ty, bolszewickie nasienie! — wrzasnął potrząsając automatem — W czyim imieniu przemawiasz? Co? Ty nie gadaj, niech tamci mówią! W czyim imieniu, no?

— Nie męcz konia — powiedział ostro Zajdel — i słuchaj: mówimy w imieniu polskich robotników, którym odcinacie dowóz żywności. I polskich chłopów, którym przeszkadzacie obsiewać ziemię, rabujecie inwentarz i grozicie śmiercią. Słyszysz? Mówi do ciebie Partia polskiego proletariatu. Nie przerywaj. Są tu również byli fornale kaleńscy, nasz aktyw gromadzki... I chłopcy z Zetwuemu... I bezpartyjni. Wracaj do swego dowództwa. Powiedz, że będziemy się bronić do ostatka. Nic wam z tego nie przyjdzie, żeście nas otoczyli. I tak nie będziecie tu rządzić... My tutaj własną krwią wpiszemy datę przybycia władzy ludowej. A po nas — i tak przyjdą nasi towarzysze. Wiedzą już o was, nie ujdziecie kary...

Faszyści naradzali się chwilę, skupieni koło sadzawki; tylko Sobik stał na uboczu, oparty o gałąź i oglądając swoje powalane ziemią buty,

zdawał się ciekawie nadsłuchiwać. W minutę później pędzili go przed sobą w stronę parku: szedł prędko, potykając się o niskie krzewy i łapiąc ramionami powietrze. Plecy jeźdźca skakały podrzucane nierównym kłusem, dwaj piesi biegnąc oglądali się co parę kroków za siebie Gdy zbliżyli się do tarniny, człowiek w żółtych butach zeskoczył z roweru i podniósł do oczu lornetę. Tamci przystanęli koło niego; lufy, gwiazdki i guziki zamigotały w słońcu.

— Koniokrady! Lokaje kapitalistyczne! — krzyczał Cyrański z wieżyczki — spróbujcie się tylko pokazać! Ułany złodziejskie! Trzymaj się ogona, bo ci kobyła ucieknie, gnojarzu!

— Pałasz, uspokój go — rzucił Krystyn nie odrywając wzroku od tarniny.

Ale Cyrański dalej miotał z góry straszliwe przekleństwa i wymysły. Musiał wychylić się z okna, bo w izbie słychać było jego głos tak wyraźnie, jakby wołał z dachu tuż nad głowami załogi. Umikł wreszcie wpół słowa. Jeździec, który miał już zniknąć wśród drzew, w ostatniej chwili zawrócił konikiem i złożył się nad kulbaką: spostrzegli przez sekundę jego płaską złą twarz ponad końskim łbem i krótki błysk. Strzał śpiewnie rozdarł powietrze.

— Łajdak... — mruknął Krystyn — pomacać go chłopcy, nastraszył Cyrankę.

Wśród bezładnej strzelaniny leśni pośpiesznie zanurzyli się w ciemnej zieleni parku. Nastąpiła cisza, pod spokojnym, bezchmurnym niebem stygły echa wystrzałów.

— Cyranka... — szepnął Pałasz patrząc w stronę drzwi.

W drzwiach stał Szarlej, zgięty pod ciałem przerzuconym przez plecy: czarna czupryna Cyrańskiego dotykała mu piersi.

— Wychylił się... — powiedział z wysiłkiem — Pałasz, pomóż mi.

W kwadrans później rozpoczęło się drugie natarcie. Trwało półtorej godziny. Odparli cztery wypady z parku, z podwórza i sadu. Rzutami granatów unieszkodliwili nieprzyjacielski moździerz osłonięty szpalerem. Pięciu ludzi, którzy podpełzli pod skrzydło pałacu — zakłuto w walce wręcz.

W izbie panował zaduch od dymu, kurzu i szmat przesiąkłych potem i krwią. Nieraz w przypadkowych zetknięciach wśród zgiełku i palby, trudno się było nawzajem rozpoznać: twarze mieli sczerniałe — od nienawiści czy prochu. Po godzinie walki, gdy zginął Lelkowski, zza szpaleru ponownie ich wezwano do złożenia broni; — odpowiedzieli ogniem

z trzech okien. Do zachodu słońca utrzymali swe pozycje. Faszyści przerwali natarcie.

Lecz zbliżał się zmierzch, a za nim noc. Pozostała im resztka amunicji, ostatek nadziei i wydarty z serca strzęp sił. Dwudziestupięciu ludzi, którzy umieli nie bać się niczego, z lękiem myślało o ciemności.

VI

Wiatr, który zerwał się przed zmierzchem, naniósł trochę chmur; przyszły od strony wzgórz i stanęły nad parkiem; były sinawe, dość ciężkie, ale nie zapowiadały ulewy. Tylko powietrze przygasło, jakbyś sypnął w nie garść kurzu czy popiołu; tak że, gdy Zajdel wrócił z wieżyczki, kontur jego postaci niewyraźnie zarysował się w drzwiach.

— Cisza... — szepnął zrzucając płaszcz — przed nocą nie zaczną.

Krystyn odwrócił się od okna.

— Jak Szarlej stoi z amunicją?

Na Zajdlu spoczęło kilkanaście par oczu. Stał pochylony nad ławką, na której układał płaszcz, niby namyślając się, jak sobie najwygodniej umościć posłanie.

— Źle?... — rzucił Krystyn.

Zajdel spojrzał nań zmrużonymi oczami.

— Szarlej — odparł powoli — mówi, że zwyciężymy.

W izbie zrobiło się cicho. Pałasz westchnął pod ścianą. Kilku zetwuemowców drzemało, opierając skroń na brudnej pięści. Na posadzce, wśród okruchów szkła, gliny i żwiru, walały się strzępy zużytych opatrunków.

— Rozmawiałem z nim — odezwał się po chwili Zajdel — ma swoje plany na tę noc. Chce je wam przedstawić, chłopcy, i zdaje się, że trudno go będzie od nich odwieść.

Spotkał wbite w siebie czujne oczy Ciężarka i Flisa, który podniósł łeb.

— Wiem — mruknął Ciężarek — Uparł się. Zna tu podobno każdą ścieżkę...

Wszyscy umilkli nasłuchując poruszeń w wieżyczce. Usłyszeli głos Szarleja; mówił coś do swoich zetwuemowców.

—To nie jest proste — rzekł niecierpliwie Krystyn — może się udać tylko pod osłoną chmur. Oni mocno zacieśnili pierścień, mysz się nie przekradnie.

— Chmury — niepewne — dorzucił Krajewski z głębi izby — co wiatr przywiał, wiatr może i rozwiać. A szkoda byłoby chłopca...

Przez chwilę wsłuchiwali się w odgłosy wiatru; szpaler przynosił śpiewne świsty, odpowiadał im łagodny głęboki szum klonów. W głębi parku znowu zarżał koń. Po odpartym natarciu leśni zwarli swe pozycje w szczelną obręcz wokoło pałacu. Wiatr przywiewał strzępki ich rozmów.

— Poszedłbym z nim, towarzysze — odezwał się nagle Ciężarek — pozwólcie...

Pochylił się wprzód, szukając wzroku Krystyna i Zajdla. Nikt mu nie odpowiedział.

*

* *

— Towarzyszu Krajewski — odezwał się z kąta zetwuemowiec z głową przewiązaną chustką — wiatr tak gwizda... Jakby w duszy grało. Może opowiecie jaką historię?

Było już szaro, korony drzew za oknem, pomieszane z chmurami, ciemniały powoli, okrywając się zmierzchem. W izbie trudno by teraz rozróżnić poszczególne twarze i przedmioty. Tylko profil Krystyna czerniał nieruchomo na tle bielonej ściany: czuwał przy oknie, wsparty ręką o futrynę; zetwuemowcy przytulili głowy do worków; inni przysiedli na siennikach; Zajdel przechadzał się po izbie. Tatara z kaleńskimi ludźmi zajęli dwie długie ławy pod ścianą; trzech spośród nich odniosło rany, jeden cicho jęczał.

— Historię?... — odparł Krajewski szeleszcząc tytoniem, który kruszył zapewne w palcach — jaką ja ci opowiem, synku, historię? Ot, nasza nie byłaby najgorsza... A ty boisz się pewnie, hę?

— Boję się... — szepnął zetwuemowiec z chustką i westchnął połyskując białkami.

— Nie masz się czego bać — pocieszył go Krajewski — tacy jak ty nie giną jak muchy. Młody jesteś, musisz odpracować swoje pięćdziesiąt lat. Partia będzie cię potrzebować, hoho, jeszcze nie raz...

— A... jak stąd nie wyjdę, towarzyszu Krajewski — szepnął zetwuemowiec — to co?...

— Głupiś — mruknął surowo szofer.

W mroku zaczęła się żarzyć fajka Krajewskiego.

— W 1936 siedziałem z trzema towarzyszami w więzieniu powiatowym w Łomży. Ano tak... Z masówki nas wzięli. Rok był — niespokojny. Pamiętacie lwowski kwiecień? Pogrzeb towarzysza Kozaka? Z Brygidek, kiedy zbliżał się tłum robotniczy, powitano go Między-

narodówką. Tak, towarzyszu Leonie, wy to pamiętacie — wiem, ale oni, młode psiaki, co dla nich znaczy: „jednolity front"? Ty, Ciężarek, dwudziestysiódmy rocznik, tak? Toś w trzydziestym szóstym po podwórku z chłopakami się uganiał. A rok był — gniewny, czerwony...

— No, w Łomży, w więzieniu cicho się zdawało, mury grube. Ale w okolicy szerzyły się strajki robotników rolnych. I tam, gdzie wybuchł strajk, nie było już tak cicho. A naszych działaczy hrabiowie wydawali w starościńskie łapy: po sześć i po dziesięć lat chłopcom się dostawało. Był tam między nimi Świeradek Jan, pomocnik dworskiego stelmacha. Ten to ci cały folwark przeciw dziedzicowi Stokowskiemu podburzył. Kiedy go wieźli wozem do Łomży, to jeszcze przodownikowi policji kajdanami ząb wybił. Chłopak jak płomień. W śledztwie skatowali go prawie na śmierć. I wrzucili do sąsiedniej celi, obok nas.

— Wiadomość o tym doszła do nas tego samego dnia. Ano tak. Zaczęliśmy stukać w ścianę raz po raz: to-wa-rzy-szu o-dez-wij się. Ale nic, cisza, nawet robak w szczelinie nie zaszemrał. „Nie żyje" myślimy „umarł z pałek". Bywało tak czasem. I do wieczora siedzieliśmy jak niemi. Żal skuł nam gęby i serca: o jednego mniej. Aż tu — dobrze już było ku nocy — słyszę za ścianą jakby chrobot... nie, gdzie tam chrobot! cichutkie to było, ledwie, ledwie — trawa głośniej rośnie. — Świeradek stuka — daję znak. I przykładam ucho do ściany, żeby usłyszeć, czego chce Świeradek. A on, słabnącą ręką, wystukał nam takie słowa: W-pierś — niech — bi-ją — mło-tem. Nie-pęknie — Zat-nij — us-ta — choć — w — us-tach — krew... A dalej to już nie stukał. Sił pewno mu zabrakło. Nie dokończył, chociaż czekaliśmy do rana.

Krajewski umilkł; węgielek fajki podświecił mu wąsy; nakrył go kapslem, by nie przynęcić kuli.

— A cóż to były za słowa? — spytał po chwili milczenia zetwuemowiec z owiązanym czołem.

— Ot, taka pieśń — odparł Krajewski — rewolucyjna. Z ludu podobnoć wyszła.

Słychać było skrzypienie ławy, na której siedzieli ludzie kaleńscy, i śliski szum żywopłotu wstrząsanego wiatrem.

— Towarzyszu Krajewski — szepnął nagle Pałasz, który widocznie nie spał, lecz słuchał przez cały czas — a co się stało ze Świeradkiem? Umarł?... Tak? Umarł, towarzyszu Krajewski?

Krajewski namyślał się chwilę, rozgniatając butem wysypany na ziemię popiół.

— Nie wiem — odpowiedział zwolna. — Po wyjściu z celi więcej go już nie spotkałem. Czy zmarł, czy wyżył — tego nie powiem. Ale w 43 roku, w łomżyńskiem, bił się oddział alowski jego imienia. Dzielny oddział: imienia Jana Świeradka. Żandarmi nie bardzo go kochali.

Zciemniało już mocno, mrok zapadał coraz śpieszniej, zganiając chmury zza kaleńskich wzgórz na środek nieba. Z wieży znów zaklaskała maszynka, tym razem jeszcze krócej; odpowiedziało jej kilka pojedynczych strzałów od strony sadu. I znowu wszystko umilkło, rozwierając ciszę dla westchnień i szelestów.

— Słyszałem o tym oddziale... — odezwał się Ciężarek.

Przestali rozmawiać, bo znów wydało im się, że od dalekiej szosy wiatr doniósł odgłos motoru. Ale tak samo jak przedtem, był to tylko głos ich nadziei.

Zajdel mówił teraz cicho i powoli, co kilka kroków przerywając swą przechadzkę po izbie. Gdy zwracał się do okien, na twarz padał mu chłodny poblask nieba sączący się zapewne przez szczeliny w chmurach; widać było wtedy jego uśmiech.

— Czy dobrze zrobiliśmy — ciągnął w zamyśleniu — postanawiając się bronić? Ryzykowaliśmy życiem, to prawda. Może niejeden z was ma takie myśli w głowie, bywają chwile załamań...

— Nikt tego nie myśli, towarzyszu Zajdel — szepnął jeden z zetwuemowców — po cóż wy tak...

— No, mniejsza z tym — uśmiechnął się Zajdel — chciałbym tylko, żebyście jasno zrozumieli, dlaczego tu jesteśmy. Wbiliśmy tu głęboko w ziemię sztandar naszego ruchu. I nikt go już nie wyrwie. Może nie będzie nas, a on zostanie. Może już w piersi nie starczy nam głosu, a on — słyszycie? — on zwoła tu swym łopotem towarzyszy z Warszawy — do walki, którą myśmy rozpoczęli... No, nie dziwcie się, że trochę poetyzuję: dziś można sobie na to pozwolić, noc zapowiada się burzliwa...

Zetwuemowiec z chutką westchnął i poruszył się niespokojnie. Okrągłe oczy znowu błysnęły mu w ciemności.

— Czy myślicie, że... na pewno zginiemy, towarzyszu Zajdel? — spytał.

— Słuchajcie — żachnął się Krystyn — takie pytania odłóżcie dla wróżek w Warszawie! Ja tych rozmów, człowieku, nie lubię. Śmierć, śmierć i śmierć! Krążycie wokół niej jak ćmy wokół żarówki. Spali was, a nie oświeci. Po cóż tyle gadać o śmierci? Dla nas to prosta spra-

wa: my nie umieramy, i koniec! Śmierć, śmierć!... To burżujskie określenie. U nas oznacza ono co innego: nasza śmierć tworzy nowe życie.

A teraz, weź się w łapy, człowieku, i nie dzwoń zębami.

— On zostawił dziewczynę w Warszawie — mruknął czyjś zachrypnięty głos spod okna — na Woli...

Z parku wyleciał jeden wystrzał, odpowiedział mu drugi z sadu, w chwilę potem trzeci — zza stajen. Wszyscy wstrzymali oddech. Ale widocznie były to tylko umówione znaki faszystowskich pozycji. Wieżyczka pokwitowała je zajadłym szczekotem kaemu i umilkła. Usłyszeli głos Szarleja: — Noc będzie ciemna... — Głos zabrzmiał wyraźnie, Szarlej zapewne wychylił się z okna, aby obejrzeć niebo.

— Nie stracisz jej serca — powiedział Zajdel przysiadając się do zetwuemowca z owiązanym czołem — no, bracie, pociesz się. Wierz mi; zawsze będzie cię kochała. Czy słyszałeś kiedy o naszym towarzyszu Piotrze Rigault, którego hitlerowcy rozstrzelali we Francji?

— Nie słyszałem — odparł cicho zetwuemowiec.

— Był w twoim wieku — opowiadał Zajdel — i zanim go rozstrzelano napisał do swojej dziewczyny: „Jestem tylko kroplą krwi, która użyźni ziemię Francji". To było już parę lat temu, a ona jeszcze go kocha.

Zetwuemowiec podniósł głowę, szukając jego wzroku.

— Naprawdę tak było, towarzyszu? — westchnął.

— Daję ci na to słowo — odpowiedział Zajdel.

Krystyn odszedł od okna i usiadł koło nich.

— Miałem piętnaście lat, kiedy mnie pierwszy raz zamknęli, słyszycie? No, co tu gadać, człowieku... Wyobraźcie sobie szczeniaka z KZM-u wrzuconego za kark do izolatki na Pawiaku. Wydawało mi się, że cały świat o mnie zapomniał, tak. Przez trzy dni nie ruszyłem się z ciemnego kąta; mrugałem oczami patrząc w kibel. Pierwszy raz zawsze jest ciężko. A potem człowiek się przyzwyczaja. No, wtedy, szczenię było ze mnie: dziewczyny swojej jeszcze nie miałem, ale matka została na Pradze. Dobra była matka. Nocą, ledwiem zasypiał, już słyszałem jej głos. Budziłem się i trafiałem rękami na zimny mur. Chciało mi się modlić, ale wiedziałem już przecie, że nie warto. A jeśli nie płakałem, to tylko dlatego, że człowiek rzadko płacze, kiedy jest sam. No, szkoda słów — straciłem nadzieję. Samotne szczenię — powtarzam — a naokoło wielki, głuchy Pawiak. Nie brali mnie nawet na śledztwo, a gdyby ktoś zastukał w ścianę, i tak bym nie zrozumiał. Jednym słowem, człowieku, byliśmy we dwóch: kibel i ja. Żegnałem się już z życiem...

Krystyn zaśmiał się krótko i wyjął z ręki Zajdla niedopalony ogarek. Parę razy wciągnął dym.

— Żegnałem się już z życiem, gdy któregoś dnia otwarto drzwi do mojej celi i strażnik rzucił coś na ziemię. — Na masz! — krzyknął i zatrzasnął drzwi. Patrzę spode łba: na ziemi, koło kibla, leży paczka. Nieduża, byle jak owiązana, sprawdzali przedtem jej zawartość. Serce mi waliło, węszyłem jednak podstęp. No, szczenię było ze mnie, ale już twarde. Nareszcie podpełzłem do niej: oglądam ze wszystkich stron. I... człowieku, postaraj się zrozumieć taką chwilę: na papierze widzę napisane swoje własne imię i nazwisko. Czy ty wiesz, co to znaczy? W takiej chwili przeczytać swoje imię i nazwisko, wypisane ręką towarzyszy? Ech, co będę tłumaczył... To była paczka od MOPR-u. Znalazłem w niej czyste gacie, koszulę, mydło, skarpetki... Ale gdybym w niej znalazł tylko suchy liść, także bym płakał z radości. Pamiętali o mnie, nie byłem sam. Nadzieja zalała mi serce. I wtenczas, wiecie, zrozumiałem pierwszy raz, co to znaczy partia...

Kiedy umilkł, wszyscy odruchowo spojrzeli na drzwi, jakby spodziewając się, że otworzy je czyjaś ręka przynosząc znak od świata. Ale ukazał się w nich tylko Szarlej. Było ciemno, nie widzieli jego twarzy, gdy powiedział:

— Kaem nie ma już amunicji, zostały tylko granaty. Czas na mnie, towarzysze...

Ciężarek wstał z siennika. Chciał zapewne coś powiedzieć, gdy rozległ się szept Pałasza:

— Słyszycie? Pada deszcz..

Istotnie, szpaler za oknami, woda w sadzawce i liście na drzewach witały cichym szmerem pierwsze krople spadające w ciemności.

Kazimierz Brandys

BOHDAN CZESZKO

POKOLENIE

I

Ulica Wolska miała betonową nawierzchnię, gładką i kamiennie twardą. Beton dzwonił pod kołami pojazdów jak napięta skóra bębna. Nie dawniej jak miesiąc temu wybijały tutaj uparty rytm żelazne stopy niemieckich żołnierzy, żelazne koła armatnich lawet, żelazne gąsienice czołgów.

Przeciągali ulicami miasta w upalne dnie i nocami, płosząc sen, aby zmusić do strachu i utraty wszelkiej nadziei. Ciągnęli na wschód kołysząc stalowymi hełmami tak jednakowi i liczni, że twarzy ich nikt nie zapamiętał.

Roztarli na pył powierzchnię betonowej jezdni i kurz przez nich zmielony wiatr roznosił po mieście. Drobinki tego kurzu podobne były do okruchów zaczarowanego zwierciadła; komu osiadły na oczach, ten widział już tylko niezłomność armii niemieckiej i własną nicość. Na ulicznych ekranach marszczących się od wiatru wyświetlano pierwsze reportaże filmowe ze wschodniego frontu. Nad gromadami patrzących ludzi wznosiła się w górę przy dźwiękach patetycznego wstępu do piątej symfonii Beethovena, lufa olbrzymiego działa niby ręka żelaznego boga.

*

* *

Ulica Wolska, jedna z głównych arterii komunikacyjnych stołecznego miasta Warszawy, posiadała betonową nawierzchnię, gładką, kamiennie twardą, dzwoniącą pod kołami pojazdów jak napięta skóra bębna. Ale jej przecznice — pożal się Boże. Oto ulica Młynarska, łącząca dzielnicę Wola z dzielnicą Koło, ulica ważna a przecież zabrukowana kocimi łbami. Tak samo Górczewska i wszystkie inne wśród tutejszych czynszowych kamienic, suchych drzew i biednych ludzi. Bruk powybijany, pełen dziur źle załatanych, wybojów po pociskach, które spadły i eksplodowały w trzydziestym dziewiątym roku.

O nienawistnych kamieniach tego bruku myśli Stacho trzymając szarpiący na wszystkie strony dyszel dwukołowego wózka. Dyszel szarpie do góry i na bok, wymierza bolesne uderzenia w biodro, szleja

wgniata w głąb ciała obojczyk i wydusza z płuc resztkę gorącego powietrza. Język wysechł i ociera podniebienie jak gruda suchej ziemi.

Jest biały, rozżarzony dzień lipca, dzień zbyt długi jak na mizerne siły siedemnastoletniego chłopca od wielu lat pozbawionego dostatecznej ilości pożywienia. Stacho odpycha uparcie podeszwami drewniaków okrągłe kamienie jezdni. Trzyma dyszlem wagę wózka. W chwili kiedy przestanie utrzymywać dyszel w położeniu poziomym, ładunek ześliznie się na bruk. Jest tam w żelaznej beczce trzysta kilogramów wodnego szkła dla pani Kozakiewicz (Skład Artykułów Mydlarskich i Farb). U pani Kozakiewicz Stacho pracuje za dwadzieścia złotych tygodniowo bez Ubezpieczalni i wyżywienia. Sto złotych kosztuje kilogram słoniny. Matka nic prawie nie zarabia, ponieważ straciła niemal zupełnie zdrowie w czasie zimy z roku 39 na 40. Stacho pamięta na zawsze tę zimę, kiedy zamarzał szpik w kościach i kiedy co rano odrąbywał przymarznięte do futryny drzwi. Wielu starych ludzi na Budach a także i dzieci nie zobaczyło po tych mrozach słońca wiosny roku 1940.

Teraz plecy Stacha smaży słońce. Onuce zwinęły się w grube węzły i ocierają stopy.

Pan Maniuś nie nosi onuc lecz bawełniane skarpetki wystające z wypucowanych przedwojenną pastą giemzowych pantofli. Stacho widzi kątem oka migocące nad flizami chodnika obuwie pana Maniusia. Zda się, że pan Maniuś płynie w powietrzu jak bóg Merkury ze skrzydełkami u pięt — bóg, którego wizerunkiem ozdobiony jest dyplom pani Kozakiewicz. Maniusiowi jest lekko, Maniuś ma głowę do interesów, pełni funkcje magazyniera i sprzedawcy.

Maniusiowi doskwiera upał, pragnąłby jak najszybciej znaleźć się w chłodnym wnętrzu sklepu za ladą obitą arkuszem blachy, wśród znanych zapachów nafty i terpentyny. Popędza Stacha nie żałując mu epitetów w rodzaju „usmarkana sieroto".

Stacho dobrnął do Młynarskiej i widzi drzewa cmentarzy: żydowskiego, muzułmańskiego i ewangelickiego. Najładniejszy jest cmentarz ewangelicki. Posiada wykwitną kaplicę od frontu i nawet jezdnia przy cmentarzu wylana jest asfaltem, aby modłów i psalmów nie głuszyły hałasy z zewnątrz. Bogaci umarli, filary kupieckich rodów, spoczywający pod marmurowymi płytami, winni mieć spokój.

Stacho z ulgą myśli o tym asfalcie — będzie przez chwilę gładko, ale przewiduje jednocześnie, że asfalt rozmiękł i koła wózka grzęznąć będą w smolistym cieście.

Nie doszło jednak do tego.

Opodal muzułmańskiego cmentarza, na trójkątnym placu u zbiegu ulic Ostroroga i Młynarskiej chłopcy grali w futbol. Gonili gromadą piłkę toczącą się po przydeptanych badylach. Piłka zrobiona była z ugniecionego w kulę papieru owiązanego telefonicznym kablem. Mecz obfitował w sensacyjne momenty. W chwili gdy Stacho mijał grających, bramkarz uprzedzając strzał wybiegł na pole karne i rozpaczliwym kopnięciem posłał piłkę poza centrum boiska. Stał tam, przypadkowo zresztą, napastnik tej samej drużyny zbyt zniechęcony, aby brać udział w gremialnej obronie swojej bramki. Dostrzegł piłkę, oczy zabłysły mu, zastopował wprawnie i poprowadził, jak mógł najszybciej, na bramkę przeciwnika. Krzyk rozpaczy, jakim jęknęli wszyscy gracze drużyny nieprzyjacielskiej spowodował, że Stacho dźwignął zwieszoną nad brukiem głowę i nie przestając ciągnąć obserwował z narastającym zainteresowaniem samotny przebój napastnika: „dojdzie do strzału, czy dogonią go? Czy bramkarz obroni strzał?"

Atakujący zerknął przez ramię i widząc falangę przeciwników doganiających go i skomlących ze zdenerwowania niby sfora ogarów, ustawił sobie piłkę i strzelił, jak strzelił! Była to bomba, co się zowie. Stacho nie widział już jednak ani strzału, ani bezowocnej robinzonady bramkarza. Lewe koło wózka trafiło na głęboką dziurę w jezdni. Wózek zatoczył się gwałtownie, dyszel szarpnął w górę wyłamując ramię z barku. Stacho nie zdołał utrzymać drąga w obrzmiałych, nieczułych palcach. Usłyszał łoskot spadającej beczki. Wózek stał spokojnie, rozkraczony na kołach, celując dyszlem w niebo. „Jak zenitówka"— pomyślał Stacho na sekundę przedtem, zanim uderzenie w nos nie pozbawiło go przytomności. Ziemia uciekła spod drewnianych podeszew butów, upadł miękko niby gałgan. Z pękniętej beczki sączyło się szkło wodne, ciekło powoli rynsztokiem zagarniając kurz i słomki.

Poprzez grubą ścianę zamroczenia dochodziły do świadomości Stacha krzykliwe głosy. Leżał w mrocznej dziurze wysłanej czarnym futrem i nie chciało mu się otwierać oczu. Otworzył je dopiero wówczas, kiedy poczuł, że ktoś podnosi go z ziemi. I oto zobaczył, jak pan Maniuś stojąc na czubkach swych giemzowych pantofli, dygocze bezwładny niby zdechła ryba. Potrząsał nim, trzymając za krawat, wysoki, rozrośnięty blondyn. Maniusiowi oczy wyszły z orbit — nie był to już młodzieniec z głową do interesów, lecz samo zwierzęce przerażenie w angielskiej marynarce.

Blondyn huśtając Maniusiem powtarzał: „Łobuzie — będziesz bił? Łobuzie — będziesz bił?“

Odsunął Maniusia od siebie i przebierając łakomie palcami prawej dłoni zwijał ją w pięść wielką jak bochen.

— W ucho go! W michę! — krzyczały zgodnym chórem obydwie drużyny piłki nożnej.

— Zostaw, Grześ, bydlaka, nie paskudź — mówił spokojnie głos poza plecami Stacha.

Pan Maniuś został gwałtownie uwolniony, zatoczył się i stuknął plecami o latarnię. Miał zamiar krzyknąć: „policja“, ale nie krzyknął, wypadało mu bowiem bywać w tych stronach.

Blondyn zwany Grzesiem, klnąc, podjął z jezdni worek wypchany wiórami, zarzucił sobie na ramię i skinął na Stacha.

Wzięli go między siebie. Trzeba było przyspieszyć kroku, ponieważ w głębi ulicy zamajaczyły dwie szare sylwetki niemieckich żołnierzy. Chętnie czynili oni sprawiedliwość wedle własnego uznania.

Towarzysz Grzesia był to jegomość starszy o mięsistej, porowatej twarzy. Niegdyś musiał być tęgi. Teraz podniszczone ubranie pamiętające lepsze czasy wisiało na nim jak skóra na hipopotamie.

Grześ odziany był niechlujnie. Kroczył ciężko, kaczym, kołyszącym się chodem, jako że miał platfus. Obydwaj wonieli żywicą i kostnym klejem. Byli stolarzami.

Stacho wysmarkał z nosa skrzep krwi i zerkał życzliwie na obydwu wielkich i silnych, ciężko kołyszących rękoma.

— Gdzie mieszkasz? — sapnął Grześ spod worka.

— Na Budach, za plantem, koło cegielni.

— No to wędruj, bracie, a szybko, bo za jakie dziesięć minut oczy zapuchną ci zupełnie i przestaniesz widzieć. My tu skręcamy. — Machnął ręką w nieokreślonym kierunku.

Oddalali się zwolna, a Stacho słyszał, że gadają gwałtownie i nie ruszał się z miejsca. Sądził, że nie powinni go pozostawić zwyczajnie na skrzyżowaniu ulic po tym wszystkim, co zaszło.

— E... chłopak... jak ci tam? — To wołał ten w szarym ubraniu.

— Stacho.

— Jak ci zejdą siniaki z oczu, to przyjdź do nas, do warsztatu. Pamiętaj — stolarnia Bergów na Dworskiej. Potrzeba terminatorów. Przyjdź, jak ci zejdą siniaki, inaczej majster cię przegna, bo pomyśli, żeś łobuz. Do widzenia, Stachu.

Poszedł powoli wzdłuż znanych domów, mijał płoty, które wydawały się dłuższe niż zazwyczaj, ciągnął nogi z trudem, jakby bruki przedmieścia zamieniły się w grząskie bagno. Przebrnął przez pole i oparł się ciężko o mur domu.

Matka podniosła się ze stołeczka wystawionego na słońce i wyciągnęła przed siebie dłonie pokurczone przez reumatyzm.

— To Maniuś mnie uderzył, ale niech się mama nie obawia, on już mnie więcej czepiać nie będzie. Dostałem już inną robotę. Tylko te siniaki zejdą.

Do mieszkania przyszły kobiety z całego domu. Były ciekawe i lubiły popisać się swoją wiedzą medyczną. Stacho leżał na tapczanie. Huczało mu w głowie, a wokół biadoliły sąsiadki. Bulgocze woda w kuble — to matka wyżyma ręcznik.

— Przyłóż mu mokry ręcznik na głowę — mówi babka Masalska. — Na głowę, powiadam, mokry ręcznik, a na oczy noże. Na oczy połóż mu dwa zimne noże.

II

Plac Kercelego — to było bogate targowisko. Spory plac zabudowany ciasno drewnianymi budami ustawionymi wzdłuż wąskich, krętych przejść. Za dnia kupcy podnosili klapy straganów otwierając oczom wnętrza zasobne we wszelkie dobro. Podniesione klapy tworzyły rodzaj dachu krzywego i biegnącego na różnych poziomach nad uliczkami targowiska. W lecie wisiała nad Kercelakiem chmura kurzu, zimą snuł się dym z żelaznych piecyków. W dymie tym lub kurzu lśniła niezmiennie migotliwa rybka ze srebrnej blachy uwiązana do bambusowego kija.

Był to znak reklamowy sprzedawcy przyborów wędkarskich a jednocześnie, można by powiedzieć, symbol targowiska. Zastawiano tu bowiem na kupującego przynętę tandetną a błyskotliwą, aby wyłowić z jego kieszeni, ile się da, a w każdym razie najwięcej.

Kercelak miał twarde życie. Odradzał się za czasów wojny trzykrotnie niby ptak Feniks. Palony, bombardowany, likwidowany przez Niemców w przystępie niezrozumiałego dla nikogo napadu psychozy higienicznej lub, co prawdopodobniejsze, chęci rabunku, odrastał, zwycięsko lśniący nowymi straganami, po dawnemu wrzaskliwy, pełen ruchu i gwaru bazarowego życia.

Rzeczy, o których wam teraz opowiadam, działy się w okresie pierwszej prosperity wojennej Kercelaka, nigdy później ani przedtem nie

rozkwitł tak pięknie na pożywce wojennej nędzy jak wtedy — w roku czterdziestym pierwszym. Kręciło się tam wśród straganów lub w przyległych uliczkach, na marginesie niejako, wielu ludzi nie trudniących się bezpośrednio handlem lub grą w „trzy miasta" czy naciąganiem bliźnich na szarlatańskie sztuczki z lekami na kaszel, z natychmiastowym posrebrzaniem łyżek, z idealnym ostrzeniem brzytwy, brutalnie zatępionej na kawałku drzewa. Byli to ludzie-szakale, jeśli szakal może być alkoholikiem, złodzieje niezdolni do złodziejstwa, oślepli od denaturatu, niegdyś groźni zbrodniarze, których teraz dziecko mogłoby obalić na ziemię. Wysługiwali się nimi handlarze trochę ze strachu, trochę dla wygody.

Po placu łaził dziadyga z małą dziewczynką, o mysich, świdrujących oczkach. Śpiewali pod akompaniament harmonii, w której połowa tonów milczała, balladę o żołnierzu, co powrócił z wojny i nie został poznany przez wyrodną córkę. Stary nosił wyszargany mundur polski, aby podnieść realizm swej pieśni.

Spełniał on funkcję skrzynki do listów. Jeśli mrugnął nieznacznie, należało poczekać aż skończy, należało poczekać do końca zwrotki, po czym dziewczynka podchodziła do zainteresowanego i mówiła, co należało. Tym razem powiedziała do skromnie i czysto odzianego osiemnastoletniego młodzieńca ze świeżą opalenizną na twarzy: „idź „Pod psy", czekają tam Makoszczaki". Młodzieniec przedpołudnie spędził na plaży i teraz nie miał nic przeciwko temu, aby nieco zarobić.

Restauracja „Pod psami" była ani mniej brudna, ani mniej cuchnąca przypieczonym łojem niż inne w tej dzielnicy. Za bilardem w głębi siedziało przy stoliku nakrytym papierem dwóch młodych ludzi odzianych w bryczesy, długie marynarki i chromowe buty „oficerskie".

Jeden z nich rozmazywał palcem krążek wilgoci, jaki pozostał po kuflu piwa, drugi ziewał i dłubał w zębach cmokając smakowicie. Oczy ich szkliły się po dobrym obiedzie. Młodszy Makoszczak, o twarzy nieco mniej pryszczatej przywołał skinieniem ręki opalonego młodzieńca i podsunął krzesło zapraszając.

Chodziło o melasę. Kilka beczek melasy. Miały zostać odstawione przez pewnego furmana do pewnego składu materiałów opałowych przy ulicy Wroniej. Furman woził tę melasę z dworca towarowego „Syberia" na Pragę do fabryki sztucznego miodu. Konwojent delegowany przez fabrykę został już obrobiony. Chodziło teraz o to, aby dopilnować uczciwego załatwienia interesu.

— Najpierw weźmiecie wózek i z Mietkiem od dozory zawieziecie puste beczki po melasie do tego składu węgla. Beczki weźmiecie od Koralowej z Kercelaka, wiesz gdzie? No to wszystko. Rób — dostaniesz dwie setki. — Młodzieniec skrzywił się. — Dwie i pół. Wszystko. — Makoszczak odwrócił się i dotknął palcem mokrego krążka na stole.

To nie było wszystko. Filantropami bracia Makoszczaki nie byli. Interes z melasą cuchnął kryminałem. Gdyby zdażył się jeden z tysiąca prawdopodobnych a fatalnych zbiegów okoliczności. Gdyby cała sprawa zasypała się dzięki nadgorliwości któregoś z agentów „Kripo", ludzie przychwyceni na szwindlu odpokutowaliby sprawę bardzo dotkliwie. Melasa była przeznaczona dla fabryki sztucznego miodu pozostającej pod nadzorem niemieckim. Kto wie, czy nie padłoby ciężkie słowo: sabotaż.

Makoszczaki odczuwali nieprzepartą chęć zachowania swego cennego życia. Stało się bowiem ono za czasów wojny pięknie perliste i rozmaite, pełne możliwości wręcz niesłychanych a przy tym przytulne jak pierzyna. Wydawało się, że Europa podbita przez Niemców zamieniła się w jeden wielki czarny rynek, ocean mętnej wody, w której oni płynęli śmiało jak dwa tęgie szczupaki o chytrym oku i ostrych zębach.

W wewnętrznych kieszeniach ich marynarek spoczywały kupione za ciężkie pieniądze murowane dokumenty. Nie żadne taniutkie „lewe" papiery, świstki bez znaczenia, lecz ozdobione wielką ilością stempli i podpisów kartony legitymacyjne Izby Przemysłowo Handlowej, zaświadczenia z Arbeitsamtu oraz stwierdzenia inwalidztwa. W tamtych czasach dokumenty takie otwierały pierścień każdej obławy.

Wygodnie było siedzieć w ciepłym smrodku knajpy mając przeświadczenie, że interes sam się załatwia, że jutro po prostu odbiorą pieniądze od Koralowej, grubą paczkę zielonych, przyjemnie szeleszczących banknotów. Później, część ich obrócą na zakup małych, okrągłych pieniążków wytłoczonych ze szczerego złota, pieniążków z wizerunkiem śmiesznego orła o dwu głowach. Resztę wypuszczą na chwilę z rąk, aby powróciła w podwójnej ilości. Ostatnim przedmiotem, jaki mógłby budzić ich zainteresowanie jest los opalonego młodzieńca, tak samo zresztą jak czyjkolwiek inny poza ich własnym. Wiedzieli, że nazywa się Jurek Korecki i że mieszka na tej samej klatce schodowej, co oni, piętro wyżej.

W domu było źle z pieniędzmi. Miesiąc temu ojciec sprzedał za śmieszną kwotę ostatni w domu ręczny zegarek. Nie było co włożyć do

garnka. Jurek przyłapał w kącie podwórka Mietka od dozorcy, umówił się z nim i pobiegł na górę, aby włożyć gorsze ubranie. Ojcu bąknął „dzień dobry", wyjął wieszak z szafy i począł się przebierać.

— I dokąd to, sokole, kierujesz swój śmiały lot? Widzę, że nie za sprawą płci odmiennej ściany tego domu niechętny opuszczasz, zakładasz bowiem nędzne odzienie postać twą plugawiące. — Ojciec mówiąc to postukiwał główką fajki o parapet okna, aby usunąć z jej wnętrza resztki przyschniętego tytoniu.

Zmienił się od czasów przedwojennych. Początkowo chudł coraz bardziej. Odmłodniał nawet i zatracił masywny wygląd pana domu. Teraz jednak począł wysychać i kurczyć się niby gałąź w ogniu. Skóra naciągnięta na kościach policzkowych była po dawnemu czerwona i łudziła czerstwym wyglądem. W rzeczywistości były to ślady dawnych, syberyjskich mrozów, które na zawsze napiętnowały twarz młodziutkiego wówczas socjal-demokraty skazanego na zsyłkę „za prinadleżnost'".

— Dokąd wybierasz się? — Teraz ojciec zerknął ostro ponad okularami.

— Interes mam jeden załatwić, z Mietkiem się właśnie umówiłem... Parę groszy zarobię. Takie tam... beczki.

— Jakie beczki?

— No... z melasą —

— Co za melasa, do ciężkiej cholery —

— Ja wiem... melasa... samogon z tego pędzą, czy co?

— Słuchaj no, rycerzu czarnego rynku, gadaj zaraz, z kim te swoje interesy robisz i jakie? Jeśli wolno ci coś poradzić to — nie kręć, wiesz przecież, że jestem inteligentniejszy od ciebie i nie dam się wystawić do wiatru. — Mówił gniewnie, potem odwrócił się plecami do Jurka, patrzył za okno i dodał cedząc słowa:

— Wczoraj zaśmierdziałeś mi wódką. To już nie jest byle co. —

Jurek usiadł na tapczanie i przestał być ważny, niemniej usiłował bronić słuszności swojego postępowania wciągając robocze spodnie.

— Nie ma pieniędzy, a jak mam już okazję zarobić coś niecoś, to ojciec staje okoniem. Interes załatwiam dla Makowskich z pierwszego piętra, jeśli już o to chodzi.

— I o to mi chodzi, a w związku z tym o wiele innych rzeczy. Ojciec nabił fajkę drobno pokrajanymi łodygami tytoniowymi i zapalił ją dokładnie. Była to nie pozostawiająca wątpliwości oznaka, że będzie mówił długo i pragnie być uważnie wysłuchany. Kroczył powoli w miękkich pantoflach po pluszowym chodniku, po puszystych fiole-

towych kwiatach na czarnym tle. Mijał lśniące polerowaniem meble z lepszych czasów, mahoniowy stolik, na którym stało niegdyś radio przynoszące co wieczór melodię rosyjskiej mowy ulubionej jak własna, szafę biblioteczną ziejącą teraz ciemną pustką. Wyleciały z niej wszystkie książki w świat, niosąc niby gołębie wieść o zagładzie dostatniego życia. Sprzedawano najpierw te, z którymi ojciec nie nawiązał zbytniej przyjaźni. Potem pewnego dnia sprzedał wszystkie i długo skąpił słów odzywając się rzadko jak chory. Jurek wiedział, że ojciec dlatego tylko nie spieniężył szafy bibliotecznej, już teraz nie przydatnej na nic, ponieważ pozostałby po niej smutny prostokątny ślad na ścianie, ciemniejszy od tła wypłowiałej tapety.

— ...Mój drogi, wojna zaczęła się dopiero na dobre. Wnioskując z siły niemieckiego natarcia na wschodzie, potrwa długo. Zbyt naiwnie obliczałem siły ZSRR. Wierzyłem tak mocno, jak chyba wierzyli pierwsi chrześcijanie, że Niemcy uderzą w mur ze stali, a później zostaną zniweczeni, bo że to się musi zacząć — wiedziałem. Teraz wiem, że zostaną pobici straszliwie, ale to potrwa, potrwa. Wyprzedawać się nie ma sensu, a po prawdzie to już nie ma z czego. Przyjąłem pracę w mojej firmie. Będę teraz dla nich pracował. Jak? — To moja rzecz... —

Jurek przypomniał sobie, że na murach dzielnicy a i całego miasta rysowały czyjeś ręce wizerunek żółwia — „pracuj powoli". Z niepokojem patrzył na zegar, pozostało dziesięć minut czasu.

— ...Do tej pory nie przeszkadzałem ci, nie ingerowałem zbytnio w twoje sprawy. Wiem, że chcesz nam pomagać, że drażni cię bezczynność, że nie chcesz przyznać się do bezradności. Uczyć się nie możesz. Nam z matką trudno cię będzie utrzymać, a i nawiązanie kontaktu z twoimi profesorami trudne jest niezmiernie lub zgoła niemożliwe. W jednej trzeciej byli to Żydzi, jeszcze jedna trzecia to lewicowcy, którzy nie kryli przed wojną swych poglądów. Łacinnik i geograf zostali powołani do wojska jako oficerowie rezerwy. Zespół twoich profesorów przestał istnieć. Ukrywają się, siedzą w obozach, zostali zabici lub zostaną zabici, są zamykani do getta. Uczyć się nie możesz. Nie zgodzę się jednak na to, abyś zbydlęciał...

Jurek wyglądał przez okno. W środku podwórka uprawiali lokatorzy owalny skrawek ziemi, ten mizerny ogródek warzywny zapełniono do ostatniego centymetra. Poszczególne mikroskopijne zagoniki należały do najbiedniejszych w kamienicy.

Przyszedł tam z motyką i konewką szewc z parteru, kościany dziadzio zdobny bródką à la car Mikołaj. Przyglądał się swej działce za-

troskany. W jednym jej końcu marchew nie udała się. W 39 eksplodował na tym miejscu granat niemiecki i zatruł ziemię niby ślina smoka.

— ...Czytałem dziś gazetę i wyczytałem ogłoszenie; stolarnia Bergów poszukuje praktykantów. Matka zna rodzinę Bergów. Babka twoja prała u nich i myła okna. Tak... ponieważ założyłeś spodnie, wdziej także kurtkę i pójdziesz tam z matką jeszcze dziś, dowiecie się, jakie są warunki. Matka powinna zaraz nadejść...

— Nie patrz na mnie w ten sposób, bo posądzę cię o idiotyzm. Zresztą, mój drogi, ja w twoim wieku byłem górnikiem w niemieckiej kopalni węgla, w rok później pracowałem w piekarni Michlera i to wszystko nie wyszło mi na złe. Przestaną się ciebie czepiać te sukinsyny z Arbeitsamtu. Dostaniesz papiery — tu ojciec zaśmiał się cichutko — będziesz człowiekiem z Ausweisem, a raczej, jak oni wolą, Ausweisem z człowiekiem. Może się zdarzyć, że cię pewnego dnia złapią i co wtedy, — gnój będziesz trząsł u niemieckiego kułaka. No pomyśl... —

Ojciec położył dłoń na ramieniu Jurka i obaj patrzyli przez okno. Jurek myślał o tym, że słychać o polskiej partyzantce i że najchętniej poszedłby właśnie do lasu. Lecz jak tam trafić. Konspirację robili jacyś inni ludzie, nieznani nikomu święci narodowi, fanatyczni bohaterowie, groźni, patetyczni, zasłonięci tajemnicą.

Mietek od dozorcy wytoczył zza śmietnika wózek, zaturkotał nim po podwórku. Stanął pod oknem Jurka, stulił wargi w kurzy kuper i gwizdnął przeraźliwie.

Zza parapetu wychynęły dwie głowy.

— Mieciu, powiedz z łaski swojej braciom Makowskim, że Jurek nie załatwi ich interesu i żeby w ogóle odczepili się. — Ojciec powiedział to wszystko dobitnie. Szewc uniósł głowę znad zagonu i przywitał ojca skinieniem głowy i uśmiechem.

— Gdzie oni są, te Makoszczaki. — pytał Mietek.

— „Pod psami" — podpowiedział Jurek ojcu.

— „Pod psami"... „Pod psami"... — ogłosił ojciec głośno a nie bez satysfakcji. Szewc uśmiechnął się złośliwie.

„Pod psami" Mietek od dozorcy stał przy stoliku braci Makowskich. Młodszy kończył przemowę o melasie:

— ...no jak? Stoi? Załatw — dostaniesz setkę... —

III

Nie było powodu do pośpiechu, Stacho wybrał się zbyt wcześnie nie dowierzając staremu budzikowi, który chodził teraz tylko w pozycji

leżącej. Niegdyś w górnej części tarczy zegarowej widniała szeroko uśmiechnięta twarz Murzyna łypiącego oczami w takt tykania. Później oczy gdzieś się zapodziały, ustał w twarzy ruch, przez co uzyskała wyraz okrutnej ironii. Stało się to po śmierci ojca, on bowiem dbał o zegar, dbał aż do tego dnia, kiedy został zadławiony ziemią w głębokim wykopie.

Stacho idzie powoli, ponieważ wie, że i tak będzie pierwszy. Przed wejściem do fabryki poczeka, tak jak to czyniły przed nim całe pokolenia robotników. Do fabryki wejdzie razem z Grzesiem i tamtym drugim, tak będzie lepiej ze względu na protekcję. Dzień podnosi się nad Wolą ciężki i gorący. Jest teraz szczyt kanikuły. Po upalnym dniu następuje duszna noc, drgająca od mrugania gwiazd i ciurkania świerszczy, a za nią ranek od razu nagrzany jak zupa stojąca w szabaśniku. Niebo jest białe i pulchne jak ciasto. Dymy z fabrycznych kominów nie wieją po nim energicznie jak sztandary, lecz sączą się leniwie i rozpylają w mdłym powietrzu. Ulicą Płocką kroczą ospale granatowy policjant i szupo z Sonderdienstu. Szklą się w słoneczku cholewy butów. Ziewają obydwaj, nie ma dziś szmuglerów z mięsem i wędliną, napotykają jedynie mleczarki, roznoszące siną, wodnistą ciecz po gospodach. Policjant sprawdza zawartość baniek, każe płacić mandaty. Szupo patrzy na to wszystko jak sowa. Czasami kopnie bańkę do rynsztoka, ale nie bije, jest mu dostatecznie gorąco. Przeklina służbę w tym podłym kraju, gdzie nawet głupie baby, mleczarki, usiłują ominąć przepisy i robią w bańkach podwójne dna, na wierzchu mleko, a pod spodem tłuste, kremowe masło.

Stacho myśli: „kopnąćby jego, drania w słabiznę...“ i zaraz myśli toczą się dalej: podchodzi do żandarma, jakby nigdy nic, i lu go drewniakiem, gdzie należy. Ten skręca się z bólu, puszcza automat. Stacho chwyta broń i zastawia policjanta sięgającego po pistolet. Obydwaj — szupo i policjant podnoszą ręce. Teraz Stacho przywołuje tego jegomościa w kraciastej koszuli idącego drugą stroną ulicy, każe mu odpiąć pas policjantowi i oddać sobie. Potem rozkazałby jeńcom iść przed siebie, tu następują wahania. Zastrzelić obydwu byłoby najprościej, ale czy echo strzałów nie zwabiłoby patrolu myszkującego podobnie jak ten gdzieś na sąsiedniej ulicy. Zostawić ich w spokoju — szybko zorganizują pościg. I tak źle, i tak niedobrze. Poza tym pytanie: co zrobić ze zdobytą bronią. Ukryć — zardzewieje. Iść do lasu — z kim? Gdzie? Opanowała go rozterka, więc darował życie wrogom.

Ta część dzielnicy, gdzie zapobiegliwi przodkowie braci Berg postawili warsztat stolarski oraz czynszową kamienicę, poczęła tuż przed wojną ulegać gwałtownym przeobrażeniom. Stawiano bloki mieszkalne i gmachy instytucji użyteczności publicznej. Wykupywano posesje spekulując na budowie mieszkań. Zapanował krótki okres dętej prosperity pokryzysowej. I tak wszystko rozbabrane pozostało.

Obok starych, obrośniętych winem budyneczków mieszczących średniej wielkości warsztaty rzemieślnicze ciągnęły się wysokie, czerwone pudła bloków mieszkalnych. Naokoło widniały zarastające zielskiem fundamenty wykopane pośród ugorów. Latarnie pozostały gazowe, pamiętające carskich stójkowych, wąsatych i z szablami.

Stacho zachował z czasów dzieciństwa mgliste wspomnienie o staruszku, który chodził z drążkiem i drabinką. Drążkiem zahaczał o coś w latarni, rozświetlała się wówczas, a skoro nie chciała płonąć, ustawiał drabinkę, wchodził na nią i gmerał we wnętrzu klosza.

Te latarnie i owite dzikim winem budynki warsztatów pochodziły z jednego okresu — był to czas bogatych mieszczuchów. Później budowano mieszkalne bloki; pieniądze robiono szybciej, nowocześniej i w większych ilościach.

Teraz Stacho mijał gromadę Żydów obwieszonych sakwami. Przypędzono ich tu z getta, aby splantowali ugór zwany Sadurką pod budowę składnicy „Kabelwerke". Żydów pilnował SA-mann i dwa wilczury alzackie. Niemiec chlastał harapem cholewy butów i ryczał: „macie ale mordę trzymać, lausiege Juden".

Przed wojną chłopcy bawili się na Sadurce w policjantów i złodziei, grali w piłkę, a także puszczali latawce w porze jesiennych wiatrów. Oto już długi parkan ze sczerniałych desek zwieńczony kolczastym drutem, później parterowy budynek kantoru, a przy wąskich drzwiach drewniana tabliczka z okapem, na tabliczce wyryto pięknie napis: „Bracia BERG — stolarnia mechaniczna".

Oparł się plecami o żelazny słup trakcji tramwajowej i zapatrzył się w perspektywę ulicy oczekując nadejścia znajomych stolarzy.

Za ścianą kantoru ktoś zaszurał butami, brzęknęły klucze i w wejściowych drzwiach ukazała się podobna do szczurzej mordki twarz starego człowieka w narciarskiej czapce. Popatrzył na Stacha ostro, cofnął się jak borsuk do jamy i po chwili zakwiczała za ścianą stara pompa. Przez otwór w murze opatrzony rynienką bluznęła do rynsztoka brudna ciecz. Stary pompował zaskórną wodę z piwnicy. Potem znów wyjrzał,

ruszył wąsami i zapytał: „czego?“ — celując bródką w stronę Stacha. Dodał zaraz: „terminator, co?“. Stacho kiwnął głową.

— To czego stoisz pod słupem? Myślisz, że szef przyjdzie i powie: „pan łaskawy pozwoli“. Wchodź do środka, chłystku, i tego... poczekaj na majstra. Czego się boisz? A? Wchodź śmiało. Zanim pan Szymczyk nie uderzy w dzwon, ja tu jestem gospodarzem.

Przepuścił Stacha i szturchając go w plecy wielkim kluczem przeprowadził wzdłuż korytarza na plac. Leżały tu prażąc się w słońcu deski sosnowe ułożone w wielkich stertach. Terpentynowy zapach aż kręcił w nosie. Spodobało się to Stachowi: pachnie i czysto wokół, i budynek warsztatu swojski, nie żadna murowana, zimna budowla lecz poczciwa szopa drewniana, wypuczona od wewnątrz, rozsiadła szeroko, kryta papą. W końcu podwórka stał gołębnik i ustęp.

Stary pchnął oszklone drzwi i weszli do wnętrza. Przy pierwszym warsztacie na lewo od wejścia stał nagi do pasa, olbrzymi człowiek przewiązany parcianym fartuszkiem. Gniótł dnem butelki siemię lniane dla szczygła trzepoczącego w klatce nad oknem. To był Grzesio.

— Aha to ty, jak ci tam...

— Stacho.

— Stacho... Mówiłem z majstrem. Będziesz dwa tygodnie na próbie. Będziesz dobry — zostawią na stałe. Siadaj, tylko nie na warsztacie, na warsztacie tyłka się nie sadza, nie wychodek.

Od szybek w drzwiach biegła ukośnie ku podłodze złota smuga słońca. Gasili ją na sekundę po kolei wszyscy wchodzący. W warsztacie zrobiło się gwarno, ciasno i wesoło. Wśród warsztatów i ludzi kręcił się jak drewienko w przeręblu młodzieniec o opalonej twarzy odziany w zielone spodnie „pewiackie“. Potrącał, przepraszał, uśmiechał się, wreszcie usiadł obok Stacha.

— Wy, kolego, także na praktykę? Pozwólcie przedstawić się — Jurek — Jerzy Korecki. Przyjemnie wiedzieć, że ma się towarzysza niedoli. Co?

— Ja się nazywam Stacho... Kościej, jeśli ci o to chodzi. I wiesz co? Daj zapalić, jak masz.

Zapalili.

W hali maszynowej jęknął stalowym głosem dzwon. Wszyscy rozeszli do swych warsztatów odzywając się teraz z rzadka niby ptaki szykujące się do drogi.

Chudy, wyrośnięty z ubrania chłopak klęczał przy piecu rozniecając ogień pod kociołkami pełnymi kleju. Na dźwięk dzwonka wstał i ryknął:

„terminatory!". Stacho i Jurek podeszli do niego. Kilkanaście par oczu przeprowadziło ich ciekawie. Chudzielec powiódł ich w głąb piekła. Wśród maszyn wyjących głosami rozmaitymi sterczała niby budka sternika oszklona kabina majstra. Majstrowi towarzyszył starzec o twarzy psa-bernardyna. Był to jeden z braci Bergów tak zwany „pierwszy". Popatrzył na chłopców i kiwnął głową, wobec czego majster chrząknął i puknął ołówkiem w rajzbret.

— Sylwek — zwrócił się do chłopca wyrośniętego z ubrania. — Tego... — wskazał na Jurka — daj Szymczykowi, a tego... — wskazał na Stacha — ojcu do tarczówki. Niech odbiera, a przedtem niech wyrzuci trociny.

Sylwek pozostawił ich własnemu przemysłowi zaraz za drzwiami majstrowej kabiny, ponieważ ktoś wrzasnął ze stolarni: „klej!"

Stacho poszedł ku pile tarczowej, zamienił kilka słów z wysokim robotnikiem smarującym trzpień maszyny, wyciągnął z kąta kanciasty kosz z dykty i bez pośpiechu wygarniał szuflą trociny.

— Czego się gapisz? Jazda do roboty. — Majster wysunął głowę ze swej budki i patrzył gniewnie maleńkimi oczkami. Twarz jego podobna do dziecięcej pupki, cała w tłustych gruzełkach, skurczona była niecierpliwie.

Szymczyk okazał się czyściutkim grubaskiem odzianym w nieskazitelny, zielonego koloru fartuch. Na jego perkatym nosie świeciły szkła okularów. „Tatuś taki... wujcio." — Myślał o nim prawie z rozczuleniem Jurek.

— To wy jesteście Szymczyk? Majster mnie przysyła, mam wam pomagać.

— Jaki „wy". Co za „wy". Odkąd to ja u ciebie świnie pasę, pętaku?

— Przepraszam pana.

Tak oto z miejsca pękł wypieszczony w głowie Jurka mit o tym, że robotnicy mówią do siebie per „towarzyszu" rozmawiając z drugim robotnikiem, członkiem klanu, uczestnikiem zmowy pariasów.

Czas szedł powoli w robocie. Wskazówki elektrycznego zegara, zda się, przywarły do tarczy, jedynie cienka i srebrna — minutowa obiegała, jakby dla podkreślenia nieruchomości pozostałych dwóch, jednostajnym, miarowym ruchem. Jurek czuje tętno krwi w nabrzmiałych dłoniach. Kości nasączają się stopniowo ołowiem. Teraz oto przenosi drzwi z maszynowni pod szopę, gdzie Sylwek pociąga je żółtą farbą-gruntem. Ostre kanty drzwi rżną skórę na dłoniach. Jurek ugniótł kulę z papieru i trzymając ją w dłoni chwyta płytę drzwi. Szymczyk zo-

baczył, pokazał robotnikom pracującym przy najbliżej ustawionych maszynach, a teraz wszyscy rechoczą wesoło. Śmieje się nawet Stacho stojąc obok Sylwkowego ojca. Obydwaj są posypani trocinami i przypominają piekarzy. Jurek wyrzucił papier.

Nie odzywał się do nikogo w domu przez najbliższe dwa tygodnie. Bywał tak umęczony, że proces przeżuwania kartoflanych placków stawał się ciężką pracą. Zasypiał snem czarnym. Klął potwornie słowami, których nauczył się od Grzesia szafującego hojnie budowlanymi określeniami, bywało płakał suchym, wewnętrznym płaczem.

Przychodziła stryjenka, biadoliła nad jego upadkiem i deklasacją.

Być może, że dzięki jej cnotliwo-religijnym tyradom nawracały coraz rzadziej fale gniewu i rozgoryczenia, kiedy chciał rzucić wszystko do biadła. „Rzecz musi mieć sens — myślał — skoro budzi sprzeciw idiotów". Ojciec patrzył spokojnie sponad okularów ciężkim rozumnym wzrokiem.

Jurek przeklinał poranki, żegnał dni jak wrogów. Ale wreszcie utarło się. Mięśnie przywykły. Szedł rano do roboty w tłumie robotników zdążających do fabryk na Woli, przyciskając łokciem zrolowany worek na wióry, w który owinął obiadowy chleb. Łowił uchem dźwięczący donośnie stukot własnych drewnianych sandałów bijących we flizy chodnika. Ramiona miał lekkie. Myślał: „da się żyć... da się żyć..."

IV

Stacho oddał matce tygodniówkę.

— Zarabiasz teraz nieco mniej niż w mydlarni. Nie masz napiwków. Ale za to jest Ubezpieczalnia, więc lekarstwo nie kosztuje, no i jest opał za darmo. Jedno w drugie wchodzi. Gdybyś nie palił... co tam, i tak wystarczy tylko na kartofle i chleb. Była bieda, jest jeszcze gorzej. Będziesz miał zawód, tobie będzie lżej. Nie to co ojciec — całe życie z „mandoliną"*). Abyś tylko nie zaczął pić, Stachu. Jeszcze tego nieszczęścia brakowałoby mnie na stare lata.

Nad miastem galopuje lato długimi susami dni. Tutaj, na przedmieściu, można je bardziej zauważyć. Jest więcej zieleni, woda grzeje się w kwadratowych gliniankach zapraszając do kąpieli. Są dwie, jedna płytsza, w której baraszkują dzieciaki, i druga głęboka na kilkanaście metrów. Nikt nie zgruntował jej dna. Krążą o nim legendy. Mówią, że leży tam broń porzucona w 39 roku, skrzynie z konserwami czy ze

*) gwarowe — łopata.

złotem. Nikt tam nie dotarł. Już na kilka metrów pod powierzchnią panuje nieprzejrzany mrok, woda staje się lodowata i ciśnienie powoduje ból w uszach, jakby korkociąg wkręcał. Nawet najbardziej zadziorny łobuz w okolicy, Kostek, nigdy do dna nie doszedł, chociaż raz po pijanemu uparcie próbował. Ledwo go odratowali.

Ponad glinankami wznosi się niby stara fortyfikacja wygasły piec cegielni. Teraz jest to melina, szulernia, knajpa i przytułek. Nazywają cegielnię „hotelem pod mokrym fletem". Skąd ten flet — tego nikt nie wie. Do wnętrza wchodzi się przez otwory, które dawniej służyły do nadziewania pieca świeżą cegłą.

Stacho nakarmił króliki, kupił tytoniu od sąsiada-szmuglera i poszedł nad gliniankę. Popływał, położył się ku słońcu, a obok siebie na papierku umieścił nieco tytoniu, aby przesechł.

Zielska wydają z siebie przed wieczorem szczególnie ostry zapach. Stachowi jest przyjemnie, zmęczenie odpływa. Myśli o tym, jak to jutro dłużej się wyśpi, a później skleci nową klatkę dla młodych królików. Listewki przeznaczone na budowę klatki przyniósł w worku z wiórami. Ostrożnie je przygotowywał, aby nie zobaczył Szymczyk. Szymczyka boją się wszyscy w warsztacie, obchodzą go jak nieświeże jajo, chociaż nie jest ani majstrem, ani nawet podmajstrzym. Tyle że ubiera się lepiej niż inni, ma żonę volksdojczkę i swoje przyzwyczajenia. Na przykład: przynosi mleczną kawę w butelce i wstawia ją dokładnie na pięć minut przed obiadem do gorącej wody. Nie pije nigdy z butelki, lecz nalewa sobie do emaliowanego kubeczka. Pracuje przeszło dwadzieścia lat na maszynach, a ma wszystkie palce w komplecie, ani jednej blizny nawet. Taki czyściutki, dokładny. Stacho zauważył, że majster, Szymczyk i magazynier dostają wypłatę pierwsi, na kilka minut przed fajrantem w sobotę i nigdy nie są niezadowoleni. Szymczyk nigdy nie śmieje się głośno, lecz uśmiecha się.

Ojciec Sylwka, Młodzianek, inaczej, ten potrafi się śmiać. Huczy ten śmiech po całej hali maszyn. Śmieje się rzadko, bo komu dzisiaj do śmiechu — za Niemca. Śmieje się z rzeczy prostych. Nie dawniej jak dziś utytłał sztorc deski w czarnej mazi wyciekającej z motoru, puścił maszynę w ruch, wrzasnął do Stacha: „odbieraj!" I pchnął deskę na piłę. Stacho o niczym nie wiedząc chwycił ten usmarowany sztorc i zapaćkał dłonie smolistą mazią.

— Aha! — krzyczał Młodzianek poprzez wycie maszyny. — Nie łap, jak kto głupi, ale pomacaj ręką od spodu, czy gwóźdź nie został albo inne jakie draństwo.

Cieszył się z tego dowcipu i pokrzykiwał: „Stasiu, umyj ręce!“

A kiedy zrobili zakurkę powiedział poważnie:

— To nie żadne chachinki. Żelazowski, jeden maszynista, już trzy tygodnie w szpitalu leży, przez co, przez głupi gwóźdź w desce. Z maszyną nie ma żartów, to nie hebelek, to ileś tam setek obrotów na minutę. Ćwierć sekundy i palec albo rączka — do widzenia.

Młodzianek chodzi po maszynowni wielbłądzim, kołyszącym się krokiem, nogi ma ugięte w kolanach jak stary koń, zerwane od dźwigania desek. Pisać nie umie i dlatego zapewne do tej pory pozostał zwyczajnym maszynistą po tylu latach pracy. Zapewne dlatego także maszynownia jest dla niego po trosze klatką z dzikimi bestiami. Stacho widzi w jego oczach nieufność i cień obawy, kiedy przyjdzie włączyć klucz rozrusznika i kiedy maszyna warknie pierwszym, basowym głosem. I jeszcze jedno: Stacho bierze „kitę“, to znaczy do worka z wiórami pakuje odpadki drzewa. Tak robią wszyscy, a zwłaszcza stolarze stękają, kiedy trzeba wziąć worek na plecy. Młodzianek zobaczył to i na jego otwartej twarzy, która objawia wszystkie uczucia, ukazał się wyraz niesmaku.

— Nie twoje drzewo, nie bierz.

— Panu dobrze tak mówić, jak pan mieszka na terenie fabryki.

— Nie twoje, znaczy zostaw.

— Wióry też nie moje.

— Wióry pozwolono, a odpadki niech zgniją nawet, nie twoje, ruszać nie masz prawa.

Młodzianek powtarza często: „firma zmarnieje, to i nam będzie gorzej, i odwrotnie“. To jest jedna z jego głównych zasad. Szef „pierwszy“ podaje Młodziankowi rękę na przywitanie.

Stacho leży nad brzegiem stawu i patrzy w niebo poprzez badyle zielsk. Po niebie krążą gołębie jakby uwiązane na długich gumach do gołębnika. Ganiają je chłopcy ze strachem, ponieważ nie wolno hodować gołębi, a to dlatego, że mogą być pomiędzy nimi pocztowe. Niemcy zakazali, lecz mimo to gołębie migają skrzydłami na zakrętach swej jednostajnej powietrznej bieżni i znów stają się na chwilę niewidoczne. Słychać dźwięk ustnej harmonijki grającej tęskną melodię: „Czekam cię“... to gra Kostek. On tej lśniącej harmonijki z przyciskiem do wydobywania półtonów nie kupił.

„Wyskoczyłem — opowiada — z Żelaznej Bramy i pruję Mirowską, bo nam przy „Trzech miastach“ granatowi kota popędzili, skręcam w Elektoralną i tam stolik z całym majdanem odpaliłem Kaźkowi. Idę

do placu Bankowego i co widzę. Idzie pięciu szkopów — lotników „na bańce“, pochlani, śpiewają. Stanęli przy sklepie parasolnika, weszli, każdy z bambusową lachą wyszedł. Parasolnik był Żyd. Oni mu bęc w szybę laskami. Szyba poszła. Draka, myślę sobie, idę drugą stroną ulicy za nimi. Wsadzą głowę do środka sklepu, pytają: „Jude?“ Albo nie pytają, tylko popatrzą. Ten, co zagląda, machnie ręką, a reszta ryms lachami po szybie. Znudziło im się samo rozbijanie i teraz co zbiją szybę — to wywalają towar na ulicę. Draka... Gromada ludzi się zebrała i nie biorą. Jeden Niemiec wtyka babie pończochy — wzięła. To i inni zaczęli brać. A Żydom nie wolno się odezwać. Kobiety tylko płaczą. Ja bym też za takim towarem płakał. Zaczynają Żydzi zamykać sklepy. Pierwszy z brzegu był z instrumentami. Żyd dźwiga deski, chce szyby zastawiać, ale gdzie tam, dostał kopa, deski posypały się i ten sklep wymietli do czysta. Ja wziąłem „Chromonikę“, a szkoda, można było wziąć akordeon. Ech...“

Teraz Kostek gra na „Chromonice“: „Czekam cię“...

Kostek przyszedł nad wodę ze Stachem Kowalikiem i „ślepym Zyziem“. Przysiedli się, pytają: „no jak, majster, leżymy, tytonik suszymy“... Trącają się łokciami.

— Pracujesz, za terminatora jesteś. Z a r a b i a s z, jak mówią. Od nas się pan hrabia odbił jak gołąb od budy. Cudzy się hrabia robisz. My takich nie kochamy — zagadał Kostek.

Później zaproponowali, aby poszedł z nimi do pieca. Słońce zachodziło poza drzewami cmentarzy wolskich, zniżało się poza zębatą linię dachów, rozlewając suto złotą poświatę na niebie, na pogodę. Stacho zbierał się powoli, aby zyskać na czasie i rozważyć decyzję. Łączyło go z nimi dużo. Razem chodzili do szkoły, razem wagarowali w babickim lesie i na wrzosowiskach poza Babicami. Zabijali wrony z proc, a na jesiennych wagarach piekli podebrane ogrodnikowi kartofle i brukiew. Siedzieli wokół ogniska i udawali cowboyów. Kostek nazwał się „Bufallo Bill“.

A teraz. Teraz Stacho boi się. Zna zbyt wiele ich wyczynów, aby pozostawili go w spokoju. Stacho boi się „dintojry“. „Dintojra“ może być wtedy, gdy któryś z nich wpadnie, a na Stacha rzucą podejrzenie, że to on sypnął.

Poszedł do pieca. Liczył na to, że uda mu się rozmówić z nimi, że ustali ich stosunek do siebie. Powie tak: „Kostek ręka... co wiem, to wiem dla siebie, u mnie jak w studni. Ale co było, to było, teraz jest inaczej“. Nic jednak takiego nie nastąpiło. Przygotowanej tyrady

nie wygłosił. Kostek wyciągnął gdzieś z kąta litr samogonu. Popijali siedząc na kupach pierza. Pierza było co niemiara, ponieważ złodzieje obdzierali drób kradziony w pobliskiej składnicy „Henecke-Vogelhandlung". Stacho Kowalik, Zyzio i Kostek gadali jeden przez drugiego, sapali przez nos, zgrzytali zębami, przerywali sobie nawzajem. Stacho także rozgadał się, głowa jego stała się pusta i leciały przez nią myśli nieważkie a olśniewające. Teraz i on sapał i zgrzytał zębami.

Siedzieli potem na zewnątrz, opierając plecy o nagrzaną słońcem ścianę pieca. Niebo nad ich głowami wisiało wysoko, było lśniące i miękkie jak futro czarnego kota. Kostek grał najbardziej tęskne melodie. Pili, a Kostek pochylając nisko twarz nad Stachem pytał: „no jak, idziesz z nami, terminatorze?"

— Zostaw, on teraz majstrowi dziecko bawi. Koszyk z kalafiorami nosi za majstrową — dogadywał Zyzio i gęgał śmiejąc się do rozpuku.

Stacho zamknął mu gębę, powiedział, że idzie. Zapragnął jeszcze ten ostatni raz skoczyć na pociąg dudniący w mroku, uczepić się pazurami byle czego, przypłaszczyć się do desek, aby pęd nie oderwał, i wyrzucać później na pole, co popadnie pod rękę: skrzynie, worki, grudy węgla.

— Bogate transporty idą na wschód: tłuszcze, cukier, buty... a ty co? Za nędzne fenigi tyrasz jak kto głupi. — Kostek odepchnął głowę Stacha gestem obrzydzenia.

Później czołgali się bruzdami ogrodów. Mokra od rosy nać chlastała po twarzy. Dusili brzuchami badyle i owoce pomidorów wydzielające zapach tak mocny, że prawie dawał się smakować.

Dalej jest gładki, porośnięty krótką trawą stok kolejowego plantu. Dudni pociąg gnający na wschód po obwodowej linii. Lokomotywa świeci przymrużonymi reflektorami.

Parowóz patrzy jak koza. „Koza ma prostokątne źrenice pionowo, a to na płask" — myśli Stacho i zwilża co chwila śliną zasychające gardło. Parowóz przeleciał i teraz wagony łomoczą kołami po spojeniach szyn. Pierwszy skoczył Zyzio. Poderwał się i w długich susach biegł za wagonem. Widzieli jego czarną sylwetkę w szarej poświacie gwiazd. Następny Kostek uniósł się na rękach i wtedy właśnie klasnął strzał, wydawało się — tuż nad ich głowami. Jęknęła kula i w tym samym momencie Zyzio krzyknął: „ratunku!"

Nie było ratunku. Posypały się z plantu drobne kamienie. Szurnęli w kartofle jak szczury. Niemcy klęli, świecili latarkami. Jeden z nich

warczał: „Raketen — das brauche ich jetzt". Zrozumieli słowo „raketen" i poczołgali się szybciej.

Kiedy charczeli ze zmęczenia, łapiąc oddech w ciepłej, pełnej znajomych woni klatce schodowej domu, Kostek mówił:

— Poznałem po głosie, to był „panenka" — banszuc. Dobrze, że psa nie mieli. Widziałeś, jak polują łobuzy... (zabrzmiała nutka podziwu) ale ten „panenka", to on się na mnie nadzieje. Ja jemu jeszcze w swoim życiu kozikiem dogodzę. Teraz trzeba zniknąć na parę dni, bo Zyzio sypnie, jak go zaczną maglować.

Obawy okazały się płonne. Pocisk oderwał Zyzia od stopnia wagonu, a koła całego długiego pociągu rozniosły jego ciało na strzępy.

Nazajutrz matka czyściła ubranie Stacha i odezwała się dopiero wieczorem, kiedy na brzegu stołu chłeptał kartoflankę i kiedy już wszystko o Zyziu było i tak wiadomo. Powiedziała kręcąc głową, gubiąc łzy: „oj, Stachu, Stachu". Mrugnęła powiekami i wzdłuż jej suchego jak strączek nosa potoczyły się srebrne kropelki. Teraz gryząc brzeg fartucha, zgarbiona, łkała niby mała, skrzywdzona dziewczynka. Stacho wolałby, aby ojciec zdzielił go bykowcem. Podszedł i gładził matkę po wąskich plecach drgających od płaczu. Niezdarnie uspokajał ją nie mając wprawy w okazywaniu swych uczuć. Materiał matczynej bluzki czepiał się zadziorów na jego chropowatej dłoni.

Pod warstwą gorzkich myśli snuł się cień satysfakcji : sprawa Kostka i tamtych sama się rozwiązała, a właściwie rozcięły ją koła pociągu.

V

Trzeci brat Berg był nabity tłuszczem jak dobry wieprz i miał w firmie najwięcej autorytetu. Pierwszego znamy. Drugi nic nie znaczył. Odzywał się tylko wówczas, gdy ktoś kwestionował wypłatę: „ja nigdy nie mylę się w obliczeniach." Bezustannie kręcił korbą arytmometru. Zapewne od wieloletniego siedzenia postać jego przybrała formę gruszki, sparciałej gruszki na iksowatych nogach. Bergów stać było oczywista na zaangażowanie buchaltera. Chcieli jednak robić wszystko sami, a ta ich skrzętność i pracowitość były to, jak twierdzono, nawyki odziedziczone po skandynawskich, jak mówili Bergowie, przodkach. W posiadaniu ich był spory warsztat lub raczej fabryczka, lecz oni, nawykli do przedwojennego chałupnictwa, pragnęli prowadzić ją patriarchalnymi metodami niby zakład naprawy zegarków. Warunki, świetne warunki prosperity wojennej nie zezwoliły w czasach późniejszych na kontynuowanie anachronizmów. Zaczęło działać ze wzrasta-

jącą siłą, dochodzącą do potęgi żywiołu, nieubłagane prawo zysku. Stało się to w okresie jednego roku. Jesteśmy jednak w czasach, kiedy trzeci Berg pragnął być dobrym patronem, majstrem cechowym, wychowującym swych uczniów tak, jak to czyniono w średniowieczu. Do przyjęcia takiej postawy nakłaniał go, być może, dyplom mistrzowski uzyskany wielkim nakładem nie tyle pracy, ile kosztów.

Trzeci Berg zawezwał pewnego dnia obydwu terminatorów i oświadczył w obecności majstra:

— Poznaliście pracę w maszynach i na placu, przy drzewie. Z grubsza poznaliście, oczywista. (majster skrzywił twarz w wyrazie powątpiewania). Tak... uradziliśmy, że czas posłać was do szkoły zawodowej. Możecie także postarać się o narzędzia. No i jeszcze jedno. Podwyższam wam tygodniówkę o pięć złotych. (sponad szkieł uformowanych w kształcie półksiężyca, opartych o policzki, zerknął na obydwu chłopców drugi Berg).

Na twarzy trzeciego rozlała się apostolska dobroć za pięć złotych tygodniowo. Majster machnął ręką gestem gracza stawiającego na kartę niechybnie przegraną. Zapanowała cisza, w której rozlegało się mlaskanie pierwszego brata żującego w kącie kanapkę.

Majster warknął: „podziękujcie szefowi", na które to wezwanie gibnęli korpusami do przodu i bąknęli nierówno: „dziękujemy-emy".

Szef rozkazał:

— Stasiek, do roboty, a ty, Jurek, zostaniesz.

Poufnym, o ton niższym głosem wyłuszczał:

— My pana, my ciebie, chłopcze, uważamy za coś innego. Szykuję karierę dla ciebie, chłopcze. Damy ciebie do pomocy majstrowi Groszeckiemu (ukłon majstra). Główna rzecz — rysunek techniczny, nauczyć się czytać i wykreślać. Będziemy ciebie wysuwali powoli, aby nie budzić niepotrzebnych zawiści. Warsztat musi być jak rodzina.

— Tak — zahuczał z kąta pierwszy Berg.

— Ach, Klaudiuszu, Klaudiuszu... — stęknął drugi, którego nagły, basowy dźwięk przestraszył.

— Tak, w ogóle to Pan Bóg was stworzył, ale teraz żałuje — dopowiedział ni w pięć ni w dziewięć pierwszy. Należało uśmiechnąć się słysząc tę beznadziejnie powtarzaną przygaduszkę. Stary nabierał wówczas lepszego humoru. Jurek uścisnął na pożegnanie poduszkowatą dłoń szefa, wręczoną z umiarem, z godnością.

— Podał rękę — myślał Jurek — Coś nie tak...

Myślał oprócz tego: „a jednak poznali się na mnie". Ponieważ satysfakcja jest niepełna, jeśli się jej z nikim nie dzieli, oczekiwał niecierpliwie na obiadowy dzwonek. A i później nie należało odzywać się bez wyraźnej potrzeby aż do chwili, kiedy chleb zostanie zjedzony i kawa wypita.

Kawę gotował smoluch — Sylwek. Należało uszanować świętą ciszę obiadu działającą na uszy pieszczotliwie nieomal po godzinach bezustannego jazgotu. Szeleszczą przewracane stronice gazet, za prasą do fornirowania ukryty starszy brat Słupecki czyta radiowy komunikat odbity na powielaczu.

Jurek ma smutne doświadczenia. W drugim miesiącu praktyki, kiedy uznał, że nadszedł czas prowadzić ustną propagandę, jak mu się wydawało — komunistyczną, rychło wysadzono go z siodła, ponieważ jeszcze tak na świecie nie było, aby jajo było mądrzejsze od kury, a terminator od czeladnika. Kazali po prostu zmilczeć i nie wtrącać do poważnej rozmowy swoich fałszywych dwu groszy. „Ty wiesz, co ja bym zarobił za takie nieproszone odezwanie się, jak byłem terminatorem? — urągał Szymczyk — parę razy łatą po tyłku. Macie w ogóle szczęście, że to już nie te czasy". Jeden Piotr Rodak, podobny do starego, szarego słonia popatrzył z zainteresowaniem na Jurka, pokręcił ciężką głową i powiedział: „dziwny z ciebie chłopak. Przypominasz mi pewnego studenta, ale on stał się trockistą".

Od tamtych czasów Jurek nie odzywa się do stolarzy nieproszony. Wie, że go i tak zapytają. Zaniebieszczyły dymki papierosów.

— No, co tam w kantorze, wszyscy zdrowi? — zagadnął Grzesio.

— Mamy przejść na warsztat, ja i Stacho.

— Powitać nowych kolegów po fachu. — Rodak uśmiechnął się, klepnął po ramieniu Jasia Krone. — No co, Jasiu, dwa heble masz do zrobienia.

Był taki zwyczaj w warsztacie, nie wiadomo przez kogo i jak dawno wprowadzony, że przystępującym do rzemiosła praktykantom pierwsze heble robili ostatnio przez majstra wyzwoleni czeladnicy. Były te heble niby pałeczki sztafetowe. Ale już ani Stacho, ani Jurek nie mieli sądzone ciągnąć tej tradycji dalej.

Pozostawiono temat jako wyczerpany i rozmowa potoczyła się jak zwykle o polityce: że Niemcy idą naprzód jak woda. Grzesio rozłożył mapę i mierząc calówką dowodził, że gdyby nawet szli dalej w tym samym tempie, to i tak, uwzględniając zimowe przestoje, dotrą do Oceanu

Spokojnego za lat sześć. Wierzono mu, ponieważ posługiwał się narzędziem znanym a niezawodnym.

— Zima idzie — powiedział cicho Rodak — to dobrze, ostygną. Ja znam rosyjskie zimy. Pluniesz, ślina lodem o ziemię stuknie. Napoleon nie wytrwał i on nie wytrwa.

— No a Anglia, Anglia i Ameryka? Tu cię boli, karasiu. To, panie, orzechy. Oni się zbroją po cichu, Rusek wojuje, ale oni zakończą wojnę. Łupną, panie, aż trociny polecą — wykrzykiwał pan Słupecki starszy, nadziany po dziurki w nosie komunikatem B B C. Uśmiechał się z wyższością człowieka świadomego rzeczy.

— Zanim słońce wzejdzie, rosa oczy wyje — zaszemrał cicho Rodak. — My już tego łupania nie doczekamy.

Pan Słupecki młodszy zerknął na Rodaka ostro i przenikliwie. Nie znosił bowiem podawania w wątpliwość swoich i swego brata wierzeń. Wyznawali i powtarzali slogan o wykrwawieniu się dwojga bestii. Opowiadali do znudzenia historyjki o tym, jak to krasnoarmiejec kręcił maszynką do mięsa i dziwił się, czemu nie słychać muzyki. Przepełnieni byli wszelką narodową mądrością i krzepą oraz nosili jasnogórskie szkaplerze dyndające im w rozchyleniu koszul, kiedy kołysali się heblując. Uważali się za coś niezmiernie wyższego od reszty załogi osądzając ją jako zbiorowisko chamów. Ci przedwojenni modelarze na precyzyjnych robotach w fabryce zbrojeniowej dochowywali tajemnic wojskowych za trzy złote na godzinę. Wojna rozwiała marzenia o własnym domku i państwowej emeryturce.

Rozmawiano o jedzeniu. Wspominano dobre potrawy. Grześ z rozrzewnieniem powtarzał: „wieprzowinka z pyzami, nóżka wieprzowa z chrzanem, tłusta goloneczka". Ktoś rzucił myśl: hodować świnkę w piwnicy. W komórce nie da rady, bo odkryją, zakolczykują i jeśli zabijesz — powieszą, ale można by w piwnicy. Grzesio zaśmiał się ponuro.

— W piwnicy... Ciotka moja z głupoty, przed wojną jeszcze, trzymała świnię w piwnicy. Szczury tam były i diabli nie wiedzą co... Ciotka ją macała po ciemku czy już tłusta, bo świnka światła nie znosiła. Małpiego rozumu dostawała na widok świeczki. Później, jak świnka ciotkę w palec ucięła, to i macać ją przestała, tylko żarcie jej donosiła. Mówi ciotka do mnie: „zamorduj, Grzesiu, prosiaka, kiełbasę ci odpalę". Biorę ja siekierę, nóż, karabin, cztery granaty... (wołają: „Grzesiu, nie czaruj"). Idę do piwnicy. Pętlę z kabla założyłem jej na szyję i zrobiło się tak, że najpierw ja ją ciągnę po schodach, a później ona

mnie naokoło podwórka. Kabel mi na ręku zacisnęła i ganiam ja za nią, siekierą wymachuję. Koło śmietnika zdołałem jej przypalantować celnie obuchem. Leży. Wyrosła w tej piwnicy jak kartofel, co białe badyle puszcza. Długa była na jakie półtora metra a wysoka na dwadzieścia centymetrów. (wołają: „zalewa"). Nie wierzycie — to nie opowiadam. (wołają: „opowiadaj"). Podniosłem jej przednią nóżkę i pcham nóż — nie wchodzi. Skoczyłem po brzytwę do domu, naderżnąłem skórę i rosyjskim bagnetem z pierwszej wojny światowej zadźgałem. Ciotka opowiadała, że słonina na tej śwince miała pół centymetra grubości, a ze skóry można by podkowy robić jakby dobrze wyklepać... W piwnicy świnkę, nie da rady.

Ze śmiechem ludzi zmieszał się głos dzwonu.

— Do roboty, panowie, do roboty. — Majster wysunął głowę z maszynowni.

Jurek podszedł teraz do Rodaka i bąknął nieśmiało:

— Ja bym chciał być u pana podręcznym, jak mnie majster da do warsztatu. Bo ja przyjdę pierwszy na warsztat.

— Jakto?

— Stacho zostanie dłużej w maszynowni i na placu przy deskach.

— Zadowolony jesteś pewno.

— Chyba.

— Ty się tak nie ciesz od razu. Chytry ten trzeci Berg. Za mało widać ma szpicli. Rozumiesz, człowieku, co on wymyślił? Zasunie najpierw klina pomiędzy ciebie a Stacha. Później da cię do pomocy majstrowi, z twoim wykształceniem to ty rychło te wszystkie mądrości majsterskie opanujesz, zostaniesz u niego technikiem czy podmajstrzym i wtedy cześć, zasunie na zawsze klina pomiędzy tobą a ludźmi, bo ty jesteś jak galareta, z ciebie można jeszcze wszystko zrobić. A on potrafi z ciebie zrobić fatałacha, fagasa. Potrafi, nie takich widzieliśmy...

Jurek zmilczał.

— Mam ci coś prawdziwego powiedzieć? Nie daj się z tego kantu uderzyć. Szkoda byłoby, boś chłopak łebski i przydałbyś się nam.

— Komu? Nam?

— Jureek! Do roboty! Deski nosić! — Majster podkreślił: deski nosić, aby chłopak nie wyobrażał sobie, że jest wielkim rzemieślnikiem.

Złośliwy jak skunks lubił zatruwać życie tym, których mogły dosięgnąć jego krótkie zresztą ręce. Stolarzy i maszynistów nie czepiał, ponieważ o ludzi wykwalifikowanych było trudno, no i zhardzieli nie-

pomiernie. Dokuczał robotnikom placowym, Sylwkowi i praktykantom, a także „Jasiowi-Kunioju“ — przygłupiemu furmanowi. Uderzał jak zwierzę, po linii najmniejszego oporu. Przyjął dewizę: „oddać tak samo i tyle, ile za młodu samemu się otrzymało“. Wbili mu tę myśl do głowy austriaccy podoficerowie w dobie światowej wojny i pozostała ona tam niewzruszenie, czyniąc zań piewcę i wykonawcę kapralskiej wendetty. Rozsiewanie wokół strachu i nienawiści stało się dla niego tak konieczne jak woda dla ryby, bywał zadowolony, kiedy mógł dopiec. Odczuwał wówczas swoje malutkie, kretyńskie szczęście.

Po dzwonku fajrantowym opuszczali wszyscy warsztat. Odchodzili do siebie chlapiąc obluzowanymi drzwiami stolarni. Przychodził, ciągnąc za sobą nogi dziadek Potrzeba, stróż nocny, i patrzył po kątach, czy nie zaprószono ognia.

Sylwek Młodzianek daje paszę królikom, które zajęły teraz miejsce gołębi w budzie. I odszedł do niego Jurek i przygląda się puszystym zwierzątkom tnącym ząbkami mięsiste liście mleczu. Są białe z czerwonymi oczyma i popielate z kłapczastymi uszami — belgijskie.

Sylwek wsunął rękę do wnętrza klatki i przepuszcza pomiędzy palcami ciepłe, jedwabiście miękkie uszy królika. Wzdłuż uszu tuż pod cieniuchną skórą biegną czerwone żyłki krwi, dlatego uszy są tak ciepłe.

— Znaczy, idziecie do szkoły — mówi Sylwek do wnętrza gołębnika.

— Idziemy.

— Tak... No, a ja jestem na to za głupi. Dwa lata temu — Sylwek chwycił klapę bluzy Jurkowej — rozumiesz, dwa lata temu zepsułem jedną robotę. Była to jakby sztuka czeladnicza, mieli mnie wyzwalać. Dali mi do zrobienia trzy stoły. Nogi wyborowałem za grubo. Śpieszyłem się, chciałem pokazać, jaki to ja wartki jestem, no i pomyliłem kalibry wierteł. Czopy można było później kapeluszem wbijać. Tak, nie dali mi nawet tej roboty dokończyć. Co to był za krzyk... Majster akurat jaki tydzień przedtem spieprzył poważną robotę i pomyłki nie zamazali, nie dało się. No i jak wyszła moja sprawa z tymi stołami, przyprowadził szafę do warsztatu i rozkładał ręce niby Matka Boska. Co ja mogę — powiada — zrobić, stale mi robotę knocą. Wyślizgał mnie z warsztatu. Kazał zabrać narzędzia i zrobił mnie smoluchem. Szef śmiał się z tego i — powiada — dobrze ci tak, gnyku jeden, roboty nie szanujesz. Tak... od tego czasu kawę gotuję, klej gotuję, deski noszę na placu, a byłem już prawie stolarzem. Miałem dwanaście lat, jak mnie wzięli na „chłopaka“, teraz mam dwadzieścia i ciągle to samo. Ni to robotnik, ni praktykant. Płacą mi tak samo jak tobie. Połowę stawki

robotnika placowego. Nie uczony jestem — dodał patrząc spod przymrużonych powiek na Jurka. — Nie uczony. Gdzie mnie do szkoły. Dechy nosić — do tego jestem dobry. Ja im za to kiedyś zapłacę, tym trzem wieprzom. Majstrowi także łeb urżnę...

Wydawało mu się, że poniosło go gadulstwo. Zerknął na Jurka podejrzliwie, podniósł palec ostrzegawczo i zacisnął zęby na końcu kciuka. Był to złodziejski znak żądający milczenia.

Sylwek stoi przy budce i gwiżdżąc ciągle te same trzy nuty miętosi lekko w palcach gorące i suche uszy królików. Przyzwyczaja je do gwizdu, chce bowiem, aby na jego głos przybiegały, skoro wypuści je na trawę. Jurek idzie do domu klaszcząc podeszwami sandałów o własne pięty. Myśli: „Mógłby z tego Sylwka być zupełnie normalny człowiek, prosty i pełen dobroci".

VI

Do szkoły jechało się tramwajem pod drewnianym mostem przerzuconym ponad ulicą Chłodną przy rogu Żelaznej. Tramwaj jechał przez getto. To jednak nie dogadzało Niemcom, ponieważ z pomostów tramwajowych zrzucano worki z żywnością. Konieczne było wobec tego kontrolowanie wozów tramwajowych wjeżdżających do getta. Nowy kłopot. Umyślili zlikwidować trakcje przecinając teren dzielnicy żydowskiej, ale ponieważ byli skrupulatni, pozwolili ludziom pracującym a także uczniom szkół powszechnych i zawodowych (innych nie było) przechodzić przez nią, jeśli tędy wypadała im najkrótsza droga do miejsca pracy lub nauki. Trwało to dwa tygodnie do chwili, kiedy odcięli po prostu przeszkadzające skrawki dzielnicy żydowskiej uszczuplając ją znacznie. Wychodzili z założenia, że znaczna część mieszkańców wymarła i że wobec tego mogą się oni zacieśnić. A może i nie było żadnych założeń, a zwyczajnie, wydali rozkaz.

Po drewnianym moście przechodzili nad ulicą aryjską Żydzi, ciągnąc nieprzerwanym rzędem jak mrówki na swojej drodze. Most łączył małe i duże getto. Pod spodem skonstruowano sprytnie żelazną przegrodę, przy pomocy której regulowali żydowscy policjanci ruch, dyrygował nimi żandarm kiwając pałeczką zakończoną kolorowym krążkiem dykty. Na skinienie otwierano i zamykano drogę pojazdom aryjskim wzdłuż Chłodnej i pojazdom żydowskim wzdłuż Żelaznej. Tak więc jesienią, kiedy już wczesnym wieczorem ćmiła żółto żarówka nad stołem nauczyciela, kiedy nadeszły pierwsze pluchy powiększając plamy zacieków na suficie sali wykładowej, Jurek uzyskał możność dostania się do

getta. Droga do jego szkoły wiodła przez dzielnicę żydowską. Gruby policjant w przemokniętej pelerynie, warujący u wejścia, nie wierzył. Ruszał ramionami i mówił: „ja was znam kombinatorów. Wejdzie, towaru nabierze i inną bramą wychodzi. Mnie do wiatru wystawia. Ja was znam kombinatorów". Wyraźnie liczył na łapówkę. Wreszcie przepuścił: „z towarem to ty wychodź tą samą bramą, rozumiesz..."

Na ulicy Chłodnej mieszkał Dawid Sznajder. Nic tu się nie zmieniło w czynszowej, żółto pomalowanej kamienicy z kariatydami zdobiącymi fronton. Po staremu pokutowały w ciasnych klatkach schodowych zapachy ułożone warstwami, wonie pokarmów lub choroby.

Powitali go ze zdumieniem, oglądali go jak ryby oglądają świecącą blaszkę lądującą na dnie. Dawid puścił jego rękę i przestał klepać po łopatce, dopiero wtedy okazało się, jak ciasno jest w tym mieszkaniu. Dużo nieznajomych oczu patrzyło na Jurka. Była tam dziewczyna o białej twarzy pod grzywą czarnych włosów, piękna pięknością rzucającą na kolana.

— Gina, poznajcie się, mój kolega... no, przyjaciel, powiedzmy.

Jurek zdziwił się, jak energicznie i krótko uścisnęła rękę.

— To wujek Jechuda z Łowicza. Poznaj mojego kolegę, wujku.

Jechuda wyprostował swoje wielkie i suche ciało. Siedział nad rozebranym zegarkiem. Wyjął lupę z oka, podał poważnie rękę, spytał: „czy nie przyniósł pan chleba?" Widać było, jak przełknął ślinę. Na przeczący ruch głową zamruczał: „przepraszam, myślałem... chleb przecież jeszcze przynoszą". Wrzucił kuglarskim gestem lupę w oczodół i zgarbił się nad robotą. Obejmował swoim wielkim ciałem maleńki światek zegarmistrzowskiego warsztatu.

Z pawlacza w rogu kuchennej izby dochodził monotonny głos ni to śpiewu, ni deklamacji. Wychyliła się ruda czupryna zakrywająca zmrużone oczy. Mężczyzna powiedział po żydowsku: „obcy... co tutaj robi obcy?". A potem zakołysał gwałtownie głową i krzyknął wysokim przechodzącym w bolesny jęk głosem: „Oj, Żydzi... Żydzi...".

Dawid uspokoił go kilkoma słowami wypowiedzianymi tonem stanowczym.

Głowa zniknęła, a po chwili znów począł się sączyć pogłos modlitewnych zaśpiewów.

Pod pawlaczem stały przysunięte do ściany stalugi Dawida. Przytrzymywały one stos tektur, dytk i płócien naciągniętych na blejtramy.

— Malujesz? — spytał Jurek oczekując przeczenia. Miałby wówczas okazję do jeszcze jednego pokiwania głową.

— Dużo maluję ostatnimi czasy i tobie pokażę. — Dawid grzebał w stosie rysunków i obrazów. Wyciągnął kilka, ustawił pod ścianą, a matka podkręciła karbidówkę, syknął jaśniejszy płomień.

Obrazy były nieoczekiwane. Daleko odszedł Dawid od poprzednich, cichych, brązowo-zielonych martwych natur, od pejzaży z miasta, tak perłowych jak wnętrze muszli. Teraz na jego obrazie, pod mosiężnym niebem szli Żydzi w poprzek nieludzkiego krajobrazu. Płonęła pośród ciemnego tła fosforycznym blaskiem twarz Giny. Budziła bolesne uczucia stężała maska wuja Jechudy, twardo a dosadnie narysowana. Dawid zerkał niespokojnie na pawlacz i szybko sprzątnął obrazy.

— Podoba się? — pytał, a po wargach jego błąkał się uśmiech ni to goryczy, ni ironii. Jurek milczał i wtedy Dawid przestał się uśmiechać.

Trzeba było odejść, nadchodziła bowiem wczesna dla dzielnicy żydowskiej godzina policyjna.

— Patrz, Dewi, nikt nie przyszedł stamtąd tylko Jurek — mówiła matka.

— Następnym razem przyniosę chleba tyle, ile da się przenieść przez wachę.

Dawid odprowadził go aż do bramy dzielnicy żydowskiej, tej obracanej na zawiasach.

— Ależ ciasno u was, i jak wy żyjecie? — mówił Jurek głosem pełnym troski.

— To jeszcze nie wszyscy. Schodzą się tuż przed godziną policyjną. Widziałeś na filmie, jak foki zalegają skały sterczące w morzu? Tak wygląda nasze mieszkanie w nocy. Jest przez to cieplej i łatwiej o tyfus.

— A co ten na pawlaczu?

— Wariat, schizofrenik, wydaje mi się. On się nazywa Markus Sonne, to był przed tym wszystkim dobry rzemieślnik — mechanik samochodowy. Teraz ma manię religijną. Śpiewa modlitwy i przekleństwa. Przeklina Niemców i ich matki, żąda, aby ziemia wokół nich stała się gładka i pusta jak skorupa olbrzymiego żółwia. Ja jeden mam na niego wpływ. On mnie się boi, ponieważ uznał, że jestem opanowany przez złego ducha. Maluję, rozumiesz, a to jest w żydowskiej religii zabronione. „Nie będziesz sobie czynił bogów..." — czy coś takiego. Wczoraj zapragnął wyskoczyć przez okno. Malowałem z pamięci głowę wuja Jechudy i położyłem na policzku żółtą plamę. On zlazł z pawlacza, stanął za mną i mówi: „żółta farba, znowu żółta farba, mówiłem ci, abyś przestał bluźnić, mówiłem: nie maluj, a ty ciągle malujesz żółtą

farbą". — Dawid bezwiednie uczynił bolesny grymas, jaki musiał widnieć na twarzy Markusa. — Trzeba ci wiedzieć, że Markus przedtem przebywał w gecie łódzkim, gdzie Żydów znaczono żółtą gwiazdą. W Polsce nosimy tylko opaski. No i tak, mówił, mówił, później podszedł do okna i otworzył. Zdążyłem jednak. Nie dałbyś wiary, jaki on jest silny.

— Z czego ty żyjesz, stary?

— Rozmaicie. Mam dorywczą pracę. Maluję przeważnie szyldy. Teraz potrzeba dużo szyldów ze słowem: „verboten". Handluję książkami. Na wierzchu kosza mam kryminalne powieści, a pod spodem — dynamit. — Uśmiechnął się. — Ty tego nie zrozumiesz, że „Manifest komunistyczny" albo Gorki — to jeszcze lepsze niż granat. Działa znacznie dotkliwiej niż ta mizerna gomółka z żelaza i trotylu. Chociaż teraz lepsze byłyby żelazne granaty.

Żegnali się we wnętrzu jakiejś bramy.

— Przyniosę chleba — mówił Jurek.

— Ty byś, wiesz, co przyniósł... — Dawid zniżył głos i boleśnie gniótł dłoń Jurka — pistolet...

Później szybko syczał w ucho:

— Zapłacimy... ja wiem, że u ciebie słabo teraz z pieniędzmi. Ty masz biedę. Ale wam za murem łatwiej o broń. Może jakiś Niemiec sprzeda. Dowiedz się, cena nie odgrywa roli. Ukradnę coś, obrabuję spekulanta, mniejsza z tym, zapłacę. Bądź zdrów.

— Bądź zdrów, Dewi.

— Pamiętaj.

— Nie zapomnę.

Nie zapomniał, ale nigdy nie przekroczył już murów getta. Okres rozluźnienia izolacji zakończył się nazajutrz tak samo nagle, jak się rozpoczął. A gdyby nawet trwał nadal to nie należy być pewnym, czy Jurek odwiedziłby przyjaciela ponownie, niosąc chleb — tylko chleb.

VII

— Panie Słupecki, zbieraj pan graty. Pójdziesz pan na budowę do fabryki „Kasjopea" i podgonisz pan z robotą. Sekuła nie może sam podołać w terminie. — Tu majster lekceważąco machnął dłonią i dopowiedział ironicznie: — nie może...

Słupecki starszy skwitował ironię majstra uśmiechem pełnym domyślności, po czym krzyknął służbiście:

— Robi się, panie mistrzu!

— Weźmiesz pan, panie Słupecki, ze sobą Staśka do pomocy. Pogonisz mu pan kota, niech się uwija. Raz dwa wracajcie, bo nie ma się czego bawić.

Pojechali. Stach taszczył narzędzia Słupeckiego ułożone w drewnianym kuferku. Słupecki ubrany był dostatnio, a, że wstydził się swego zawodu, pozostawiał Stacha o kilka kroków poza sobą, aby się nie kompromitować w oczach przechodniów.

Chłopiec stał w rogu tramwajowego pomostu i przytupywał dla rozgrzewki. Nad Wisłą ciągnął prawie twardy w dotyku, ostry wiatr północny — dalekie echo zimowych sztormów bałtyckich. Wiatr wnikał w ulice, w mury, w ubrania, niosąc suchy, dojmujący mróz.

— Wesoło musi być w polu — myśli Stacho. — Albo tak pod Moskwą. „Sprzedają kilo mrożonego szkopa — dwa złote" — mówi Grzesio. On się spotyka ze złodziejami kolejowymi, a oni wszystko wiedzą: gdzie i co się transportuje. — Stacho uśmiecha się do swoich myśli. Pogłoski o transportach zamarzniętych na deskę żołnierzy niemieckich potwierdzali wszyscy znajomi szmuglerzy. Wiozą ich na zachód w wołowych wagonach, leżą jeden na drugim i patrzą porcelanowymi oczyma.

— Zaczynają ich diabli brać — myśli Stacho i cieszy się z mroźnego wiatru, poruszając w drewniakach zlodowaciałymi palcami.

— Witam, witam szanownych kolegów po fachu. Jak zdrowie, kolego Słupecki? Co porabia szanowny braciszek pański? — Sekuła kłaniał się uniżenie. — Co? Tak sobie? Nic nie poradzimy, okupant gnębi naszą katolicką ojczyznę. (Słupecki zerknął poza siebie ze strachem). Nic... nic... proszę się nie obawiać, to patriotyczna fabryka. Stary „Kasjopea" robi czekoladę wprawdzie tylko dla Niemców, ale za to rękoma trzech tysięcy polskich robotników. Ale z tej biedy i tak wyzwoli nas prędzej czy później papa rzymski na czele gwardii papieskiej i przy pomocy polskich „zupaków", co wprawdzie wywiatrowali do Rumunii, ale za to w porę. Proszę za mną. Uwaga, można poźliznąć się na konfiturach. Wozili tu przed chwilą konfitury w beczkach. Beczka się jednemu z robotników przechyliła i ledwo zdążyłem bańkę podstawić. Sporo wyciekło na podłogę. Młody człowieku, (to do Stacha) będziesz tak dobry i zasypiesz te konfitury piaskiem, aby nie zobaczył ich pan „Kasjopea" — drażni go marnotrawstwo. Proszę w te drzwi — Sekuła wskazał okrągłym gestem wejście do pralni. — Uprzejmość na lewo i na prawo — mruczał przepuszczając ich przed sobą. — A zwłaszcza na prawo — od tego Polska zginęła.

Sekuła spodobał się Stachowi od pierwszego spotkania. Chłopiec nie znał go do tej pory, ponieważ ruchliwego stolarza wysyłano zawsze do pracy na mieście, poza warsztatem. Pozostał on w „Kasjopei" jako ostatni Mohikanin brygady stolarskiej, która wykonywała roboty w nowowybudowanym skrzydle fabryki. On sam wykańczał teraz drobne prace montażowe.

Zakładając fartuch Słupecki mamrotał:

— Majster coś mówi, że pan się za długo z tą suszarnią bawisz. Co jest z tą suszarnią?

— Co jest? Zwyczajnie. Dali drzewo na części do suszarni suche. Ze łzami w oczach majster te deski kazał z pawlacza ściągnąć. Przywieźli, położyli na betonie w korytarzu. Drzewo dostało wilgoci i pokręciło się we wszystkie strony. Śmigi do samolotów, klepki do beczek, co pan chcesz, tylko nie elementy suszarni. Nic mi tu teraz nie pasuje, prostuję, jak mogę, hebluję, aż mi pot nogawkami wycieka. Poza tym, robotę trzeba uszanować. Robimy na dniówkę, kolego Słupecki, nie pali się. Masz pan tu rysunek, orientuj się pan sam, jak pan potrafisz, a ja skoczę na drugie piętro, bo mam coś ze ślusarzami załatwić. Oni mnie tutaj rolki przerabiają, bo się nasz kochany pan majster, po swojemu, o parę milimetrów pomylił.

Sekuła bardzo często biegał na drugie piętro „do ślusarzy". Słupecki wziął na kieł, w ponurym milczeniu gibał się nad robotą. Wreszcie sklecili wszystko do kupy, zaciągnęli pokostem i politurą części zewnętrzne. Słupecki mógł odejść do warsztatu. Sekuła prosił o pozostawienie Stacha na budowie. Mieli jeszcze założyć jesionowe poręcze na klatce schodowej, zmontować dwa biegi dębowych schodów w ambulatorium fabrycznym, a także wyregulować drzwi i okna w całym skrzydle fabryki.

— Obliczyłem, że odejdziemy stąd po Zielonych Świątkach, co się stanie, gdy robotę naszą będziemy dostatecznie cenić. Pracować należy dokładnie, bo to, co zrobimy, zostanie dla nas, nie dla Niemców, nie dla „Kasjopei", tylko dla nas i musi być wykonane tip-top. Nie należy się jednak przemęczać, Stasiu, ponieważ nam za to nie płacą. Czy wiesz, co to jest takiego kaloria? No to posłuchaj... — tu następował wykład o pożywieniu, o mięśniach, o odżywianiu organizmu zakończony tak: — Radzę ci, jedz te konfitury, chociaż po prawdzie, to one już nam bokiem wychodzą. Niech cię pot oblewa od tej słodyczy, niech ci zęby odrętwieją, a ty jednak jedz, bracie. Wynieść tego nie można,

złapią werkszuce — zbiją. Jedz, bracie. Jutro dostanę marmoladki, to się nasz wikt trochę zmieni".

Stach rychło odkrył tajemnicę pochodzenia słodyczy, które spożywali w ilościach przekraczających wszelką miarę. Na drugim piętrze, w małym, bocznym pokoiku Sekuła urządził sobie podręczny warsztat i robił tam „fuszerkę", to znaczy przyjmował na swoje konto od robotników „Kasjopei" zamówienia, za których wykonanie należność pobierał w naturze. Produkował paczki do węgla, szafki, kasetki na przybory do golenia, stolnice. Drzwi od swego warsztatu Sekuła opatrzył przybitymi na krzyż deskami. Tłumaczył to w ten sposób:

— Człowiek jest dziwne stworzenie, Stasiu. Zobaczy drzwi uchylone — zaglądnie do środka. Deskę przybijesz — nawet nie podejdzie, myśli — nie ma co zaglądać — deskami zabite. Tak przynajmniej większość pomyśli. Czy wiesz, jak polują na wilki? Opasują kawał lasu sznurkiem, do sznurka przyczepiają kolorowe szmaty i pod tymi szmatkami wilki nie przejdą za nic w świecie, taką już mają naturę. Myśliwy grzeje jak do tarczy w takiego ogłupiałego bydlaka. Niemcy także napisali wszędzie „verboten" albo „nur für", a człowiek zastraszony słucha. I patrz, co się dzieje — czekolada jest także tylko „nur für", a przecież dzisiaj Słoniowski z czekoladziarni przyniesie nam w fartuchu pół kubła czekoladek nadziewanych rumem, co się nam należy za wykonaną solidnie stolnicę, sklejoną klejem „certus", który, jakie ma właściwości?

— Nie puszcza od wody, klei się nim na zimno, bez podgrzewania, no i trzyma bardzo dobrze.

— Tak. A jeszcze mi powiedz, dlaczego nie łączymy nim jesionowych poręczy na schodach, co je teraz montujemy?

— Bo szlachetniejsze drzewo czernieje od „certusu", taki jesion albo dąb.

— Będzie z ciebie stolarz. — Tu Sekuła dłonią, na której skóra upodobniła się do kory drzewnej, mierzwił włosy na głowie Stacha.

Miał złote ręce. Pracował, jeśli chciał, składnie i szybko, a robota, którą wykonywał, miała zawsze „sznyt" — nie była wymęczona, zapaćkana klejem i zabrudzona palcami. Stacho nauczył się znacznie więcej przez miesiąc w „Kasjopei" niż w ciągu całego ubiegłego okresu. Sekuła przyniósł pewnego dnia dwa dłuta i hebel do pasowania okien. Narzędzia były stare, a części stalowe pokrywała rdza.

— Wyszykuj to sobie — powiedział. — Tępisz moje graty bez litości. Pomęcz się, doprowadź do porządku, to będziesz wiedział, jak to boli, kiedy heblem pociągniesz po gwoździu.

Powracali z pracy do domu razem. Kołysali się w tłumie pasażerów szczelnie wypełniającym tramwaj. Sekuła dudnił bez przerwy.

— Z tym rzemiosłem, Stachu, to jest wielka blaga. Zwłaszcza w naszym — stolarzy budowlanych. Ale i w meblowej robocie nie ma cudów. Dawniej, kiedy ozdabiali każdy mebel rzeźbami, ornamentami, ptaszkami, listkami, naguskami, a jeszcze do tego dochodziła intarsja i inkrustacja, kiedy każdy rzemieślnik był snycerzem, artystą prawie, w tamtych czasach co innego... Widziałem w muzeum takie szafy, sekretery i komody, a nawet sam taki jeden garniturek odnawiałem u pewnego pana przed wojną. Meble takie robili nasi pradziadkowie po fachu długo, rok okrągły albo i więcej. O samym polerowaniu można by książkę napisać. Ale teraz przy maszynowej produkcji... Może kiedyś powrócą takie czasy, że rzemiosło znów stanie się sztuką. Wiesz kiedy? — pochylił się nad Stachem, a jego kwaśny oddech owiał twarz chłopca. — W komunizmie...

Słowo syknęło jak wystrzelona nagle rakieta. Słowo zostało wypowiedziane o dwa kroki od wygodnie rozpartych w osobnym przedziale wagonu, podstrzyżonych na jeża, czysto wymytych, grzecznie rozmawiających Niemców we wszelkich mundurach. Stacho widział, że jeden z nich, tłustawy, odziany był w skórkowy płaszcz i nosił frymuśny pędzelek na kapelusiku, co oznaczało gestapowca.

Nikt nie usłyszał. Ludzie naokoło mieli poważne, zatroskane twarze o rysach uwiędłych z głodu lub zmęczenia. Kołysali się jednostajnie, jak nakazywały im drgania pojazdu.

— ...Ludzie dostaną wszystko, czego im potrzeba najbardziej. Zechcą otoczyć się pięknymi przedmiotami. Wtedy być może znowu pójdą w ruch snycerskie dłuta, odgrzebie się stare recepty na szlachetne politury, znów rzemieślnik będzie pieścił mebel jak kiedyś. Ja nie jestem za powrotem do drewnianej sochy i drewnianego domu bez komina. Maszyna nasza zawsze nam będzie i coraz więcej pomagać. Ale dopiero ludzka ręka, jeśli nią dotkniesz bodaj przedmiotu takiego jak mebel, dotknięcie ręki i to nie byle jakiej, nadaje rzeczom duszę, bo rękę prowadzi nie motor, ale mózg człowieka bez żadnej transmisji. Mózg, rozumiesz, chłopie, mózg, myślący mózg. Dlatego ty nie dowierzaj, chłopie, kiedy ci rozmaite borsuki u nas w warsztacie ględzić będą o tajemnicach, wielkich tajemnicach rzemiosła. Oni tak specjalnie,

a zwłaszcza dureń-majster będą ci mydlić oczy, żebyś dłużej za darmo pracował. W gruncie rzeczy oni znają dwa kleje, jedną politurę i połowę rzemiosła. Nie było do tej pory roboty takiej, żeby jej ten nasz wielki majster chociaż trochę nie schrzanił. Przylatuje później na budowę, wódkę stawia, żeby szefowi nic nie mówić. Trzeba go wtedy widzieć, tego mocarza.

Wysiedli, a kiedy szli przez pola na ukos ku swoim domom, Sekuła dopowiadał myśli, aby nie pozostawić w umyśle chłopca nie wykończonych wątków.

— Mówiłem o mózgu. To nie tak... można wymyśleć rzeczy dobre i złe równie precyzyjnie. Można wymyśleć żarówkę i krzesło elektryczne. Można wymyśleć wojnę i elektryfikację kraju. Można wymyśleć faszyzm albo komunizm. Taki „Kasjopea" na przykład co wymyślił. To kuty cwaniak, bracie, to nie nasz wieprzowaty Berg. On powiada robotnikowi: „Masz ambulatorium, masz żłobek, masz stołówkę wymalowaną w ptaszki, ale do żadnego związku zawodowego nie należysz. Ja ci płacę, ja jestem twój bóg i władca. Żadnych strajków. Przychodzą inni robotnicy i mówią: „Strajkuj razem z nami, bo trzeba jednym frontem stanąć, ponieważ krzywdzą nas", to ty im nie wierz i odpowiedz: „Nie będę strajkował, bo „Kasjopea" jest dobry i ja mu przykrości robić nie mogę". A skoro dasz się namówić, to won za bramę. I tak, braciszku, „Kasjopea" dziurę wybijał w robotniczym froncie. A kogo te ptaszki i nocniki w żłobku zmyliły, tego już doił jak owcę i ogłupiał, i zamieniał we wroga własnych braci, i dławił jego mózg, i robił głupim niewolnikiem. Widzisz — co to znaczy — myśleć. Przeciwko takim jak „Kasjopea", czy jak teraz Hitler, myślimy i ja, i ty, i wszyscy robotnicy, a także działamy, a najwięcej z nas wszystkich Stalin. Ty myślisz — kto on? Bóg jaki? Nadczłowiek, co mu opatrzność pomaga? Zwyczajny człowiek, prosty, opatrzność mu do szczęścia i do wojny nie potrzebna. Ale mózg, chłopie, ot co, jego myśl jak brzytwa i miłość, wielka miłość do prostego człowieka, do mnie i do ciebie, Stachu. Miłość, co dawno go zrobiła bezlitosnym, najwięcej dla samego siebie. Wiesz co, Stasiu, jutro Nowy Rok, przyjdź do mnie pod wieczór na ulicę Woźniców. Będę w domu. Pokażę ci trochę rzeczy ciekawych i książkę ci dam do przeczytania. Takiej książki ze świecą teraz szukać. Stara moja zrobiła bigos. Przyjdź... Wiesz co... — mówił Sekuła — a rzadziej rzucane zdania brzmiały niby dogorywający ogień artylerii. — Śmiać mi się chce z Niemców i z tego ich wodza czesanego w ząbek, kiedy sobie po-

myślę o Stalinie. Myślę sobie: „Ech, wy gówniarze... gówniarze...“ No cześć, Stasiu. Życzę ci możliwego Nowego Roku. Boże mój, kiedy się to całe draństwo nareszcie skończy!

Pochwycił dłoń chłopca sękatym uściskiem i uśmiech okrasił jego dziobatą twarz, podobną do fotografii księżyca. Stacho uniósł perkaty nos i popatrzył rozświetlonymi uśmiechem oczyma na wielkiego jak drzewo Sekułę. Poprzez ich złączone dłonie płynęła serdeczność.

— Ja panu, panie Sekuła, nawzajem życzę... — Stacho szukał słów i nie znalazł takich, co by dobrze wszystko wyrażały.

Sekuła odchodził w poprzek pola, przydętego śniegiem. Chrupały na ponowie podeszwy jego butów. Wiatr ciągnął po ziemi śniegowy kurz. Stacho jeszcze przez pewien czas widział pochyloną do przodu bryłę postaci ludzkiej. Wyglądało, jakby Sekuła szedł do natarcia.

* * *

Tej nocy wysoko pod czarnym niebem buczał radziecki bombowiec. Szedł na zachód powoli, jakby nie w powietrzu płynął, lecz w smole. Dwaj ludzie okryci futrami spoglądali niecierpliwie na zegarki. Nawigator odłożył logarytmiczny suwak, uśmiechnął się i powiedział: „Spokojnie, spokojnie, towarzysze, zdążymy“.

Kiedy wyskoczyli, pilot położył maszynę w łagodnym wirażu, wychylił się zza sterów i patrzył w dół jak sęp. Dostrzegł nisko dwa klosze, ledwo szarzejące w ćmie nocnej. Wtedy usiadł wygodniej i, dla nabrania wysokości ściągając stery na siebie, burknął w laryngofon: „Dobrze, Sasza“. Na ziemi dwaj ludzie wyplątali się ze spadochronowej uprzęży i poszli drogą pod lasem ku miasteczku, gdzie wiwatowali świętując rychłe zwycięstwo niemieccy żołnierze.

— Patrz „Stary“ — powiedział ten, który niósł walizkę z radiostacją. — To już polski śnieg. Zgarnął rękawicą okiść ze świerkowej gałęzi. Ci dwaj byli to Marceli Nowotko i Paweł Finder. Nowy Rok zapowiadał się groźnie.

VIII

Stary Korecki cherlał coraz bardziej, chociaż nie było widać żadnych wyraźnych objawów chorobowych. Konstanty słuchał, opukiwał, zapisywał lekarstwa. Był to dobry lekarz i stary przyjaciel Koreckich. Zakładał okulary na czoło, przygryzał wargi i obciągał wyświechtane klapy marynarki, mówił prósząc naokoło siebie tytoniem i popiołem z fajki.

— Diabli cię wiedzą, mój drogi. Rentgena masz niczego sobie, nic się dopatrzeć nie można, a flaczejesz z tygodnia na tydzień.

— Wojna, Konstanty, wojna — oto moja choroba.

— Bo też ty zanadto wszystko bierzesz do serca. Z takim maślanym sercem, z taką jedwabną duszą, to ty powinieneś być secesyjnym poetą, a nie ekonomistą. — Zakasłał się i dmuchnął iskrami z fajki. W pokoju było prawie zupełnie ciemno, tylko mizerny krążek światła tańczył na suficie. W kącie stał przylepiony do kaflowego pieca mały żelazny piecyk i mżył ogniem. Matka podrzuciła wiórów. W piecyku zadudniło, rura łącząca go z wielkim piecem na chwilę stała się czerwona, zapłonęły na jej powierzchni maleńkie ogniki, to spalał się drewniany kurz. Ojciec wyciągnął dłonie i ogrzewał je, wydawało się, że goni gestem rąk umykające ciepło.

— Konstanty ma świętą rację — powiedziała matka rozdzielając herbatę o smaku rumowym marki „Karoma". Rozpuszczając się syknęły na powierzchni wrzątku pastylki sacharyny.

— Bo ja, mój drogi, zamknąłem drzwi... Zwyczajnie, oni nie istnieją dla mnie. Dawno już przestali mnie denerwować. Stało się to w chwili, kiedy zobaczyłem czerwone mury getta. A teraz te ich łapanki... łowy na niewolników. Nie ma na nich określenia, co bym nie wymyślił pasuje do Tatarów z epoki Henryka Pobożnego. Tamto jednak byli ludzie z epoki kamienia łupanego, a my mamy przecież do czynienia z ludźmi wieku dwudziestego, ze spadkobiercami wielkiej kultury, z potomkami równych bogom poetów, muzyków, myślicieli. Ech... powtarzam nasze przedwojenne rozmowy. Tylko rzeczywistość, ot co, rzeczywistość przekroczyła nasze wszelkie wyobrażenia. Fantazja zboczonego kretyna nie mogłaby zrodzić podobnych wizji. Bieda nasza polega na tym, że jesteśmy normalni. Być może, że ja także znajdę się w brzuchu tego molocha, ale czy jestem w stanie uczynić coś, aby się tam nie znaleźć? Moje dwa fakultety i bogate doświadczenie życiowe nie dyktują mi żadnej drogi wyjścia albo ucieczki, jeśli wolisz. Słowem: niech się wlecze, aby się nie szargało.

— Oportunista, taki stary, a oportunista — syknął Korecki z głębin fotela.

— O to, to właśnie. Oportunizm, myślowa nieobecność — jedyna kuracja, jaką ci polecam. Stosując ją będziesz żył długo.

— Ale jak?

Doktór Konstanty roześmiał się i zwrócił do matki.

— Widzisz, Magda, nie słucha lekarza, ja umywam ręce. Wołaj księdza...

— Konstanty, nie wygłupiaj się, smutno dowcipkujesz.

— No... no... ty zaraz tak po babsku, poważnie. U was tak zawsze, jak miłość to do grobowej deski i to samo z chorobą. Nie ma strachu, wyjdzie z tego.

Zagadywał później ponure zwidy, które wywołał niepotrzebnie.

— Siedzę ja wczoraj wieczorem i czytam. Co czytam? Rozmyślania Marka Aureliusza. Książka na czasie, ponieważ zawiera recepty na uszlachetnienie swej duszy przy pomocy nasycenia jej obojętnością i pogardą. Siedzę i bawię się krążkiem papierowej taśmy, tej gumowanej, co zalecano przyklejać ją na krzyż na szyby przeciw bombom. Uwierzyłem w to ja, stary dureń, jak baba, co pożar żegna wizerunkiem świętego Floriana i kupiłem tej taśmy w 39 roku. Zalepić nie zdążyłem, bo mi szyby wydmuchnęło ze szczętem. Teraz robiłem porządki i jakoś tę taśmę wyszperałem.

— Znam ja te twoje porządki — wtrąciła matka, a wszyscy uśmiechnęli się.

— Więc o czym ja to? No i tak jakoś ten Marek Aureli odpłynął ode mnie, a ja patrzę na krążek taśmy i prowadzę go po stole w palcach jak kółko od taczek. Przypomniałem sobie 39 rok, te tonny mięsa ludzkiego, co mi wtedy przez ręce przeszły. No i trochę o Niemcach myślę.

— Aha — mruknął Korecki.

— No nie za bardzo o nich myślałem i niezbyt długo. Wyobraź sobie, była na stole plama atramentu, wilgotna jeszcze. Chlapnął ten atrament, kiedy ozdabiałem Marka Aureliusza komentarzami na marginesach. Wjechałem ja na tę plamę moim krążkiem i co widzę: plama odbija się na płycie stołu za każdym obrotem mojej zabawki. Myślę sobie: „a gdyby to była litera...“

— Nic nowego. Wszelkie prawa zastrzeżone, copyright by Gutenberg.

Jurek machał ręką gestem zaprzeczenia.

— Zgoda, stolarzu, był to Niemiec na domiar złego. Słuchaj dalej. Litery można by odbijać na matowej stronie gumowanej taśmy. Tę taśmę ciąć później i rozlepiać na czym popadnie. Z liter można by ułożyć frapujące zdania, jak na przykład: „bij szkopa“, „sabotuj, wyjdzie ci to na dobre“ i inne takie rzeczy.

Jeszcze przez pół godziny dwaj starzy przyjaciele bawili się w układanie dosadnych jak smagnięcie bicza haseł. Ponieważ byli inteligentami z krwi i kości, zabawa ta zadowoliła ich tak, jakby była działaniem.

*

* *

Rozpoczęły się odwiedziny ciotek, co zestarzały się pośród kanap krytych pokrowcami, pośród konsolek i patarafek. Proponowały leki niezawodne, bo domowej produkcji. Wiodły konsylia będące stekiem idiotyzmów. Dosiadały twardo na brzegach krzeseł. Siedziały w zapiętych pod szyję sukniach, które niby sarkofagi pokrywały ich potworne ciała. Najbardziej nieugięta w swej samarytańskiej robocie była stryjenka Maria. Wtykała choremu pod plecy wszystkie poduszki i beształa Korecką za brak serca w słowach, które usprawiedliwić można było jedynie jej ciemnotą bezmierną jak ocean. Nie podzielała poglądów prawicowego podziemia, ponieważ Anglicy byli jej wstrętni za protestantyzm. Błąkała się w wieku dwudziestym niby widmo wielkiej inkwizycji. Nudziła Korecką.

— Magdziu, ty wiesz, kobieta ma zawsze wpływ na swojego męża. Żyjecie wprawdzie bez sakramentu, a więc w cudzołóstwie...

— Co też stryjenka wygaduje na miły Bóg...

— A tak, dziecko, ja wiem, słyszałem, jak nasz Mareczek chwalił się kiedyś, wstyd powiedzieć, że wprawdzie rodzina zmusiła go do uczynienia ślubów w kościele, ale on zdołał oszwabić księdza proboszcza i do żadnej spowiedzi przed sakramentem nie przystąpił. Pamiętam, dziecko, było to na imieninach u Janków, też bezbożników, nasz Mareczek podochocił sobie kilkoma kieliszkami śliwowicy i opowiadał, opowiadał — wstyd przypomnieć. „Podszedłem do konfesjonału i słyszę: klęknij, synu. Co masz Panu do wyznania? A ja mówię, że nie uklęknę, bo mam świeżo wyprasowane spodnie. Do spowiedzi nie będę przystępował, bo nie wierzę w Boga i nawet, gdybym przystąpił, byłoby to kłamstwem. Jeśli zaś chodzi o ślub, to jestem zdecydowany w ogóle żadnego ślubu nie brać, jeśli ksiądz zachowa stanowisko nieprzejednane co do spowiedzi". Ksiądz trzasnął drzwiczkami konfesjonału i zaprowadził twojego męża do zakrystii mówiąc, że sprawy finansowe załatwia nie w obliczu ołtarza. Jakoś tam zgodzili się, ale to jest prawda, że Marek u spowiedzi nie był, a zatem sakrament jest nieważny, a zatem popełniliście grzech świętokradztwa i żyjecie w cudzołóstwie. Czy tak nie jest?

Korecka milczała, nie słuchała zresztą od dłuższego czasu tej gadaniny, lecz myślała o sprawach poważnych na kanwie odgłosu tyrad Marii bijących o uszy, niby huk odległego młyna.

— No widzisz, jest jeszcze czas zło naprawić... na twarzy Marka widzę oddech wieczności... pojednać się z Panem... modlę się... ty masz na niego wpływ...

Korecka poprosiła o to, aby Maria nie denerwowała chorego tego rodzaju rozmowami. Lecz ta nie mogła przecież walczyć ze swym powołaniem. Pragnęła nade wszystko wzmóc szanse swego zbawienia przywracając na łono kościoła zatwardziałego grzesznika.

Siedząc, wzdychała ponad migocącymi drutami włóczkowej robótki. Wreszcie wylało się z niej wszystko co nosiła na sercu. Korecki prosił o zaniechanie zbytecznej rozmowy. Ona jednak popadła w stan religijnej histerii i zdawało się jej, że została nawiedzona.

— Popatrz, jak Pan pokarał Żydów... — krzyczała.

Kiedy Jurek otworzył drzwi do mieszkania i zwalił worek z wiórami z pleców, scena wyglądała tak: ojciec wychylił się z fotela zaciskając palce na poręczach i krzyczał:

— Poszoł won, czarownico!

Ona piszczała zbierając do worka kłębki wełny.

— Idę, idę i noga moja w tym domu nie postanie. — W przedpokoju poczuła się bezpieczna. Wytknęła głowę zza drzwi i wrzasnęła nie trafiając rękoma w rękawy salopy:

— Zdychaj, bezbożniku, i niech cię piekło pochłonie. Na twarzy i na rękach masz brudne plamy, to szatan waruje przy tobie i owiewa cię smrodem piekła.

* * *

— Twój ojciec ma na twarzy i na dłoniach brunatne plamy — Jurek krążył z doktorem Konstantym po uliczkach Starego Miasta, gdzie zawsze spacerowali w czasach przedwojennych i od tamtych czasów był to ich pierwszy spacer.

— Te plamy wyjaśniły ostatecznie moje przewidywania. To jest, Jurku, choroba, którą my nazywamy chorobą Addisona. Zresztą moje lekarskie wywody nic ci nie wyjaśnią, a w konkluzji i tak będę ci musiał powiedzieć to, co muszę.

Jurek przytrzymał za rękaw Konstantego, który z niezwykłym zainteresowaniem obserwował sylwetkę dachów kamieniczek po przeciwległej stronie Rynku. Zmusił go do popatrzenia na swoją twarz. Przełknął ślinę i zachrypiał.

— Kiedy, Konstanty, kiedy?

— To przyjdzie wiosną, gdzieś w kwietniu, jak sądzę, znając organizm twojego ojca jak swój własny. Dlatego mówię o tym teraz, bo jesteś mężczyzną i powinieneś przecież wiedzieć. Spadnie na twoją głowę wiele nowych trosk, których waga pomnożona jest przez wojnę. Pomogę tobie i Magdzie tak, jak to potrafię. Nigdy nie byłem zbyt zaradny, co jest zresztą sprzeczne z moim zawodem.

Opuścili Rynek i szli ponad fosą do ulicy Podwale. Konstanty mówił:

— Nie wierzy się w śmierć. Pokłady ludzkiego życia zaległy w tych murach. Fałszywa historia, jaką karmiono cię w gimnazjum, wytwarzała w twoim mózgu wyobrażenie o Starym Mieście jako o kolorowym, sielskim ryneczku, gdzie pulchne mieszczanki haftowały proporce dla dzielnych szwoleżerów gwardii. Milczano o tym, że wyrobnicy wieszali tu możnych, że tymi uliczkami płynęły głodne tłumy taszcząc na Rynek kupców o oczach zalanych sadłem. Ciągnęli ich na sąd plebejski...

Jurek rozumiał, że doktór pragnie przenieść jego myśli w inny wymiar. Czynił to nieskładnie i od razu było wiadomo, iż jest mu mroczno na duszy. Ciągnęło od murów dojmującym, wilgotnym zimnem.

Z knajpy „Schiefe Laterne" wywalili się gromadą pijani lotnicy niemieccy. Ryczeli i przechodząc przez sień pociągali za siwą brodę portiera odzianego w staropolską czamarę i konfederatkę obszytą barankiem. Stary w lewym ręku dzierżył halabardę, a prawą zgarniał napiwki.

— Przejdźmy na drugą stronę — powiedział Konstanty. — To są nadludzie, a nadczłowiekowi może przyjść do głowy taka na przykład myśl: „Jak upadną, ten stary i ten młody, skoro zastrzelę ich? Obydwaj na plecy, obydwaj na brzuch, czy też różnie?".

*

* * *

— Zrobisz tak: pracuj do końca wojny w warsztacie. Jeśli Partia wznowi akcję, przystąp i ty do roboty, nie żałuj siebie. Ja byłem ostrożny. Gdybym był adwokatem, prawdopodobnie broniłbym komunistów na procesach. Pozostałem sympatykiem-inteligentem, kupującym znaczki MOPR, prenumerującym „Dziennik Popularny", czytającym ze strachem i zadyszką bibułę aktualną. Matka ci pomoże, ona jest świadoma i dobra. Partii nie trzeba będzie szukać, gdzie są robotnicy, tam jest Partia. Partia ciebie wchłonie. Jeśli przeżyjesz wojnę, powróć do nauki. Ożeń się wcześnie, nie tak jak ja, i miej

dzieci wcześnie, nie tak jak ja. Będziesz wtedy mógł być przyjacielem swojego syna. Między nami była zbyt wielka różnica wieku, dlatego dogadywaliśmy się z trudnością. I teraz wieszczę jak biblijny patriarcha, zamiast mówić o rzeczy bardziej po prostu.

— Melodramat urządzam. To wszystko dlatego, że ze mną już koniec, a umierać mi się nie chce, jak bardzo mi się nie chce, żebyś ty, Jurku, wiedział.

Ojciec mówił powoli, głos jego szemrał nad poduszką. Dłonią pokrytą plamami grzebał nieporadnie po stoliku szukając fajki. Palce pieszczotliwym uchwytem objęły główkę. Przyłożył cybuszek do ust i wodził nim po wargach.

— Wyjdziesz z tego, wyjdziesz. Dzieją się niespodziewane historie z tymi chorobami. Przeczytam ci teraz komunikat radiowy.

Nie wiadomo kiedy, w czasie choroby, Jurek począł mówić do ojca „ty", a stało się tak zapewne dlatego, że ojciec zmalał i stał się lekki jak piórko. Komunikat był niezbyt pomyślny: Ofensywność wojsk niemieckich jakby odrodziła się z pierwszym ciepłem wiosny. W komunikacie BBC brzmiała nutka współczucia. Niemcy sunęli wybrzeżem czarnomorskim i stepami Ukrainy na wschód, jeszcze na wschód.

Ułożyli się do snu w czarnym pokoju niedaleko siebie. W nocnej opiece nad chorym Jurek wyręczał matkę. Ćmił papierosa, pragnąc jak najdłużej przetrzymać ogarniającą go senność.

— Daj pociągnąć — zaszeleścił głos ojca. Tak samo prosił Stasiek w warsztacie, kiedy wypadło palić na spółkę.

Chłopiec wyskoczył spod koców, przysiadł na brzegu tapczana i dotknął cygarniczką ust ojca. Ten pociągnął tak, jakby dopiero uczył się palić. Podziękował i zaczął coś po cichu opowiadać czy recytować. Pragnąc go usłyszeć, trzeba było zniżyć głowę ku poduszce bielejącej w ciemności. Jurek miał w kościach trzy dni akordowej harówki, usnął i chrapnął zaraz. Ojciec uśmiechnął się i pogładził dłonią ciepłe, twarde ramię syna, odcięte białym ramiączkiem gimnastycznej koszulki. Za dnia nie uczyniłby tego, w mroku jego dłonie nie były obrzydliwe. Przesunął delikatnie brzuścami palców po twarzy chłopca. Nie chciało się budzić go i odsyłać na polowe łóżko. Tak było cieplej.

Nad ranem obudził Jurka rozpaczliwy lament. W ogrodzie za parkanem beczały koty. Ojciec leżał na plecach, spod jego powiek na pół opuszczonych szkliły się matowo białka oczu. Jego dłoń była twarda i ciężka jak żelazo. Kołdra na piersiach zupełnie się nie poruszała. Jurka poczęła dławić w gardle sucha, rosnąca coraz bardziej kula.

(Dalszy ciąg nastąpi) **Bohdan Czeszko**

NASZE ŻYCIE

OSOBY

KOTERA — wicedyrektor kopalni, uprzednio górnik na tej kopalni.
MŁOT — sekretarz miejskiego komitetu partyjnego.
GRUSZKA — sekretarz Podstawowej Organizacji Partyjnej na kopalni.
KUSZEL, MOTYKA — aktywiści Związku Młodzieży Polskiej, czołowi górnicy kopalni.
CHERUBIN — dyrektor kopalni, inżynier.
GROŹNY — nowoprzybyły na kopalnię inżynier górniczy.
JANOWSKI — inżynier, kierownik ruchu maszynowego na kopalni.
GÓRA — stary górnik z kopalni.
KARLIK, GUSTEK — członkowie górniczej brygady młodzieżowej.
MATEUSZ — stary górnik, obecnie lampowy.
MARTA — jego pomocnica, córka Góry.
Dozorca przy szybie, górnicy młodzi i starzy.

Rzecz dzieje się w jednej z kopalń śląskich, w październiku 1949 r., w ostatnich miesiącach realizacji Planu Trzyletniego.

Akt I

ODSŁONA I

Scena przedstawia dość obszerny pokój biurowy. Dwoje drzwi, dwoje okien na wprost. Za nimi — w dali — zarysy kopalni. W kącie — pęk stojących obok siebie czerwonych i biało-czerwonych sztandarów. Z boku — ukosem postawione biurko. Obok stół, pokryty suknem. Krzesła. Wchodzi Marta niosąc ławkę. W drzwiach zatrzymuje się jednak. Chwilę mocuje się z kimś niewidocznym

MARTA: Puścisz czy nie! Widać jak to robi, skoro mu się ciągle tylko żartów zachciewa! *(ciągnie ławkę).* No puść, bo zobaczysz *(mocowanie ustaje. Marta z triumfem wnosi ławkę, z drugiej strony dźwigają ją Kuszel. Stawiają ławkę pod ścianą).*

KUSZEL: Co zobaczę, Marto?

MARTA: A co chciałbyś?

KUSZEL: Ciebie. Ale nie tutaj.

MARTA: A gdzie?

KUSZEL: Takaś ciekawa?

MARTA: *(udaje obrażoną)* To ci się tak tylko zdaje. W głowie ci się przewraca, myślisz, że jak jesteś brygadzistą to już... *(zjadliwie)* I tak teraz po kątach z ciebie już i górnicy, a nawet i dziewczyny się śmieją...

KUSZEL: *(porywczo)* Ze mnie? Co mówisz, a dlaczego?
MARTA: *(drażniąc się)* Takiś ciekaw?
KUSZEL: *(spostrzega, że Marta drwi z niego)* Nie, nie ciekaw. I tak tylko plotki roznosisz...
MARTA: Plotki? To ty tak myślisz, bo dalej swojego nosa nie widzisz.
KUSZEL: No i co jeszcze?
MARTA: A to, żeś generał bez wojska: brygadzista bez brygady.
KUSZEL: *(wściekły)* Kto ci to mówił?
MARTA: A któż by? Wszyscy. Albo to nie wiadomo? Tylko ty tego nie widzisz jakbyś był ślepy. A ludzie się w kułak śmieją.
KUSZEL: I ty razem z nimi?
MARTA: A co, może mi zabronisz? Jest z kogo — to się śmieję.
KUSZEL: *(ciska czapkę o ziemię. Odwraca się do Marty tyłem. Chwila milczenia).*
MARTA: Janek... *(Kuszel milczy)* Janek, słyszysz?
KUSZEL: Uhum...
MARTA: Słyszysz?
KUSZEL: Od plotek jeszcze nikt nie ogłuchł.
MARTA: *(podchodzi do niego, przysiada obok)* Dlaczegoś taki zły?
KUSZEL: *(zdziwiony obraca się)* Ja? Co ty, dziewczyno, pleciesz?
MARTA: A kto? Może ja?
KUSZEL: Tak. Właśnie ty *(usiłuje odwrócić się tyłem. Marta chwyta go za ramię)* Ja to chciałam dla twego dobra. *(Kuszel patrzy na nią zdziwiony)* No tak, dlaczego dajesz sobie jeździć po nosie? Przecież twoja jest racja...
KUSZEL: Tak myślisz?
MARTA: Albo to tylko ja? Każdy ze starych nawet choć zły trochę na was też to samo mówi.
KUSZEL: *(zaciekawiony)* Co gadają?
MARTA: Zawsze jak schodzą z szychty... Żeście chcieli pracować i dobrzeście robili i że wam robić nie dają. Po całej kopalni rozrzucają.
KUSZEL: Tak mówią?
MARTA: I dziwisz się teraz?
KUSZEL: Im się nie dziwię. Ale tobie — bardzo. Takie to masz serce dla mnie?
MARTA: *(przestraszona)* Janku!
KUSZEL: A tak. Że u Cherubina słowa dobrego nie zaznam, że mnie jak psa z pokoju pędzi — to mu się i nie dziwię. Że Kotera nie umie nam pomóc jak trzeba — też się nie dziwię. Bo i skądże? Dopiero niedawno przecież w swym fotelu usiadł i rady wszystkiemu dać nie może, albo i nie potrafi... Ale ty, ty, Marto... *(odwraca się).*
MARTA: Janek, przecież ja chciałam, ja chcę ci pomóc...
KUSZEL: Tak. Pomagasz. Ani słowa. To już wolę Cherubina. Przynajmniej nic nie mówi.
MARTA: Krzywdzisz mnie. Chciałam, żebyś się wziął w kupę. No więc trochę sobie pokpiłam.

KUSZEL: I pomogłaś?

MARTA: *(rozżalona)* Albo to tobie co pomoże? Honoru nie masz za grosz...

KUSZEL: Już ty się o mój honor nie bój. Dam ja im radę *(zrywa się z ławki)* Jeszcze raz Koterze do sumienia przemówię. Przy ludziach. Z Motyką pójdę.

MARTA: *(z radością)* Nie daj się!

KUSZEL: Ech, Marta, tu nie tylko o moją krzywdę chodzi. Co tam moja krzywda... O ludzi, o ludzi tutaj chodzi. Nawet o tych, co się ze mnie dzisiaj śmieją... *(patrzy z ukosa sposępniały na Martę)* Tak jak ty, Marto...

MARTA: *(przestraszona)* Janku, co wygadujesz? Przecież ci tłumaczyłam...

KUSZEL: Wiem. Wierzę ci, wierzę.

MARTA: *(ucieszona)* Naprawdę?

KUSZEL: A komuż mam wierzyć, jeśli nie tobie? *(obejmuje ją, Marta słabo się broni).*

MARTA: Zobaczą...

KUSZEL: A niech patrzą *(całuje ją, zaczerwienieni odskakują od siebie).*

MARTA: Janek... A coś ty przedtem mówił, gdzie chciałeś mnie zobaczyć?

KUSZEL: *(śmieje się)* Nie wiesz? Czekaj, powiem ci na ucho *(podchodzi do niej, szepce. Jednocześnie słychać zza drzwi podniesione głosy, szurgot nóg. Kuszel i Marta stoją chwilę przerażeni, a potem dopadają drugich drzwi, otwierają je i znikają za nimi. Do pokoju wchodzą jednocześnie Gruszka i Młot. Młot rozgląda się, podchodzi do okna i zamyka je).*

GRUSZKA: Któregoż to dzisiaj mamy?

MŁOT: Dwudziestego piątego...

GRUSZKA: To znaczy pozostało nam jeszcze do końca miesiąca sześć dni...

MŁOT: Tak... niewiele wam czasu pozostało... *(pytająco)* A oddechu po staremu złapać nie możecie?

GRUSZKA: Te ciągłe wąskie gardła kopalni — to wady w planowaniu, w rozłożeniu sił, nieprawdaż? I ja tak myślałem. Ale dzisiaj myślę, że to nie tylko to. Przyjrzałem się lepiej ludziom...

MŁOT: *(z uśmiechem)* I po to tutaj jesteście. Przyjrzyjcie się, i to tak po naszemu. Młodzi jesteście, ale czasu w szkole nie marnowaliście. A jak trzeba do mnie — w dzień i w nocy... Rozumiecie?... *(niespodziewanie otwierają się drzwi na wprost, wchodzi Kotera, wysoki, czarny od węgla górnik w kombinezonie robotniczym i z lampką górniczą w ręku. Przystaje raptownie, nieco zdziwiony ich obecnością).*

KOTERA: Cześć pracy, chłopcy *(obaj jednocześnie odpowiadają mu, witają się głośno).*

MŁOT: Cóż to, Kotera, i wy poszliście na dół? Ech, widzę, że ciągnie was na dół do węgla... jak chłopa do baby.

KOTERA: Zebyś tylko dał, pieronie, żebyś mi tylko dał. Rwę się tam dniem i nocą, we śnie ta ściana przede mną stoi, a ja na węgiel patrzę. Tylko cóż, kaganiec mi nałożyliście. A tutaj...

MŁOT: Ciężej?

KOTERA: A co myślisz, że będę się zapierał? Pewnie, że ciężej. *(z westchnieniem)* A może właśnie jak ten ciężar gniecie, to może właśnie wtedy jest lepiej. Tam, na dole to było dobrze: przed tobą tylko calizna tłusta jak masło, z nią się za bary bierzesz, a tutaj na górze *(wzdycha)*. Biją w ciebie ze wszystkich stron jak w bęben. Fakt. No, ale ja mam kark mocny *(śmieje się)*. Gestapo go nie skręciło, to i teraz powolutku, powolutku wyjdę z tego... *(do Młota)* A wy pewnie naszą naradę chcecie dzisiaj zobaczyć?

MŁOT: Tak, chyba najwyższy czas.

GRUSZKA: *(wtrąca się do rozmowy, mówi powoli, cicho, ale wyraźnie)* Dziwię się wam trochę, Kotera, że mówicie tak o wszystkim, jakbyście byli tutaj sami jak palec. A przecież tutaj macie kolektyw, macie nas.

KOTERA: *(milczy chwilę, potem wybuchowo)* A właśnie nie macie racji. Kolektyw jest — na chodniku, na oddziale — tak! *(rozjaśnia się)* Piękny kolektyw. Ludzie tacy, że świat z nimi przestawisz, do komunizmu bez gadania wleziesz od razu obiema nogami... Ale tutaj *(wskazuje palcem na biurko)*, tutaj właśnie jestem sam jak ostatni kołek w płocie. To tylko tak wydaje się z początku, że wszystko pozostaje po staremu... Ale spróbuj tylko *(macha ręką)*. Ech, co tam... Wyszedłem ja z tego górniczego mroku na urzędnicze światło... A to już nie to, oj nie. Biurko to nie kilof ani dynamit...

GRUSZKA: A partia, co zrobiłeś z partią, też zepchnąłeś ją tylko na chodnik? Też tylko tam ją widzisz?

KOTERA: Gruszki chleb też nie łatwy *(ciszej)* Cień z niego dzisiaj — nie człowiek.

GRUSZKA: *(odwraca się gniewny)* Tutaj, Kotera, nie cyrk, nie opowiadaj bajek. Sam za siebie odpowiem... *(mocne pukanie do drzwi)*.

KOTERA: Właź, pieronie *(wchodzą dwaj młodzi górnicy, Kuszel i Motyka, aktywiści kopalnianego ZMP)*.

KOTERA: *(niecierpliwie)* Poczekajcie trochę, chłopaki. My teraz mamy tutaj partyjne sprawy...

MŁOT: Jeszcze nie zaczęliśmy, Kotera. Niechżeż przynajmniej powiedzą, z czym przyszli. Dajcie im dojść do słowa.

MOTYKA: *(zaczepnie)* Wiecie dobrze, Kotera, o co nam chodzi: o naszą młodzieżową ścianę...

GRUSZKA: Poczekajcie, chłopaki... Wiecie, jak nas teraz z planem przydusiło, jak jest ciężko.

MOTYKA: Z czym, Gruszka, z robotą? A źle to wam było, jak nasza brygada te sto osiemdziesiąt procent na ścianie wyrabiała? Aż w Moskwie o nas pisali *(chłodniej, z odcieniem bezradności)* Źle wam było?

KUSZEL: *(do Kotery)* A teraz, Kotera, powiedz, dlaczego nas już do reszty likwidują? Dlaczego dzisiaj przerzucili mnie na szesnastkę?

MŁOT: *(ciekawie, nieco zdumiony)* To u was już nie ma młodzieżowej ściany?

KOTERA: *(rozkładając ręce)* Ściana się skończyła... Trzeba było część ludzi rozrzucić po oddziałach. Nie może przecież przy czterdziestu metrach pracować tylu ludzi, co przy stu...

MOTYKA: *(podniesionym głosem)* Ty, Kotera, nie mydl nam tutaj oczu. Ileż to razy prosiłem ciebie: Kotera, daj nową ścianę. Kotera, pamiętaj o ścianie dla nas. A tyś co zrobił? Nie tylko ściany nie dajesz, ale jeszcze wybierasz mi najlepszych ludzi i rozrzucasz po całej kopalni. Co z nich zostało? Co jest z produkcją? I chłopcom źle, i produkcji źle.

KUSZEL: I dlaczego to właśnie ja mam odejść od chłopców? Jestem brygadzistą, na moją robotę chyba nie narzekacie, a tu przychodzi sztygar, nic nie powie, ani nie wytłumaczy i tylko: wynoś się, tutaj już nie będziesz robił... A co będzie teraz z moją brygadą, co oni mają beze mnie robić?

KOTERA: Dziury w niebie nie będzie... Słuchaj, Kuszel, ja ci to uczciwie powiadam. Kler mówi: ratujcie wasze dusze — a ja tobie powiem po naszemu: Kuszel, ratuj oddział szesnasty...

KUSZEL: *(opierając się)* Dlaczego, dlaczego właśnie ja?

GRUSZKA: Słuchaj, Kuszel, ile ty bierzesz metrów?

KUSZEL: *(chełpliwie)* No, czternaście, szesnaście...

GRUSZKA: A widzisz... Jak ty na szesnastce weźmiesz te, przypuśćmy, czternaście metrów, to nam cały oddział za sobą pociągniesz. A wiesz, co to znaczy? Cały oddział stanie na nogi, cały oddział wykona nareszcie plan. A my, sam wiesz, plan musimy wykonać... Nie możemy dalej żyć i pracować w takim wstydzie...

MOTYKA: A co będzie ze ścianą dla brygady?

KOTERA: *(ponownie rozkładając ręce)* Skąd wam dzisiaj wezmę... Przecież nie urodzę... Czekaliście tyle, poczekajcie jeszcze te kilka dni... Dziś tak jest, sami wiecie, choćbym chciał uczciwie... No, którą ścianę wam dam, którą?

KUSZEL: A trzynastą?

KOTERA: *(poważnie)* Słuchajcie, chłopaki, sami to dobrze wiecie: tam muszą pójść z osiemnastego... Słyszeliście, jak tam ludzie pracują? Po kolana w wodzie.

MOTYKA: *(mrukliwie)* Ja tam byłem... pieroński oddział.

KOTERA: Ja wam, chłopcy, dam ścianę jak róża, ale muszę wszystko spokojnie przemyśleć, trochę pokombinować. Po pierwszym, jak miesięczny plan spadnie z głowy i będzie trochę luzu, mówię wam: razem się zbierzemy i obiecuję: jak będę mógł — pomogę... A teraz trzeba robić, robić i jeszcze raz robić plan. Toć mi dzień nie dzień, noc nie noc, te sto procent jak chrabąszcze chodzi po głowie.

MOTYKA: *(hardo)* Ty masz niby rację, Kotera, ale pomyśl, że to jest tylko twoja racja. Jak będziesz ciągle nas zwodził — pójdziemy i zapytamy się, gdzie się kończy twoja racja, a gdzie zaczyna racja

partii *(po chwili milczenia)* I myślę, że ścianę dostaniemy... Źle to wam było, jak robiliśmy te sto osiemdziesiąt procent?

KOTERA: Ja was rozumiem, ale zrozumcie wy i mnie. Plan w tym miesiącu musi być zrobiony... Dużo u nas jest złego jeszcze, ale chyba jeszcze więcej dobrego... *(zaskakująco do Kuszla)* Kuszel, ja ci mówię jak do partyjnika: idź na tę ścianę. Obejrzałeś ją?

KUSZEL: Nie, nie widziałem.

KOTERA: No to przypatrz jej się, a dobrze. Tam potem będziesz o niej gadał. Namyślisz się. No, tymczasem — cześć pracy, chłopcy.

KUSZEL i MOTYKA: Cześć pracy *(wychodzą)*

GRUSZKA: *(wśród ogólnej ciszy)* Oni mają rację, Kotera.

KOTERA: Ale plan produkcji — to pierwsza racja... Nieprawdaż? *(ogólne milczenie)*

GRUSZKA: *(zwracając się do Młota)* Rozpoczniemy już teraz chyba.

MŁOT *(kiwając w milczeniu głową)* Gadajcie tylko o wszystkim, co wam leży na wątrobie. Nikogo nie oszczędzajcie, a najpilniej patrzcie na własne ręce. No, Gruszka...

GRUSZKA: *(powstając)* Wszyscy chyba obecni?

KOTERA: Brak Cherubina...

GRUSZKA: Trudno, czekać dłużej nie będziemy... *(pukanie do drzwi, wchodzi Cherubin, wita się ze wszystkimi, siada przy końcu stołu)* Patrzcie, o wilku mowa i wilk tu... Można zaczynać?

CHERUBIN: Ja was, towarzysze, przepraszam. Ale, wiecie, produkcja...

KOTERA: Jasne. Wal, Gruszka.

GRUSZKA: Ja, towarzysze, tutaj od razu chciałbym powiedzieć kilka słów prawdy o nas i o naszej produkcji Ja, jak wiecie, z zawodu jestem ślusarzem. I dlatego może, ile razy myślę o naszej partii, to wydaje mi się ona jednym wielkim kluczem, który otworzy nam każdy zamek, choćby cuhaltowy, każde kraty ucisku, które bronią dostępu do osiągnięcia naszego celu: komunizmu... I jak dzisiaj myślę o tym ramieniu, o ręce, co to ma się tym kluczem posługiwać, o naszej organizacji partyjnej, to nie mogę wyjść z podziwu... Bo to partia liczebnie silna, kopalnia dobra, a produkcja — fakt, nie na poziomie, a plan — drugi fakt, niewykonany. A wszyscy przecież pamiętamy nasz czyn kongresowy. Pamiętamy, co potrafiła dać wówczas z siebie załoga. A dzisiaj, pytam się, a dzisiaj? *(podnosi ze stołu kartkę papieru, wymachuje nią)* Słuchajcie, towarzysze: taki oddział jedenasty—siedemdziesiąt cztery procent planu, oddział szesnasty — siedemdziesiąt sześć, dziewiętnasty — osiemdziesiąt procent planu. Produkcja całej kopalni dziewięćdziesiąt procent planu. Tak to dzisiaj wygląda wydobycie na naszej kopalni, która jeszcze do niedawna dawała tysiące ton węgla ponad plan. Szukajcie, towarzysze, przyczyn, radźmy *(siada na powrót)*

CHERUBIN: *(kręcący się niespokojnie podczas przemówienia Gruszki)* Proszę o głos.

GRUSZKA: Towarzysz Cherubin ma głos.

CHERUBIN: Ja chciałbym konkretnie naświetlić ogólne przyczyny niedomagań, które utrudniają wypełnianie naszego planu produkcyjnego. Otóż mogę stwierdzić z całą pewnością, że większość tych niedomagań powstała z przyczyn od nas niezależnych *(wyjmuje z kieszeni zwitek papieru)* Wystarczy chociażby przejrzeć raporty dzienne z ostatnich dni... Dla przykładu wymienię sprawę naszych kotłów, które w chwili obecnej są wyraźnie przeformowane...

MŁOT: *(biorąc zwitek papieru ze stołu)* Kotły nawalały wam i przedtem i będą jeszcze zapewne niejednokrotnie nawalały. No i co z tego? Będziecie musieli pociągnąć na nich i rok i półtora...

CHERUBIN: *(kontynuuje)* Do tego należy dodać nadspodziewanie liczne trudności natury geologicznej. Mieliśmy całą masę uskoków, bardzo uciążliwych do zlikwidowania. No i kamień...

MŁOT: Uskoki były, są i będą. Pokażcie mi kopalnię, gdzie ich nie ma? *(dźwięczy telefon)*

KOTERA: *(podnosi słuchawkę, ruchem ręki ucisza obecnych)* Kotera... tak... No ile, mów wyraźnie... pięć tysięcy sześćset?... Tak, tak... Dobra, gnaj dalej *(kładzie słuchawkę, ociera czoło, mówi cicho)* I dzisiaj nie dali normy... Niby lepiej? *(spogląda wyczekująco)*

GRUSZKA: Dawaj, Kotera, postoje... *(Kotera wyjmuje z biurka zeszyt. Pochylają się nad nim z Gruszką i Młotem)*

KOTERA: *(czyta)* Pola pierwsze i drugie — ogólny brak ludzi... przerwa w dostawie prądu... zerwanie taśmy...

MŁOT: Coś za dużo tego...

GRUSZKA: Dzisiaj mówili mi, że w nocy na dziewiątym stali trzy godziny...

KOTERA: Dlaczego?

GRUSZKA: Nie mieli wózków...

KOTERA: *(zdejmuje słuchawkę, nakręca numer).* Dajcie Gajdę.... Gajda? Ty, Gajda, pieronie jeden, wiesz ty chociaż, co w nocy było na twoim polu? Trzy godziny postoju. Wózków chłopy nie mieli... Co?... A ty mi jeszcze do tego piszesz w meldunku: uskok... Kopalnia nie niebo, a my nie anieli, abyśmy byli bez winy... *(chwila milczenia)* Ty mi teraz się nie tłumacz... Patrz najpierw na swoje łapy, a potem przyglądaj się innym... *(wali energicznie pięścią w stół)* Jedź jutro i pojutrze na noc, tak, tak *(odkłada słuchawkę).* Ech, *(do obecnych wyjaśniająco)* Gajda dopilnuje tych pierońskich wózków i w nocy...

MŁOT: Mówiliście, Kotera, chłopcom ze ściany młodzieżowej, że produkcja to wasze pierwsze prawo — nieprawdaż?

KOTERA: Tak.

MŁOT: A jak myślicie, umiecie się uczciwie trzymać tego prawa?

KOTERA: Widzicie przecież, staram się, jak mogę.

MŁOT: Sami produkcji nie uciągnięcie, teraz rozumiem, dlaczego czujecie się samotny, Kotera, dlaczego chcecie pójść na dół... *(przez okno wpada nagle rosnący szum wezbranych głosów. Słychać niewyraźne okrzyki. Wśród tej wrzawy wybija się silny, dźwięczny głos)*

GŁOS: Górnicy, wasza partia wzywa was do nowej bitwy o przekroczenie planu rocznego, wzywa was do nowej bitwy o socjalizm. Byliśmy pierwsi w walce, będziemy i pierwsi w pracy. Pod sztandarem zwycięstwa, towarzysze górnicy, do nowej bitwy o szczęście naszych dzieci, nas samych... *(wszyscy zdumieni powstają i w napięciu słuchają. Kotera podchodzi do okna i otwiera je na oścież. Fala dźwięków wdziera się ze zdwojoną siłą, teraz można rozpoznać, że jest to głos z megafonu).*

KOTERA: Dziwnie znajomy głos... Któż by to mógł być?...

MŁOT: *(podchodząc do niego)* Zapomnieliście o rocznicy czynu kongresowego, którym porwaliście cały kraj, zapomnieliście własnego głosu... To wasz głos, Kotera... Ale ojczyzna o tym wie... i pamięta. Dzisiaj będzie przecież akurat rok, jak przemawialiście na wiecu... To nasz radiowęzeł przypomina.

KOTERA: *(zasłania oczy ręką, głucho)* Nie sprostałem zadaniu, towarzysze. Moja wina. Rozpatrzcie ją.

MŁOT: *(surowo)* Znamy swoje obowiązki, Kotera. Pracujcie dalej.

ODSŁONA II

Szyb kopalniany przy zjeździe, w perspektywie schody prowadzące do niego. Słychać monotonny szum windy, do której zdążają coraz to nowe partie górników. Jest jeszcze półmrok, ludzie schodzą leniwie, od czasu do czasu słychać gwizd dalekich syren. Nadchodzi Kotera, staje i obserwuje zjazd. Zjawia się Kuszel i jego brygada zetempowska, a w niej m. in. Gustek i Karlik.

KUSZEL: *(wesoło)* Cześć pracy, Kotera.

KOTERA: Cześć pracy.

KUSZEL: Coś ty taki dzisiaj markotny, Jurek? Wziąłbyś się tak ze mną na urobek, co? *(śmieje się)* Bo tak, to już ciebie z tego dyrektorskiego fotela nie widać...

KOTERA: Poczekaj trochę lepiej, nie wywołuj wilka z lasu, bo byś mi tylko zadek bez przerwy oglądał... *(wśród górników słychać śmiech)*

KUSZEL: *(zaczepnie)* Możecie tak krzyczeć, bo za dyrektorskim biurkiem się chowacie, a tam — wiadomo... Wiertarką was nie dosięgnie. Ale tak, wiesz, spróbuj się choć przez pół szychty ze mną na ścianie.

KOTERA: A co ty sobie wyobrażasz, że ja tylko o twojej ścianie myślę? We łbie ci świergoli, Kuszel, oj świergoli... A o produkcji kopalni kto będzie myślał za mnie, co?

KUSZEL: Mleć językiem to umiesz, Kotera, dyrektorski honor prędko znalazłeś, jakby bez ciebie kopalnia się zawaliła.

KOTERA: *(podniecony)* Ty mnie tutaj nie ucz. Koszulę nosiłeś w zębach, jak za czerwony sztandar brałem baty.

MOTYKA: To go nauczcie. Nie rzucajcie słów na wiatr. Bo to, każdy wie, najłatwiejsze...

KOTERA: To tak chcecie mnie podejść? Dobra. Będziecie mieli, czego chcecie. Ale potem ludziom się nie pokażecie na oczy *(do górnika stojącego obok)* Powiedz Gruszce, że zjechałem na dół. Na południe będę... *(słychać sygnał windy).* No, Kuszel, wsiadaj, teraz to mi się jak robak nie kręć, nie wierć...

KUSZEL: *(nieco zdetonowany)* Słuchajcie, Kotera, nie obrażajcie się... Ja tylko tak dla żartu... My tutaj dobrze wiemy, co to za ciężar dźwigacie...

KOTERA: *(rozochocony)* A nie mówiłem, że jak przyjdzie co do czego, to sobie przypomnisz, jakieś nosił koszulę?

KUSZEL: Jak tak mówicie — no to chodźcie, Kotera. Popróbujemy...

KOTERA: Ano zobaczysz, że ja — nié malowany dyrektor. Dobrą macie ścianę?

MOTYKA: Jak dzwon.

KOTERA: Ano, to podzwonim. Ale tak, żeby nas posłyszeli na wszystkich kopalniach... *(przechodzą. Dzwonek brzęczy przenikliwie, słychać szum windy. Rozpoczyna się normalna praca kopalni. Wchodzi dyrektor kopalni Cherubin z młodym inżynierem górniczym Groźnym).*

CHERUBIN: *(kontynuując prowadzoną rozmowę, napastliwie)* A teraz powiem już szczerze — wasz projekt zaskoczył mnie bardzo. Czyż na tego rodzaju ryzykowne eksperymenty nadaje się teren naszej kopalni? Przecież my jesteśmy największą kopalnią zjednoczenia... I od nas w dużym stopniu zależy, czy zjednoczenie wykona plan, czy też nie....

GROŹNY: *(porywczo)* No, to widzimy dokładnie. I wiemy o tym. Sądzę, iż nie tylko my...

CHERUBIN: Proszę mi nie brać za złe mego sceptycyzmu. Ja sam jestem człowiekiem postępu i dobrze rozumiem i doceniam młodzieńczy rozmach i inicjatywę... Ale... *(z godnością)* sądzę, że i moja siwizna zdobyta w praktyce górniczej może być niejednokrotnie bardzo pomocna.

GROŹNY: *(gorąco)* Ależ ja nie chcę być w żadnym wypadku w ten sposób zrozumiany. Jeśli przyszedłem tutaj, to przecież dlatego, że zdaję sobie dobrze sprawę z pańskiej wiedzy i doświadczenia, że chciałbym jak najwięcej się od pana nauczyć.

CHERUBIN: *(wyrozumiale)* A więc, młody człowieku, pozwólcie, że jeszcze raz to przemyślę, a potem wspólnie już zastanowimy się nad dalszymi losami waszego projektu. *(Groźny kiwa głową na znak zgody. Cherubin podchodząc do dozorcy przy windzie)* Nie widzieliście może dyrektora Kotery?

DOZORCA: Zjechał na dół, na trzynastkę.

CHERUBIN: *(zdziwiony)* O tej godzinie? *(sprawdza zegarek)* Czyżby się tam co stało?

DOZORCA: A cóż by się miało stać? Pojechał z Kuszlem. Będzie z nim robił na ścianie...

CHERUBIN: *(z niedowierzaniem)* Dyrektor Kotera?

DOZORCA: *(śmiejąc się)* Jurek Kotera. To nie wiecie, jaki on do roboty w przodku? Jak skra. W rękach mu się wszystko pali...

CHERUBIN: A nie mówił, kiedy wraca na górę?

DOZORCA: Niby to w południe, ale kto Jurka zna...

CHERUBIN: No to co?

DOZORCA: To wiadomo, że nie wcześniej jak na koniec szychty.

CHERUBIN: *(po cichu, do siebie)* A no cóż, będziemy musieli jakoś sobie radzić sami... *(patrzy przez chwilę spod oka na Groźnego i podchodząc znowu do niego mówi z uśmiechem)* Widzicie, drodzy, tak to już jest zawsze, gdy ktoś chce na przykład... z kury zrobić orła...

GROŹNY: *(zdziwiony)* Nie rozumiem pana...

CHERUBIN: Kury chodzą i będą chodziły po ziemi, orle skrzydła im nie wyrosną... A farba nałożona na pióra... Ot, przyjdzie deszcz, jeden, drugi, potem burza i zmyje malowane piórka *(patrzy na zegarek)* No, ale my tu gadu, gadu, a czas ucieka... *(bierze Groźnego pod rękę)* Chodźmy. A tutaj *(rozgląda się wokół, z ironią w głosie)* No, my do rozpaczy *(śmieje się)* nie mamy jak dotąd żadnych powodów...

JANOWSKI: *(wchodzi, dostrzega od razu Cherubina i Groźnego, podchodzi do nich, mówi z wylaniem)* No, nareszcie was widzę, dyrektorze.

CHERUBIN: Oto człowiek, który zna się na technice. Nie administrator tylko czy dozorca...

JANOWSKI: Wy, jak zawsze, z żartami... Przecież tutaj u nas to wy, inżynierze, jak generał nad armią...

CHERUBIN: *(podchwytując z ironią)* Ale pewnego pięknego dnia cóż się okazuje? Że stary generał ma zjełczały mózg niezdolny do twórczej pracy, do twórczego spojrzenia w przyszłość. Okazuje się, że to, co dotychczas robił, metody, według jakich pracuje i pracował, chwała Bogu, będzie tego dwadzieścia pięć lat, są tylko martwą rutyną.

GROŹNY: *(zmieszany, chwyta go za rękę)* Ależ, panie dyrektorze, jak można w ten sposób, pan mnie krzywdzi...

CHERUBIN: *(z uśmiechem)* Proszę, proszę dać mi skończyć. Więc właśnie... pan, jak zresztą każdy narwany młody inteligent polski, uważa, że zbuduje zamki na lodzie, nie zważając na geologię podłoża, ani na to, co my, stare wróble, nazywamy tym realizmem, zejściem po prostu na naszą twardą, niewdzięczną ziemię...

JANOWSKI: *(ze źle ukrywaną ironią do Groźnego)* Cóż to za rewelacje szykuje nam kolega?

GROŹNY: *(oschle)* O żadnych rewelacjach mowy nie ma... Proszę mnie źle nie rozumieć. Chodzi mi tylko o pełne wykorzystanie możliwości produkcyjnej kopalni. Raczej... *(śmieje się z przymusem)* będzie to nawrotem ku przeszłości... niechwalebnej, ale niejednokrotnie głęboko pouczającej...

CHERUBIN: Przeszłość, prędko się z nią, młody człowieku, rozprawiłeś... A mnie się wydaje, że tam właśnie zostawiłem najlepszą część siebie.

JANOWSKI: Święte słowa, kolego. A mnie, dodam do tego, ta przeszłość, dziwna rzecz, wydaje się być i przyszłością.

GROŹNY: *(śmieje się)* Ależ nie o tym, nie o tym myślałem, koledzy, hola, hola, nieco... Widzę, że ja teraz, dla odmiany, muszę sprowadzać was z obłoków na ziemię. Ja myślałem czysto zawodowo, technicznie: wziąć z owej przeszłości to wszystko, co jest przydatne dzisiaj, co może być pomocą w naszej dzisiejszej pracy, produkcji...

CHERUBIN: *(z zadowoleniem)* A więc grozi wam, kolego, to zło największe, które nazwać można ciasnym praktycyzmem.

GROŹNY: Miałbym ochotę o to nieco się posprzeczać, ale skapituluję. Wycofuję się... jak to się nazywa w języku wojskowych?

JANOWSKI: *(ironicznie)* Z honorem...

GROŹNY: Tak, z honorem, i do tego, powiem szczerze, całkowicie bez poczucia porażki *(wszyscy śmieją się. Dzwoni telefon przy szybie, odbiera go Janowski potem woła Cherubina)*

JANOWSKI: To do was.

CHERUBIN: *(idzie do telefonu. Słychać jego głos)* Tak... tak. Dobrze, już idę *(wraca do Janowskiego i Groźnego)* Wybaczcie, koledzy, zapomniałem na śmierć o tym, że Kotery nie ma. Muszę go zastąpić *(wychodzi).*

JANOWSKI: *(podaje papierosy Groźnemu)* Kolega pozwoli?

GROŹNY: Dziękuję *(przypalają).*

JANOWSKI: O cóż to stary tak się na was zaperzył? Właściwie powinien zrozumieć prawa młodości... No, w końcu, gdyby nie tak zwane niedowarzone szaleńcze pomysły, jak o nich niejednokrotnie mawiali współcześni, nie mielibyśmy w ogóle postępu w technice... Zresztą nie ma nad czym się rozwodzić. I tak odwagi, jeśli idzie o obronę owego fantastycznego planu, trzeba przyznać, panu nie brakuje...

GROŹNY: Fantastycznego? Ach, prawda, dla pana *(wyciąga z kieszeni arkusz technicznego papieru. Jest to stary plan kopalni)* Proszę spojrzeć, nic nowego pod słońcem, powtarzam, nic nowego... Widzicie na tym planie: przed trzydziestym rokiem rejon eksploatacji kopalni był znacznie większy, widzicie ten pokład? Dzisiaj go w eksploatacji nie mamy. A dlaczego? Proszę spojrzeć na ten powietrzny szyb.

JANOWSKI: *(pogardliwie)* Ależ bzdura, on jest nie do użytku... Dawno nieczynny...

GROŹNY: Ale dlaczego, powiedzcie mi dlaczego? Byłem na dole: ten szyb można uruchomić i to prędko. Przedwojenna francusko-niemiecka spółka celowo wycofała z eksploatacji ten wspaniały pokład... Dlaczego? Proste. Kryzys... Wielka gra o wysoką cenę... Ale teraz? Nie ma przecież żadnych przeszkód w pełnym wykorzystaniu wszystkich możliwości produkcyjnych kopalni!

JANOWSKI: *(uważnie przygląda się przez cały czas planowi kopalni, potem z przekąsem)* Mówicie, kolego, jak agitator partyjny.

GROZNY: Dajcie pokój docinkom, kolego, mówię prawdę... Byłem na początku tego pokładu, piękny węgiel, mówię wam, jak masło. Tylko uruchomić ten szyb, oczyścić pokład. Rozumiecie?

JANOWSKI: Rozumiem. A chodniki, w jakim stanie?

GROŹNY: Nie badałem... Ale przecież, u licha, cóż się mogło stać? Nawet jeśli strop w jednym czy w drugim miejscu oberwany... to w gruncie rzeczy — drobnostka. Zobaczcie zresztą, co tam za węgiel...

JANOWSKI: *(cały czas pochylony nad planem)* Tak, niewątpliwie... To bardzo, bardzo interesujące... No, w każdym razie pogratulować odkrycia... i gorliwości...

GROŹNY: Ech, przesada, przesada. Dziwni z was ludzie. Raz mnie za to samo ganicie, a raz znowu chwalicie... A ja przecież mam tylko *(filuternie nieco)* uczciwy, pełen szacunku stosunek do tradycji.

JANOWSKI: *(dzwoni telefon, Janowski wychodzi. Po chwili wraca).* Natychmiast gnajcie do Cherubina. Wzywa was do siebie.

GROŹNY: A o co chodzi, nie mówił?

JANOWSKI: Nie dosłyszałem.

GROŹNY: Idę *(wychodzi pośpiesznie).*

JANOWSKI: *(ogląda plan kopalni zostawiony przez Groźnego, składa plan we czworo, wkłada do kieszeni na piersi. Wychodzi za nim).*

Światło ciemnieje. Z cienia przy windzie wychodzi górnik. Twarz ukryta w mroku. W ręku pełga żółtawe, kołyszące się miarowo światło latarki.

GÓRNIK: Poszli?

DOZORCA: Kto?

GÓRNIK: Inżyniery?

DOZORCA: Po co pytasz? Widziałeś przecież *(patrzy w stronę szybu).* Coś winda długo nie wraca... *(podchodzi bliżej, uderza w szynę w umówiony sposób).*

GÓRNIK: *(zagląda mu przez ramię)* Znowu pewnie wózków nie ma. Ech, chlew tu u nas, nie kopalnia.

DOZORCA: Co mówisz?

GÓRNIK: Ech tam, plotę, co mi ślina przyniesie na język *(niespodziewanie poczyna brzęczeć dzwonek alarmowy)* Co to?

DOZORCA: *(patrzy chwilę w górę, potem w dół. Mówi ciężkim głosem, gdzieś zdawałoby się spod serca)* Ano, nie widzisz? Lina zerwana, wyciąg diabli wzięli. Ktoś obcy pomyślałby: grzyb spróchniały a nie kopalnia... Ech... *(macha ręką. Dzwon na alarm, migoce czerwone światło. Powoli zbiera się tłum pracujących. Przez nich przeciska się Gruszka)*

GRUSZKA: Gdzie Kotera? Dawajcie go zaraz tutaj.

DOZORCA: *(powoli z godnością)* Dyrektor Kotera? A tam, gdzie być powinien. Dobry był z niego rębacz i takim pozostał...

GRUSZKA: Co ty mi wygadujesz, dziadku? Mówcie prędzej, gdzie Kotera?

DOZORCA: *(nieco urażony)* A gdzieżby to mógł być? Wiadomo, pod ziemią, na ścianie. Węgiel rąbie. Sami wiecie, rębacz z niego nienajgorszy *(słychać alarmowy ryk syreny kopalnianej. Wszyscy na chwilę milkną i łowią uchem jej basowy ton)*

DOZORCA: Ale wyje!

GRUSZKA: *(ciężko)* Aby ludziom do rozumu i serca przemówić. Słyszycie? Jak ranny człowiek...

DOZORCA: Prawdę mówicie, Gruszka... To tak jakby człowiek w wielkim bólu krzyczał...

GRUSZKA: Powiedzcie to Koterze.

Koniec aktu I **Jerzy Piórkowski**

(Dalszy ciąg nastąpi)

WADIM SZEFNER *Przełożył* ZBIGNIEW BIEŃKOWSKI

Nad pustynią

Wichurze naprzeciw
Już cztery godziny,
Jak leci samolot
Nad krajem pustyni.

A niżej —
Ni rzeki, ni trawy, ni sioła,
A niżej —
Pustynia bezludna i goła.
Jak wzrokiem tu sięgnąć
Pustynia w oddali,
Jakby diabeł ziemię
Żelazkiem wypalił.

Ja mogę wam przysiąc
— Przez warkot silnika
Czyjś głos mnie dochodzi —
Że tu za lat tysiąc
Wyrosną ogrody.
I ludzie tu przyjdą
I woda za nimi
Szerokim kanałem
Przyjdzie do pustyni.
Gdy ludzie tu przyjdą
To na każdej wydmie
Bawełna obrodzi,
Pustynia zakwitnie...
Nad nowym jeziorem
Stanie strona świata...
Żal mi, bo już wtedy
Nie będę tu latał.
Zamilkł. Nie na długo.
Rzekł jeszcze ze smutkiem:
Zazdroszczę prawnukom.

Aleś pesymista,
Rzekł mu na to drugi,
Tak dalekich planów
Ty, bracie, nie buduj.
Wierz mi, przyjacielu,
I sto lat nie minie,

Jak ekskawatory
Ruszą w tej krainie.
A gdzie trzeba będzie
Tam maszyna stanie,
Aby zaoszczędzić
Pracy ludzkich ramion.
Wysiłek to sprawi,
Aby młody kanał
Staruchę pustynię
Na zawsze pokonał.
Wyrosną tu miasta,
Drzewa będą w kwiatach...
Żal mi, bo już wtedy
Nie będę tu latał.
Zazdroszczę synkowi,
Bo jak będzie duży,
On pracą swą tutaj
Na order zasłuży.

A słysząc to trzeci,
Dłoń do ust przykłada
I przez huk motoru
Krzyczy do sąsiada:
— Sto lat! Te marzenia
Dzisiaj są za nami!
Ja wiozę ze sobą
Wykresy i plany,
I trasę kanału,
I szkice robocze,
— Z uśmiechem zakończył:
— I budżet wydatków
Już na rok bieżący.

A więc, towarzysze,
Spojrzał z iskrą w oku,
Pracę zaczynamy
Już w bieżącym roku.

Przełożył **Zbigniew Bieńkowski**

WIKTOR WOROSZYLSKI

W walce o literaturę Polski Ludowej

Referat ten będzie relacją o przebiegu głównych nurtów literatury Polski Ludowej, będzie próbą charakterystyki poszczególnych etapów rozwoju tej literatury.

Etapy takie dostrzegamy trzy: pierwszy — od wyzwolenia kraju do wyborów w styczniu r. 1947 — to etap rewolucyjnego ożywienia, wyraźnie dostrzegalnej walki klasowej, ofensywy ideologicznej marksizmu, skupiania zdrowych sił literatury wokół obozu demokracji ludowej; drugi okres, lata 1947 i 1948, w związku z uleganiem gomółkowskiej teorii o zamieraniu walki klasowej, przynosi na niektórych, dotąd przodujących odcinkach zahamowanie, a nawet niekiedy cofnięcie rewolucyjnego rozwoju literatury polskiej, na innych wszakże odcinkach trwa dalsza zdecydowana walka o upolitycznienie, o upartyjnienie literatury. Ten okres zamykają, stwarzając jednocześnie dalsze, rozleglejsze perspektywy, takie wydarzenia jak Plenum Sierpniowe KC PPR, Kongres Zjednoczeniowy Partii Robotniczych, wreszcie szczeciński zjazd literatów w styczniu 1949 r.; trzeci okres — to okres walki o realizm socjalistyczny w literaturze polskiej. Szczególnie duże rezultaty przyniósł w tej walce, jak się zdaje, rok 1950. Wszystkie te okresy cechuje zacięta i trudna walka — w walce rodziło się każde nowe osiągnięcie naszej literatury, walką okupiony był każdy krok naprzód w kierunku realizmu socjalistycznego. Tylko analizując walkę przebytych etapów, możemy określić miejsce, do którego doszliśmy i wytyczyć drogi dalszej walki.

I

Wyzwolenie Polski od okupanta hitlerowskiego w latach 1944 — 1945 było czymś więcej niż tylko odzyskaniem niepodległości narodowej przez podbity kraj. Wyzwoleniu temu towarzyszyła rewolucja społeczna: na miejscu starego, burżuazyjno - obszarniczego aparatu państwowego powstawał i brał władzę nowy aparat państwa dyktatury proletariatu, który natychmiast realizował podstawowe reformy demokratyczne jak reformę rolną i upaństwowienie przemysłu. Główną siłą rewolucji była wywodząca się z najlepszych tradycji KPP i zahartowana w walce z hitlerowcami Polska Partia Robotnicza, połączona sojuszem z innymi partiami demokratycznymi. Okres ten wymagał niezwykłego wytężenia sił młodej władzy ludowej: obie podstawowe reformy, odbudowa zniszczonego kraju, zaludnienie odzyskanych ziem zachodnich, stworzenie ludowego wojska, milicji, służby bezpieczeństwa, rozwiązanie ciężkiej sytuacji żywnościowej, odbudowa szkolnictwa — wszystkie te zagadnienia należało rozwiązywać jednocześnie. W dodatku rewolucja nasza, nazwana „łagodną", zmagała się z kontrrewolucją, daleką od łagodności. Terror band reakcyjnych, podsycany przez agenturę imperialistyczną, zabrał w ciągu dwóch lat ponad 20.000 ludzi rewolucji. Legalnym przedłużeniem podziemia było mikołajczykowskie Polskie Stronnictwo Ludowe oraz mniejsze grupy jak „katolicka" grupa T y g o d n i k a W a r s z a w s k i e g o. W łonie PPS uprawiała wrogą działalność frakcja WRN-owska.

Ta sytuacja w kraju — wielkie i pilne zadania, ostra walka klasowa, wyraźnie określony i nie przebierający w środkach wróg — rewolucjonizowała również środowisko literackie.

Pierwszym ośrodkiem ideowo-organizacyjnym, wokół którego skupiać się zaczęli pisarze polscy, był tygodnik Odrodzenie, wychodzący początkowo w Lublinie, a następnie w Krakowie. W miarę wyzwalania kraju pisarze, początkowo nieliczni, zaczęli wracać z obozów, z podziemia, z oddziałów partyzanckich i wojskowych, z emigracji wschodniej i zachodniej. Obok Krakowa, poważne środowisko literackie zaczęło się kształtować w Łodzi. Oddziały reaktywowanego Związku Zawodowego Literatów Polskich powstają w Warszawie, Poznaniu, na Śląsku.

W czerwcu r. 1945 ukazał się w Łodzi pierwszy numer Kuźnicy. Deklaracja zespołu Kuźnicy głosiła między innymi: „...W poczynaniach i programie Rządu Tymczasowego widzimy konsekwentną linię budownictwa polskiej sprawiedliwości społecznej... Nie mamy zamiaru ani ogarniać wszystkich bez różnicy poglądów, ani ogłosić na naszych łamach amnestii wszelkiemu niezdecydowaniu, ukrytemu czy jawnemu wstecznictwu... Witamy nieunikniony proces wydźwignięcia się nowej inteligencji chłopskiej i robotniczej...“ Obok w artykule: O tak zwanej nieaktualności marksizmu stwierdził Stefan Żółkiewski: „Najbardziej przełomowe osiągnięcia rzetelnej wiedzy o świecie, zwłaszcza o człowieku, mogą znaleźć swoje filozoficzne uzasadnienie tylko w materializmie dialektycznym. Marksizm pozwoli dojrzeć sens społeczny wojny, pozwoli zrozumieć, że miejsce inteligencji jest po stronie postępu, że obowiązkiem jej jest... czynny udział w walce...“ Wreszcie w tym samym numerze Mieczysław Jastrun ogłosił programowy artykuł pt. Pozarzeczywistością historyczną, w którym zapowiadał, iż w poezji „nowy realizm zwycięży z nieodpartą historyczną koniecznością pozostałe jeszcze z okresu przedwojennego i okupacji przeżytki, zarówno poezji formalistycznej jak i barokowo-mistycznej, prowincjonalnej odmiany surrealizmu“ oraz, że literatura nawiąże „do starganej przez indywidualistyczny symbolizm i beztwarzowy formalizm więzi, łączącej z człowiekiem, którego byt określa historia.“

Kuźnica stała się bojowym, ofensywnym pismem polskiej lewicy kulturalnej. Walka o reformę szkolną, walka o wykluczenie ze społeczeństwa pisarskiego kolaboracjonistów, walka ze swoistą odmianą i karykaturą proletkultyzmu — „mitologami wsi“ (określenie Ważyka) — na tych wszystkich odcinkach pisarze Kuźnicy wykazywali ogromną ruchliwość i bojowość. Z łamów Kuźnicy Stanisław Ehrlich atakował Okopy Świętej Trójcy, na wyższych uczelniach polskich Żółkiewski przeprowadzał Obrachunki nauczycielskie, Adam Schaff zwalczał Tabu obiektywnej nauki. Również piórem Adama Schaffa obóz myśli marksistowskiej polemizował z usiłującym na łamach Tygodnika Powszechnego o dyskredytować materializm dialektyczny księdzem Piwowarczykiem oraz z rewidującymi marksizm ideologami prawicy ZNMS. Tej ideologicznej batalii marksizmu towarzyszyło nieustanne popularyzowanie zasad marksizmu. Trzeba nadmienić, że bywał to czasem, szczególnie w artykułach Żółkiewskiego, marksizm „skażony“, że do marksistowskiej beczki mio-

du zdarzało się „Kuźniczanom“ dolewać łyżkę dziegciu filozofii neopozytywistów. W tym okresie jednak owa łyżka dziegciu nie odbierała jeszcze miodowi smaku. Charakterystyczne i ważne były nie błędy, ale sam fakt popularyzowania marksizmu, odważnego mierzenia się z najgroźniejszymi odmianami idealizmu, ofensywnego ducha w tej walce ideowej.

Okres ten cechuje jeszcze zajęcie się przez wielu wybitnych literatów jak Kazimierz Brandys, Mieczysław Jastrun, Jan Kott, Paweł Hertz, publicystyką nie tylko kulturalną, ale bezpośrednio polityczną, a nawet gospodarczą. Aktualne artykuły i reportaże wymienionych autorów, które ukazywały się na łamach Kuźnicy, Odrodzenia, Przekroju — odegrały dużą rolę uświadamiającą i propagandową. Wymieńmy przykładowo artykuł Jastruna Potęga ciemnoty (o antysemityzmie), opublikowany w Odrodzeniu, oraz zamieszczony w Kuźnicy świetny reportaż Jana Kotta pt. Węgiel. Kuźnica, a po części również Odrodzenie, wzięły czynny udział w walce z mikołajczykowskim PSL-em i katolicką reakcją. Szczególne nasilenie aktywności Kuźnicy w tym kierunku przypadło na okres letniego referendum 1946 roku i miesiące poprzedzające wybory do Sejmu Ustawodawczego w styczniu r. 1947.

Tak więc najbardziej dynamicznym gatunkiem literackim była w omawianych latach różnorodna publicystyka o tematyce niekoniecznie literackiej. Publicystyka ta, jej łączność z życiem, z polityką, udział w wielkich bataliach — stanowiły o atmosferze owych lat, wpływały na rozwój innych, z natury rzeczy mniej operatywnych rodzajów literackich.

Z utworów prozaicznych, opublikowanych w pierwszych latach po wojnie, należy wymienić szkice Zofii Nałkowskiej Medaliony i powieść Węzły życia, opowiadania Tadeusza Borowskiego, zebrane później w tomie Pożegnanie z Marią, tom Noc Jerzego Andrzejewskiego, Opowiadania Adolfa Rudnickiego, Miasto niepokonane Brandysa, powieść Mury Jerycha Brezy, wreszcie Kratę Gojawiczyńskiej i Dymy nad Birkenau Szmaglewskiej. Tematyką tych książek nie była jeszcze — w przeciwieństwie do publicystyki owego okresu — dziejąca się aktualnie rzeczywistość. Były to książki, które da się z grubsza określić jako antyfaszystowskie i antysanacyjne. Funkcją ich było potępienie faszyzmu hitlerowskiego i rodzimej sanacji, mobilizowanie nienawiści czytającego społeczeństwa do faszyzmu i sanacji. Rzecz jasna, w istniejącej sytuacji ta funkcja negatywna miała swoje pozytywne konsekwencje — chociaż bowiem wymienieni autorzy nie umieli na ogół pokazać sił, przeciwstawiających się potępionemu faszyzmowi, walczących z nim i budujących nowe wartości, sama artystyczna relacja o zbrodniach hitlerowskich pobudzała czytelników Profesora Spannera czy Dnia na Harmenzach do szukania konstruktywnych rozwiązań. Wreszcie, bezpośrednio po wyjściu z ciemnej nocy okupacji, antyfaszyzm i antysanacyjność były niewątpliwie tą płaszczyzną, na której mogło się dokonać i dokonało zjednoczenie klasy robotniczej z chłopskimi i drobnomieszczańskimi sojusznikami; antyfaszyzm i antysanacyjność mogły zyskać i zyskały dla obozu postępu najlepszą część inteligencji. Dlatego przesadna wydaje

się samokrytyka np. Tadeusza Borowskiego, który w roku 1950 zarzuca sobie, że o cztery lata wcześniej, pisząc opowiadania obozowe, nie zgłębił w nich całego mechanizmu faszyzmu i nie pokazał sił oporu. W latach 1945 i 1946 postępowe i aktualne było pokazanie nawet samego nieskomentowanego obrazu zbrodni faszyzmu — to zaś mieliśmy w ówczesnych utworach Borowskiego, Nałkowskiej, Gojawiczyńskiej, Adofa Rudnickiego, Szmaglewskiej, Andrzejewskiego i innych. Wyraźnie reakcyjna była natomiast książka Kossak-Szczuckiej Z otchłani, w której autorka kazała działać na terenie Oświęcimia nadprzyrodzonym siłom, cierpienia więźniów interpretowała jako karę za grzechy, wreszcie dawała skondensowany wykład najbardziej średniowiecznego szowinizmu.

Utwory antysanacyjne jak Mury Jerycha Brezy i Węzły życia Nałkowskiej odegrały mniej istotną rolę od utworów antyhitlerowskich. Pokazanie salonowych siucht sanacji nie przemawia tak bezpośrednio jak okropności obozów koncentracyjnych, wywodząca się zaś z Prousta maniera pisarska tych książek — brak akcji, wielostronicowe, czcze rozmowy, atomizowanie psychiki występujących postaci — nudzi i nuży czytelnika. W rezultacie, wbrew zamierzeniom wybitnych pisarzy, wymienione powieści nie tylko nie dały żadnej wiedzy o mechanizmie sanacji, ale nie pokazały nawet jej skutków, nie przekazały zawartego w zamierzeniu autorskim potępienia sanacji. Mury Jerycha Brezy i Węzły życia Nałkowskiej — wbrew niezwykle pochlebnym ocenom krytyki — nie były pozycjami tak ważkimi dla rozwoju nowej literatury jak ukazujące się w tym samym czasie książki antyfaszystowskie.

Wracając do ostatnich, warto nadmienić, że np. Tadeusz Borowski w opowiadaniu Bitwa pod Grunwaldem pokazał już nie tylko faszyzm niemiecki, ale objawy rodzącego się faszyzmu amerykańskiego, opowiadania zaś Jerzego Andrzejewskiego z tomu Noc i powieść Krata Gojawiczyńskiej wychodziły miejscami poza martyrologię, pokazując obok upodlenia, także godność ludzką i pewien choć bierny — opór.

Ewolucja Jerzego Andrzejewskiego należy do najciekawszych może w naszej literaturze. Przed wojną — katolik, z pewnymi sympatiami nawet do grupy Prosto z mostu, dał w wojennym tomie Noc, a szczególnie w opowiadaniu Wielki tydzień przejmujący obraz zbrodniczości faszyzmu, w którym wykroczył poza katolickie możliwości widzenia świata. Jesienią r. 1945 ukazał się w Odrodzeniu artykuł Andrzejewskiego pt. Propozycje teraźniejszości, w którym autor — usiłując nie rezygnować jeszcze całkowicie z katolicyzmu — stwierdzał, że „moralność społecznych pojęć materializmu wyrywa człowieka z chaosu i przywraca porządkowi". Marksiści, witając z uznaniem głos Andrzejewskiego, zwrócili jednak uwagę, że stanowisko jego jest połowiczne. „Marksizm i katolicyzm — to nie są dwa obrazy świata uzupełniające się... — pisał Żółkiewski (Głos marksisty — Odrodzenie nr 51/1945). — Kto wybrał marksizm, katolicyzm musi odrzucić". Bezkompromisowość ta była zdrowa i słuszna, nie zaś odstraszająca chwiejnych, jak obawiali się niektórzy. Już niedługo ewolucja Anrzejewskiego poszła dalej. Ale o tym — przy omawianiu następnych okresów.

Trudna i uporczywa była walka o nową poezję. W pierwszych latach po-

wojennych bardzo żywotne były szkoły poetyckie, spokrewnione z różnymi odmianami idealistycznej, mistycznej i antyhumanistycznej filozofii. „Wieszcz“ poezji „katolickiej“ Wojciech Bąk, za kryterium w ocenie poezji uważał jakąś niesprawdzalną „inność własnej osobowości“ i publikował w poznańskim Życiu Literackim takie oto utwory:

Niewczorajszością — śpiew wczorajszy,
Niedzisiejszością — śpiew dzisiejszy,
Niejutrzejszością — śpiew jutrzejszy
Unosi się jak lot muzyczny,
Lot białoskrzydło-gołębiowy.

Trudniejsza do zdemaskowania była poezja kontynuatorów tzw. krakowskiej „awangardy“ z Julianem Przybosiem na czele — poezja, która w imię prostoty i ścisłych rygorów uprawiała zawiłość i bełkot dowolnych skojarzeń. Grupa krakowska, szczerze opowiadając się za obozem postępu, nie umiała przestawić swojej twórczości na służbę postępowi. Na szczególne dziwolągi pozwalał sobie zresztą nie sam „ojciec“ szkoły, ale jego uczniowie. Utalentowany poeta, Jerzy Lau, komunikował np.:

Dzień
na wędkę wystrzału
złowił tęczę.
Nam niebo rozwijać
na drzewcach wszystkich rąk... itd.
(Baśń leśna — Odrodzenie nr 15/1945)

Grupa młodych poetów warszawskich, z Romanem Bratnym na czele, opierając się na wątpliwych osiągnięciach poetów AK-owskiej konspiracji, jak Gajcy, opowiadała się za jakimś nowym ekspresjonizmem, który miał rzekomo najprawdziwiej odzwierciedlać dynamizm rzeczywistości. Zwierciadło ekspresjonizmu przypominało jednak owe lustra w „wesołych miasteczkach“, wykoszlawiające postacie, wykręcające im członki, wyolbrzymiające lub skarlające tych, którzy się w lustrach przeglądają. W programowym wierszu Bratnego Dramat w końskiej źrenicy — „dom jest mniejszy niż piórko na wróblim ogonie“, a poległy żołnierz ma „pięść większą niż dom“. Z tych zniekształceń i zmian proporcji miała wynikać jakaś trudna do uchwycenia symbolika.

Oczywiście wszelka niesłuszna praktyka poetycka miała też swoich broniących jej teoretyków, którzy mętniackimi artykułami i recenzjami wprowadzali większy zamęt aniżeli sami poeci.

Poeci — marksiści odpowiadali zarówno praktyką własnej twórczości jak artykułami. Zacytujmy najpierw pewne artykuły, które i dziś nie straciły na aktualności.

Pisał więc Mieczysław Jastrun w artykuliku O pięknoduchach (Odrodzenie nr 37/1945):

„...Przesąd o istnieniu jakiejś „poezji czystej“ rozpowszechniony jest po dziś dzień wśród estetów... Powinniśmy zrozumieć, że to, co w pewnym okresie rozwoju treści i form literackich jest zdobyczą, jest postępem, w następnym — może być wstecznictwem. Po Słowackim — Norwid ze swoim „sprozaicznionym“ językiem jest krokiem naprzód. Mickiewicz razi wytwornych pseudoklasyków „wulgarnością“ swej mowy... „Poziom“ w literaturze jest rzeczą dość względną; dekoracją, pozą niejednokrotnie długo można maskować pustkę wewnętrzną. Ucieczka w rejony oderwanego piękna niekiedy zbiega się z reakcyjnością pisarza, w naszych czasach — na pewno... Czas, aby poeci zrozumieli, że jedyne dzisiaj wyjście dla nich jest w realizmie hu-

manistycznym, że innej drogi nie ma, że każda inna byłaby ścieżką reakcji społecznej i wstecznictwa poetyckiego".

Podobne sądy wypowiedział Adam Ważyk w Sporze o poezję (Kuźnica nr 35/1946).

„Po każdym żywym kroku poezji, krytycy, których wrażliwość zaskorupiła się w przebytym okresie, stale wołali: „To nie poezja, to proza"... Kierunek i sposób włączania do poezji elementów „prozaicznych" zmienia się z biegiem czasu. Obecnie zachowawczy esteta przełknie bodaj wszelką wulgaryzację języka, bo przyzwyczaił go do tego jeszcze Baudelaire, ale niech tylko wejdą do poezji słowa z języka politycznego, niech zjawi się myśl społeczna, zaraz usłyszymy, że to obniżanie poezji. W tym sęk..."

Walorami poezji i Ważyka, i Jastruna w owym okresie były:

Niewątpliwy humanizm wszystkich utworów.

Aktualne treści polityczne wielu z nich.

Jasna i czysta budowa wiersza.

Wiersz Ważyka Kronika, zamieszczony w Kuźnicy w maju r. 1946, zaczynał się:

Żołnierz, że bił się, jest zabity w lesie,
chłop, że brał ziemię, jest zabity
[w domu,
Żyd, że ocalał, jest zabity w drodze...

W wierszu nie ma dwuznaczności, ani ekstrawaganckich chwytów „poetyckich", jest natomiast szczere, ludzkie uczucie, jest żal i gniew, skierowany pod wyraźnym adresem politycznym, jest równie wyraźnie zaadresowane współczucie i solidarność. Język Ważyka — rzeczywiście graniczący z prozą — bardziej wzrusza w tym wierszu niż obliczone na poetyczność dziwaczenie poetów, bojących się takiej „prozy" jak ognia.

Dalej jeszcze bodaj od Jastruna i Ważyka poszedł w swej twórczości poetyckiej Jerzy Putrament, który w tomiku Wojna i wiosna (Lublin 1944), od ogólnych sformułowań poetycko-politycznych przeszedł do obrazów konkretnych sytuacji, zdarzeń, ludzi. Putramentowi, w najlepszych spośród tych wierszy (Zamieć, Sny, Pieśni, Toast, Karabin) udało się najbardziej upotocznić język, nadać wierszom intonację rozmowy i przemówienia, dźwięczność i siłę, predestynujące je do czytania z estrady. Na tej samej linii poetyckiej znalazła się duża ilość wierszy Leona Pasternaka.

Wiersze Ważyka, Jastruna, Putramenta, Pasternaka, trzeba uznać za główny nurt postępowej poezji polskiej w pierwszych latach powojennych. Pozostałe nurty, szkoły i szkółki, nieraz produkujące i publikujące duże ilości wierszy (jak przybosioidzi) nie zyskały sobie czytelników, pod koniec zaś omawianego okresu zaczęły tracić adeptów, rozbijać się i wysychać.

Mówiąc o osiągnięciach literatury polskiej w latach 1945 — 1946, niesposób nie wspomnieć o tłumaczeniach z rosyjskiego. Acz nieliczne jeszcze, odegrały one poważną rolę. Tak np. poemat Dobrze Majakowskiego, w dobrym przekładzie Artura Sandauera, stał się szybko ulubionym utworem szczególnie młodzieży ZWM-owskiej, wpłynął też dodatnio na twórczość tych młodych poetów, którzy nie mogli Majakowskiego poznać w oryginale.

W życiu literackim tego okresu wielką rolę odegrały zjazdy. Pierwszy zjazd literatów polskich odbył się w Krakowie jesienią r. 1945, drugi — po roku — w Łodzi. W dyskusjach zjazdowych ustalano wspólną platformę pisarzy polskich, zjednoczonych w Związku, platformę antyfaszyzmu i lojalności wo-

bec państwa demokracji ludowej. Usunięto poza obręb społeczności literackiej tych, którzy się splamili współpracą z okupantem hitlerowskim, wyciągnięto natomiast przyjazną dłoń do pisarzy — antyfaszystów o różnych poglądach, pozostających jeszcze na emigracji — dosłownej lub wewnętrznej. Związek Literatów stał się w ten sposób organizacją o szerokim wachlarzu ideologicznym, co zresztą znalazło wyraz w niejednej gwałtownej dyskusji, ale nie organizacją obojętną ideologicznie i politycznie. Do tego zrzeszenia pisarzy Partia przyszła z pewnymi postulatami — oczywiście nie tak daleko idącymi jak postulaty realizowane przez pisarzy Kuźnicy. W rezolucji pierwszego zjazdu czytamy: „Jesteśmy przekonani, że pogłębienie stosunku naszego do zagadnień społecznych i kulturalnych pozwoli nam na rozszerzenie zasięgu naszego dzieła. Wierzymy, że tą drogą literatura przeniknie do mas, nie tylko nie obniżona w swoim poziomie, lecz realizująca swoje najwyższe możliwości. W szczególności kładziemy nacisk na odbudowę moralnych podstaw społeczeństwa i uważamy wysoki poziom etyczny twórczości literackiej za najbardziej akcentowany przez nas postulat". Na drugim zjeździe podkreślił w swoim referacie Stefan Żółkiewski, że „moralność pisarza wymaga dziś jasnej deklaracji politycznej — nie tylko w życiu, ale i w literaturze. Jasnego opowiedzenia się za lub przeciw postępowi w Polsce, za czy przeciw Obozowi Wielkiej Reformy. I to przez głoszenie prostych, a zbyt często w mieszczańskiej sztuce pomijanych prawd, jak żyć, jak myśleć, jak oceniać, by usunąć przemoc klasową". Jednocześnie, polemizując ze zdaniem świętego Augustyna: „Nie chodź na rynek, wejdź w siebie, we wnętrzu człowieka mieszka prawda" — Żółkiewski stwierdził, że „najprostszym obowiązkiem pisarza jest właśnie iść na rynek" — bo prawda, bo poznanie człowieka jest w dziejącej się rzeczywistości. Był to pierwszy postulat realizmu.

II

Okres drugi — lata 1947 i 1948 — nazwaliśmy już na wstępie okresem pewnego cofnięcia się w rozwoju ideowo-artystycznym naszej literatury. Pozostaje to w ścisłym związku z ówczesną sytuacją na innych odcinkach naszego życia, z sytuacją w Partii, z odchyleniem prawicowo-nacjonalistycznym w Partii.

Towarzysz Berman w referacie: O dorobku ideologicznym PPR i zadaniach Partii w przededniu zjednoczenia, wygłoszonym na Plenum Lipcowym KC PPR, tak scharakteryzował niektóre źródła błędów poszczególnych ogniw partyjnych:

„Od czasu, kiedy udało nam się złamać mikołajczykowskie PSL... nasz wróg klasowy stracił jakby swe polityczne wcielenie, stał się mniej uchwytny, mniej namacalny. Nie mogło to pozostać bez wpływu na pewne zatarcie perspektyw walki klasowej w organizacjach partyjnych i zmniejszenie poczucia ostrości tej walki".

Stwierdziwszy dalej, że „póki jesteśmy społeczeństwem złożonym z kilku antagonistycznych klas, tylko na drodze walki z wrogimi klasowo siłami zbliżać się będziemy do socjalizmu" — towarzysz Berman podkreślał:

„Jest to tym bardziej istotne, że na skutek niedostatecznego zahartowania naszej młodej i szybko wyrosłej Partii, poszczególne jej ogniwa znajdują się pod naciskiem przeważających przecież w kraju elementów drobnomieszczańskich, które w obecnych warunkach wolałyby utrzymać bez zmian ist-

niejący układ sił klasowych. Wyrazem tego właśnie naporu obcych sił klasowych są teorie o „wygasaniu walki klasowej" i „pokojowym wrastaniu w socjalizm". Jest faktem niewątpliwym, że tego rodzaju teoryjki krążą w naszej Partii, że znajdują odpowiednią glebę wśród zacofanych członków naszej Partii".

Na następnym Sierpniowym Plenum KC rozwiniętą krytykę odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego w Kierownictwie Partii dał towarzysz Bierut. Oto niektóre zdania z referatu towarzysza Bieruta, bezpośrednio dotyczące zagadnień, które omawiamy:

„...błędy i niedociągnięcia, które miały miejsce w Kierownictwie naszej Partii w tym okresie... wynikały... z niedoceniania sił klasy robotniczej i przeceniania sił reakcji. Z niedocenianiem sił klasy robotniczej i przecenianiem sił reakcji wiąże się również postawa przystosowania się do mentalności i przesądów drobnomieszczaństwa, zamiast aktywnego ich przekształcania i zwalczania. Z postawy tej wynika przede wszystkim ogromne zacofanie Partii na froncie kulturalnym, wśród inteligencji".

Słabość propagandy marksizmu-leninizmu w Partii szła w parze z tolerowaniem zamętu ideologicznego wśród inteligencji partyjnej, z zaniedbaniem marksistowskiego oświetlenia zagadnień literatury, sztuki i nauki, co odbiło się m. in. w postawie Kuźnicy.

Tak wyglądają niektóre, szczególnie nas interesujące elementy partyjnej oceny odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Przyjrzyjmy się teraz życiu literackiemu owego okresu.

Jeżeli w pierwszych latach po wyzwoleniu, w okresie walki z mikołajczykowskim PSL-em dla pism literackich jak Odrodzenie i przede wszystkim Kuźnica charakterystyczna była bojowość, rozmach, nasycenie ogólnopolityczną i gospodarczą publicystyką, to w okresie lat 1947 — 1948 cechy te stopniowo zupełnie zanikają. Następuje demobilizacja tych ośrodków ideologicznych, tworzy się atmosfera uspokojenia, stępienia czujności w walce z wrogiem, widoczne jest jakieś z gruntu niesłuszne poczucie stabilizacji społecznej. Ofensywa marksizmu na łamach tych pism zostaje zahamowana. W Odrodzeniu dochodzi do jawnej rewizji marksizmu. Tak np. w numerze 14/15 z roku 1947 ukazuje się trockistowski artykuł pt. Marksizm bez przyłbicy, zarzucający marksistom między innymi „buszmeńską moralność". Z tym wrogim wypadem rozprawił się po kilku tygodniach prof. Schaff — autor jego jednak nadal korzystał z gościnności Odrodzenia, tyle że umiejętniej się maskował. W istniejącej atmosferze niedostrzegania ostrości walki klasowej taką tolerancyjność redakcji uważało się za coś zupełnie naturalnego.

Obok tej pobłażliwości organizatorów kultury w dziedzinie sformułowań ideologicznych, łatwo dostrzec penetrację do twórczości literackiej różnych odmian ideologii burżuazyjnej. Trzeba powiedzieć, że na nacjonalizm w niezamaskowanej formie lewicowe środowiska literackie były stosunkowo odporne. Po przykłady jawnego nacjonalizmu można raczej sięgnąć do książek pisarzy tzw. katolickich. Jan Dobraczyński np. ogłosił ogromne powieścidło Najeźdźcy, przesycone najbardziej ponurym szowinizmem, gorzej — rasizmem. Sens tego dzieła został jednak dość szybko zdemaskowany przez obóz postępu m. in. piórem Barbary Rafałowskiej w Kuźnicy.

Z odchyleniem nacjonalistyczno-prawicowym pozostawało natomiast w niewątpliwym związku niedocenianie wyż-

szości kultury radzieckiej, nienawiązywanie do jej osiągnięć, przedkładanie nad drogę literatury radzieckiej jakiejś wyimaginowanej „własnej drogi". Zanim przytoczymy przykłady owego niedoceniania przodującej roli ZSRR, trzeba powiedzieć kilka słów o tak zwanym „lukacsyzmie" — sprawy te zazębiają się ściśle. Jerzy Lukacs, znany węgierski teoretyk literatury, uważany był u nas w latach 1947—1948, a nawet częściowo w roku 1949 za wyrocznię w dziedzinie estetyki marksistowskiej. W rzeczywistości jednak prace Lukacsa, które bardzo często zamieszczała Kuźnica i ukazujące się od wiosny r. 1947 Nowiny Literackie, acz nie pozbawione wartości cząstkowej, były obciążone w całości ogromnym balastem błędów oportunistycznych. Cóż to za błędy? Sięgnijmy do artykułu członka Politbiura Węgierskiej Partii Pracujących, tow. Józefa Rewai, który ukazał się w czasopiśmie węgierskim Tarszadalmi semle, a w listopadzie ub. r. został przedrukowany przez Twórczość.

Oportunizm Lukacsa w teorii literatury, jak stwierdza Rewai, znalazł wyraz „w orientowaniu się na klasyczny realizm burżuazyjny, który jako wzór przeciwstawiany burżuazyjno-imperialistycznemu dekadentyzmowi i realizmowi socjalistycznemu siłą rzeczy stawał się trzecią drogą w rozwoju literatury". Nie to było tu złe, rzecz jasna, że dekadentyzmowi przeciwstawiano dawny realizm, realizm krytyczny, ale, że „wszystko to wisiało w próżni i nie mogło się stać czynnikiem zapładniającym dla naszej literatury i dla naszego rozwoju politycznego, ponieważ było oderwane od socjalistycznej perspektywy rozwoju".

I dalej:

„...Należało popierać — nawet jeśli się ich krytykowało — starych i młodych pisarzy proletariackich w dążeniu do stworzenia hegemonii literatury proletariackiej; trzeba było ostrzej krytykować błędy i wahania pisarzy demokratycznych, trzeba było prowadzić coraz ostrzejszą walkę z wrogą literaturą burżuazyjną. Trzeba było wreszcie i to nie na ostatku, zająć się literaturą radziecką, popularyzować ją... Właśnie popularyzacja i poważna analiza literatury radzieckiej, zaznajomienie się z nią, mogło dać rozwojowi literatury naszej demokracji perspektywę socjalistyczną..."

Tymczasem teoretyk Lukacs osiągnięcia literatury radzieckiej przeoczył. Ze swojej ograniczonej pozycji dojrzał jedynie te czy inne jej braki, które pośpiesznie przypisał „prawu nierównomiernego rozwoju", po czym przestał ją w ogóle brać w rachubę. „Czyż nie jest rzeczą jasną — zapytuje Rewai — że towarzysz Lukacs nie docenił literatury radzieckiej, nakreślił wypaczony i fałszywy jej obraz, nie dostrzegł w niej tego, co — mimo błędy poszczególnych utworów — jest w niej historycznie nowe, co stawia całą literaturę radziecką ponad wszelką literaturą burżuazyjną, ponad realizmem klasycznym".

Nad innymi błędami Lukacsa nie będziemy się tu zatrzymywali. Te, o których była mowa, miały swoje wyraźne odpowiedniki u nas. W dyskusjach o nowej literaturze powoływano się na rozmaite wzory, przez dłuższy czas uznawano też za obowiązujący lukacsowski wzór — Balzaka. Nigdy jednak lub prawie nigdy przed rokiem 1949 nie zwracano się do osiągnięć literatury radzieckiej. Przejrzyjmy Odrodzenie, Kuźnicę, Nowiny Literackie z owego okresu. Nie znajdziemy tam w postulatach, dotyczących prozy, określenia „realizm socjalistyczny" — znajdziemy natomiast wywodzące się z Lu-

kacsa próby zastąpienia go przez jakiś „demokratyczno-ludowy" rodzaj realizmu krytycznego. W dziedzinie poezji natrafimy na cały system wstydliwych przemilczeń, z których da się odczytać tylko tezę, oczywiście jawnie nie formułowaną, o bezwartościowości radzieckich doświadczeń w tej dziedzinie. Publikacje tekstów radzieckich dawkowano w najlepszym razie w rozmiarach, zakreślonych przez oficjalną przyzwoitość, wybierając przy tym często pozycje najmniej charakterystyczne dla tego nowego, co stworzyła literatura radziecka: w poezji — estetyzującego Borysa Pasternaka i bełkot Chlebnikowa, w prozie — oschłe, leżące poza głównym nurtem socjalistycznego realizmu opowiadanka Szkłowskiego, w krytyce — stare i niesłuszne enuncjacje Tynianowa. Ta postawa niedostrzegania i niedoceniania rzeczywistych osiągnięć literatury radzieckiej, jakościowo odmiennych i bardziej postępowych od najwybitniejszych osiągnięć literatury burżuazyjnej, znalazła wyraz nie tylko w praktyce redakcyjnej, ale np. w układzie antologii Dwa wieki poezji rosyjskiej Jastruna i Pollaka, książki niewątpliwie bardzo cennej w swojej części przedrewolucyjnej, ale fałszującej oblicze poezji porewolucyjnej przez wysuwanie na pierwsze miejsce Pasternaka, Mandelsztama, a zupełne pominięcie takich poetów, jak: Demian Biednyj, Surkow, Isakowski, Marszak i wielu innych. Drastycznym przykładem niewłaściwego stosunku do literatury radzieckiej był fakt przetrzymywania przez kilka lat w mrokach wydawnictw gotowego przekładu wspaniałej powieści Ostrowskiego Jak hartowała się stal. Dopiero w roku 1950 ujrzała ta książka światło dzienne, zyskując zresztą od razu należną sobie popularność.

Z lukacsyzmem czyli usiłowaniami zastąpienia realizmu socjalistycznego przez swoistą odmianę realizmu krytycznego oraz z prawicowo-nacjonalistycznym niedocenianiem lub opacznym pojmowaniem wzorów radzieckich wiąże się penetracja do naszego życia literackiego najszkodliwszej, najperfidniejszej odmiany ideologii burżuazyjnej — kosmopolityzmu. Korzenie się przed rzekomymi osiągnięciami burżuazyjnej literatury Zachodu było jakby dopełnieniem, zaokrągleniem lekceważącego stosunku do literatury radzieckiej. Ci sami autorzy, którzy w swych artykułach nie umieli się zdobyć na jakieś serdeczniejsze zdanie pod adresem literatury radzieckiej, rozpływali się z zachwytu nad francuskimi naturalistami. Zaznaczmy, żeby nie było nieporozumień, że nie postępowymi pisarzami krajów kapitalistycznych tak się zachwycano i pasjonowano — o Faście np. w owych latach było u nas jeszcze głucho. Nie, bałwochwalczo wielbiono właśnie pisarzy reakcyjnych, właśnie ideologów pogardy i upodlenia człowieka.

W prozie byli to przede wszystkim tacy pisarze amerykańscy, jak Caldwell, Faulkner, Steinbeck, Wright oraz egzystencjaliści francuscy, jak Sartre i Camus. Co jest charakterystyczne, zarówno dla jednych, jak i dla drugich? Przede wszystkim przeświadczenie, że świat kapitalistyczny, świat odrażających, cynicznych stosunków między ludźmi, nie podlega zmianom, nie daje się przezwyciężyć. Rzeczywistość jest potworna i bezsensowna, ale musi taka być, musi się przed nią skapitulować. Człowiek „w ogóle", a szczególnie człowiek „z dołów społecznych", częsty bohater tej literatury — to istota ograniczona umysłowo i moralnie, niezdolna do przemian duchowych i rozwoju, do walki o swoje prawa. Często na stronicach opowiadań i powieści tych

autorów zjawia się człowiek-potwór. zupełny psychopata, kretyn, paranoik. Taki jest np. Lennie, osiłek-idiota, z wydanej w roku 1948 przez Spółdzielnię Wydawniczą Wiedza książki Steinbecka Myszy i ludzie. Patologia zastępuje prawa rozwoju społecznego i uzasadnia wszelkie tragedie bohaterów tych książek. Jest to literatura uboga artystycznie i bezwzględnie fałszywa ideowo, przygnębiająca i demobilizująca.

I oto w 21 numerze Kuźnicy z roku 1947 ukazał się felieton Żółkiewskiego pt. Powieść amerykańska — krótka, ale gorąca relacja z odkrycia dokonanego „via Paryż". Z uznaniem wymienia autor „manifesty nonkonformizmu obyczajowego w rodzaju Henry Millera", a później z entuzjazmem pisze o Steinbecku, Faulknerze, Caldwellu: „Powieści, które czytałem i sztuki, które widziałem, mówią o bogactwie i różnorodności, o artystycznej odkrywczości i bezkompromisowości tych pisarzy, o czujności i trafności ich społecznej analizy".

Po paru miesiącach czytelnicy otrzymali cały numer amerykański Kuźnicy.

Prawie jednocześnie, w numerze Odrodzenia z dnia 9 marca 1947 r. Lidia Łopatyńska wystąpiła z obroną Sartre'a jako prozaika kreując go na „wielkiego realistę" (Na marginesie dróg do wolności). W 12 numerze Kuźnicy z roku 1948 *ph.* w Przeglądzie prasy i *rm.* w notach gloryfikują tegoż Sartre'a Ladacznicę z zasadami, wystawioną w łódzkim teatrze. W ciągu tych dwóch lat Kuźnica bardzo chętnie publikowała fragmenty Sartre'a i Camusa, Caldwella i Steinbecka — to prawda, że zaopatrując je czasem w komentarz: „czytać ostrożnie". W związku z częstym tłumaczeniem redakcji, że „warto znać przeciwnika", Jerzy Pański przytoczył w felietonie Filozofia obrzydzenia (Rzeczpospolita kwieceń 1948 r.) anegdotkę o księdzu, który natychmiast po przyjeździe do Paryża pyta szofera: „gdzie tu jest ta wasza rozpusta"... Zresztą Odrodzenie i Nowiny Literackie nawet się nie tłumaczyły, ani nie komentowały zamieszczanych równie gorliwie przykładów burżuazyjnej degeneracji. Klub Literacki Odrodzenia, dając swym prenumeratorom w roku 1948 zwyrodniałą powieść Caldwella Droga tytoniowa, zaopatrzył ją, wraz z drugą, wspólnym tytułem: Druga Ameryka...

Wydaje się, że wśród mas czytelniczych ta kosmopolityczna propaganda nie osiągnęła większego skutku. Ślady wpływów patologicznego naturalizmu amerykańsko-francuskiego łatwo natomiast dostrzec w twórczości niektórych naszych młodych prozaików jak Tadeusz Borowski w Kamiennym Świecie, Czeszko w Początkach edukacji, Bocheński w zbiorze opowiadań Fiołki przynoszą nieszczęście. Różne jest w tych trzech książkach opanowanie rzemiosła pisarskiego, różna wydaje się nawet koncepcja autorska. A przecież dwie zasadnicze cechy, które wymienieni autorzy wspólnie dziedziczą po sartro-steinbeckowskich patronach, zadecydowały o ich klęsce. Pierwsza — to podporządkowanie konstrukcji opowiadań wymyślnym, smakowitym, formalistycznym pointom. Druga — to naturalizm, rozgrzebywanie błocka, lubowanie się najbrudniejszymi, najpodlejszymi stronami tzw. „natury ludzkiej". Borowskiemu, Bocheńskiemu, Czeszce wydawało się, że odsłaniają jakąś prawdę o świecie, więcej — że wypowiadają postępową ideologię. Ale książki ich były martwym płodem.

Jeżeli w prozie usiłowano szukać „bogactwa i różnorodności", „czujności i trafności analizy społecznej" — zamiast u Gorbatowa i Pawlenki, u Sartre'a i Faulknera, to w poezji lekceważeniu osiągnięć radzieckich towarzyszyła systematyczna propaganda francuskich dekadentów. Szczególnie gorliwie uprawiał ją Paweł Hertz. Sam Hertz pisał takie wiersze, jak opublikowane w Kuźnicy z dn. 8.XII 1947 r. Rzeki, zaczynające się:

Tak niewiele mi trzeba. Książek, snu,
podróży,
obojętności świata, który dla Ikara,
kiedy na morze spada, oczu swych
nie nuży,
nie widzi go i słyszeć nawet się
nie stara.

I dalej:

Obojętności jakże nie pragnąć?
W tym świecie,
gdzie wszystko ginie, pęka, kruszy się,
przemija,
gdzie razem nigdy nie bywa się przecie,
gdzie umierając zwolna czas syczy
jak żmija,
lub zrzuca łuski niby wąż...

I zakończenie:

Odległe cesarstwo
spokoju i bezwładu posyła nam w darze
ostatni dzień jesieni przed pierwszym
dniem zimy,
cały później w czerwieni, jak świetne
malarstwo,
gdzie wśród przepychu świata nikną
ludzkie twarze.

Najdziwniejsze może jest, że tę burżuazyjną, antyhumanistyczną praktykę poetycką tolerował Mieczysław Jastrun, którego zdecydowane wypowiedzi z poprzedniego okresu za poezją społeczną, humanistyczną, rewolucyjną — przytoczyliśmy wyżej. Pewne światło na to zagadnienie rzuca wypowiedź Jastruna, opublikowana w Kuźnicy dn. 6 maja 1947 r.: „...Ja sam, wstrząśnięty wydarzeniami wojny i okupacji, przykładałem w początkach naszej nowej niepodległości zbyt ostre miary do poezji, odsądzając od racji bytu wszystko, co trąciło „poetycznością", wszystko, co nie wyrastało z ostatecznego porachunku poety ze sobą..." Ze swojej dawnej — po stokroć słusznej — pozycji, Jastrun się wycofuje, rozgrzesza „kunsztowne wiersze Pawła Hertza" i karci tych, którzy życzą sobie „nagłych, radykalnych zmian w literaturze". Tak oddalony od wojny i okupacji, nie dostrzegający zaostrzającej się walki klasowej, świetny poeta zrobił krok w tył na spotkanie stojącym w miejscu estetom. Świadectwem cofnięcia się Jastruna w omawianym okresie są nie tylko jego wypowiedzi, ale i własna praktyka poetycka, co dokumentuje przesiąknięty estetyzmem i odległy w przeważającej swej części od spraw ówczesnej pozapoetyckiej rzeczywistości tomik o wymownym tytule Sezon w Alpach (Książka r. 1948). Postawę rezygnacji ze zrozumienia przez współczesnych, a co za tym idzie, z bezpośredniego oddziaływania politycznego poezji, połączone z tym odwoływanie się do „potomnych", „przyszłych wieków" itp. — odnajdziemy w wielu utworach i wypowiedziach Jastruna, Hertza, Jerzego Millera. Andrzej Braun i wysuwany przez Hertza jako czołowy poeta młodego pokolenia Zygmunt Radek, pisali utwory „pod Maxa Jacoba". Jacobowski obraz świata — chaotyczny, naturalistyczny, oleodrukowy, wyliczający nieuporządkowane przypadkowe szczegóły statycznie widzianej rzeczywistości — wynika z wstecznej, burżuazyjnej ideologii, jest wyrazem negacji

praw rządzących społeczeństwem, negacji typowej dla zrozpaczonego mieszczaństwa. Młodych poetów te przejęte konwencje kaleczyły i upośledzały.

Kosmopolityczno-formalistyczna ideologia poetycka szerzyła się nie tylko w kręgu Kuźnicy. W Twórczości krakowskiej niektórzy zachłystywali się faszystą Elliotem. Nawiązywanie formalne do Elliota i francuskich dekadentów przekreśliło kilka lat twórczości Witolda Wirpszy. W formalizmie głęboko ugrzązł Tadeusz Różewicz.

Temu zamętowi w życiu literackim towarzyszyła i sprzyjała indolencja krytyki. Nigdy chyba tak blisko nie sąsiadowały ze sobą sądy zupełnie słuszne z zupełnie fałszywymi. Na łamach Kuźnicy Jan Kott witał reakcyjną i pornograficzną powieść Stefana Kisielewskiego Sprzysiężenie jako „książkę odważną, uczciwą, cenną". Niektórych postępowych i wartościowych pozycji — za chwilę będzie o nich mowa — nie dostrzegano. Eklektyzm Kuźnicy był przykrym i szkodliwym nieporozumieniem, w Odrodzeniu urastał on do metody, w Nowinach Literackich stawał się cnotą polityczną i tytułem chwały...

Dość specyficznym przykładem przystosowywania się do mentalności drobnomieszczaństwa była sprawa Gałczyńskiego. Ten poeta, przed wojną nie mający nic wspólnego z ideologią postępową, po wojnie szczerze pragnął dać wyraz swojemu nowemu, demokratycznemu spojrzeniu na życie, pragnął odzwierciedlić w swych wierszach rewolucyjną rzeczywistość Polski Ludowej. Brakowało mu do tego jednak odpowiedniego poziomu ideologicznego i znajomości spraw, które poruszał. W rezultacie sprawy Polski Ludowej w wierszach Gałczyńskiego częstokroć malały, spłycały się, rewolucja nabierała manier drobnomieszczańskich, zżywała się z przydzielonymi sobie rekwizytami — kotem, gitarą i krakowską dorożką. Te utwory prasa czytelnikowska chętnie drukowała. Nie krytykował ich nikt — Kuźnica bowiem ignorowała Gałczyńskiego jako zjawisko, a macierzyste Odrodzenie i Przekrój najchętniej dawały reklamy zamiast recenzji. W ten sposób nie pomagano autorowi, pozwalając rosnąć w nim „drobnomieszczańskiemu kanarkowi", czytelników zaś, a miał ich Gałczyński stosunkowo niemało — karmiono lekturą wykoślawiającą, rozmieniającą na drobne obraz naszej rewolucji.

Z tego, co powiedziano wyżej, można by wyciągnąć niesłuszny wniosek, że okres 1947—1948 w naszym życiu literackim zasługuje wyłącznie na negatywną ocenę. Tak nie jest. Prawdą jest — i zilustrowały to przytoczone przykłady — że okres ten, w związku z odchyleniem nacjonalistyczno-prawicowym cechuje na bardzo wysuniętych uprzednio odcinkach znaczne cofnięcie. Jest jednak również prawdą, że i w tym okresie trwała walka o dalszy rozwój naszej literatury partyjnej, że ukazywały się dzieła godne uwagi. Było tego może mniej, działo się to nie zawsze na odcinkach wyeksponowanych, chwilami te dzieła i tendencje, o których mowa, nikły może nawet, przysłonięte dużą ilościowo i krzykliwą produkcją „oficjalną" — istniały jednak, walczyły o prawo do życia i były w gruncie rzeczy tymi przyczółkami, z których w następnych latach mogła się rozwinąć dalsza ofensywa. Nie stanowiąc zatem o widocznym obliczu naszej literatury w latach 1947—1948, wpłynęły na jej oblicze w latach 1949—1950, choć wtedy oczywiście już się niewiele o nich mówiło, już się dostrzegało inne zjawiska.

Trzeba tu w pierwszym rzędzie wymienić bardzo ważkie ideowo i artystycznie pozycje prozatorskie: Rzeczywistość Jerzego Putramenta oraz Stare i nowe Lucjana Rudnickiego.

Rzeczywistość, która ukazała się na początku r. 1947, była powieścią o walce grupy postępowej młodzieży wileńskiej przeciwko postępującej faszyzacji sanacyjnej Polski. Powieść tę odróżniało od wymienionych uprzednio książek „antysanacyjnych" po pierwsze: rzeczywiste ukazanie mechanizmu sanacji, całej podłości burżuazyjnych rządów w Polsce przedwrześniowej, ich podłoża i konsekwencji; po wtóre — książka ta mówiła o walce, pokazywała ludzi walczących, ich klęski, załamania, ale i zwycięstwa; po trzecie — styl tej książki, metoda pisarska nie gubiła zagadnień i ludzi w psychologistycznej atomizacji, pokazywała ich myśli i czyny realistycznie, prosto, rzeczowo. Rzeczywistość była pierwszą jaskółką rodzącej się literatury partyjnej.

Stare i nowe — to półpamiętnikowa gawęda, sięgająca do bardziej zamierzchłej przeszłości, bo do końca ubiegłego wieku. Na materiale własnych losów autor dał w tej książce monografię losów polskiej klasy robotniczej, pokazał dojrzewanie świadomości rewolucyjnej, walkę z wrogiem i naleciałościami obcej ideologii w łonie proletariatu. W Starym i Nowym", poza wartościami ideowo-treściowymi, uderzał czysty, bogaty, ludowy język, obrazowy i pełen humoru.

Książka Rudnickiego ukazała się w roku 1948, podobnie jak nowa powieść Jerzego Andrzejewskiego Popiół i diament, drukowana rok wcześniej w Odrodzeniu pod tytułem Zaraz po wojnie. Jak świadczy pierwotny tytuł, autor sięgnął do żywej, dziejącej się rzeczywistości. Próbował on rozwiązać jej bolące zagadnienia, jak demoralizacja pookupacyjna, podziemie, postawa inteligencji. Trzeba powiedzieć, że nie z wszystkimi rozwiązaniami Popiołu i diamentu można się zgodzić, bezsprzeczną jednak zasługę Andrzejewskiego stanowi: 1) nowatorska próba zaatakowania aktualnej rzeczywistości, pokazania pewnych typowych spraw, wprowadzenie na kartki powieści nowych ludzi, jak działacze partyjni itp., 2) ciekawa i bardzo czytelna budowa powieści, o jasnym języku, ciekawej fabule itp. Popiół i diament świadczył, że Andrzejewski uczynił dalszy krok naprzód w stosunku do swoich poprzednich powieści i artykułów.

Zjawiły się pierwsze książki o polskiej klasie robotniczej, odbudowującej zniszczony kraj. Były to najpierw reportaże: Jarochowskiej Ludzie, którym nie stawia się pomników — o robotnikach krakowskich — i Piórkowskiego Życiorys wykuty kilofem — o Wincentym Pstrowskim. W czterdziestym ósmym roku wyszła powieść Jerzego Pytlakowskiego Fundamenty o odbudowie Pafawagu. Była to, mimo szeregu bardzo poważnych braków, wartościowa, nowatorska pozycja, czego nie doceniła krytyka, między innymi autor niniejszego referatu. Sprawom wsi przedwojennej, widzianym z klasowego, biedniackiego stanowiska, poświęcił swój cykl Mystkowice, wioska mała Julian Gałaj.

Także w poezji były próby przeciwstawienia się emisariuszom Jacoba i Elliota.

W swej twórczości poetyckiej i krytycznej stał nadal na słusznych przeważnie pozycjach Adam Ważyk.

W styczniu roku 1948, na łamach studenckiego pisma „Po prostu", wystąpił Krzysztof Gruszczyński z nowatorskim poematem o ZWM, Płomień czerwonych krawatów. Dziś trudno już zrozumieć niektóre akcenty polemiczne poematu, jak np.: „Niech sobie krytyk — kokosza gdacze. Dzisiaj ja Zetwuem rozsławiam". Urodziła je atmosfera walki o prawo do używania w poezji słów „ZWM", „Pstrowski" itp. Hertz, Radek i ich zwolennicy, negując to prawo i pstrząc swoje utwory „Endymionami", „Letami" etc., walczyli, oczywiście, nie tylko o taki czy inny język poezji — bronili się oni w pierwszym rzędzie przed wtargnięciem do poezji nowej tematyki, nowych, bojowych intonacji. W którymś z wcześniejszych numerów felietonista Po prostu, przytaczając zdania „pewnego poety łódzkiego", że „poezja bez mitów nie jest poezją", „wiersz, który nie da się przetłumaczyć na francuski, nie jest wierszem" i „pepesza — w żadnym wypadku nie może być słowem poetyckim" — odpowiadał mu znanym fragmentem Salonu Warszawskiego z Dziadów części III. W tym samym numerze opublikowano trzy wiersze Tadeusza Kubiaka na współczesne tematy polityczne, wśród nich popularną później Balladę o palaczu kolejowym, który czytał Marksa. Na początku roku 1948 Ministerstwo Kultury i Sztuki zorganizowało w Nieborowie 10-dniowe studium literackie dla ówczesnych młodych pisarzy. Doszło tam do dość ostrego starcia między grupką początkujących poetów, przeważnie ZWM-owców z jednej strony, a Jastrunem, Radkiem i nieobecnym, ale zaatakowanym Hertzem z drugiej. Dyskusję nieborowską zreferowała publicznie jedynie Anna Kamieńska we Wsi z dn. 1 lutego 1948 r. Stanowisko atakujących określiła ona wówczas jak następuje: „...sfora literackich „dzikusów", którzy może nawet nie czytali w oryginale Jacoba i Supervielle'a, uparła się, że funkcja poety jest funkcją działacza kulturalnego, że zamiast o posągach starożytnych, laurach i Homerze, trzeba pisać o elektryfikacji, sublimować i asymilować do języka literackiego pojęcia z gazet i sloganów". W pewnym uproszczeniu — tak istotnie wyglądało to stanowisko tzw. „młodych" (bo nie był to spór pokoleniowy — młodzi byli i po przeciwnej stronie). Solidaryzując się tylko częściowo z atakującymi, Kamieńska jednakże dodawała: „zdajemy sobie sprawę z naglącej potrzeby zmiany funkcji i kształtu poezji".

W sporach i walkach mijał rok 1948. Zlikwidowanie przez Partię odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego i idące w ślad za tym zjednoczenie PPR i PPS na gruncie marksizmu-leninizmu — spowodowało rewizję sytuacji i ujawnienie błędów także na odcinku życia literackiego w kraju, a co za tym idzie — stworzyło przesłanki dla dalszego rozwoju literatury polskiej we właściwym kierunku.

III

Na rozwój naszej literatury Plenum Sierpniowe i Kongres Zjednoczeniowy wpłynęły dwojako. Z jednej strony — wskazując pisarzom na ich dotychczasowe nienadążanie za rosnącymi potrzebami narodu, na ich poważne błędy, na uleganie obcym, burżuazyjnym wpływom. Przełom w Partii uprzytomnił pisarzom potrzebę przełomu w literaturze, potrzebę większego niż dotychczas związania z klasą robotniczą, z Partią. Z drugiej strony—rozgromienie odchylenia i zjednoczenie Partii wyrwały z apatii, pobudziły do aktywności wielu robotników oraz mało i średniorolnych chłopów, przed tymi wydarzeniami bier-

nych politycznie, bo nie widzących przed sobą perspektyw. Rozbudzeniu aktywności społeczno-politycznej towarzyszyła wzmożona chłonność kulturalna, zainteresowanie prasą codzienną i periodyczną. Partia przystąpiła do ofensywy oświatowej. Wymieńmy tu takie akcje, jak zwalczanie analfabetyzmu, zakładanie bibliotek wiejskich, rzucenie na rynek wydawnictw KUK, stworzenie masowego pisma wiejskiego Gromada. Dzięki tym przedsięwzięciom, dzięki udziałowi w ostrej walce klasowej szybko rosła świadomość mas pracujących. Coraz wyraźniej pisarze zaczęli odczuwać, że robotnik i chłop polski żąda książki — prostej, prawdziwej i pięknej książki o swoich sprawach i troskach; książki — narzędzia w budowie i broni w walce. Ten nacisk z dołu, od strony nowych kręgów czytelniczych, był, obok bezpośrednich przemian w świadomości pisarzy, rezultatem Plenum Sierpniowego i Zjednoczenia, przyspieszającym pośrednio owe przemiany i wpływającym na nie.

Okres zaczęty wymienionymi, wielkimi wydarzeniami, obejmuje lata 1949—1950 i trwa obecnie nadal. W okresie tym, okresie walki o realizm socjalistyczny w literaturze polskiej, można jeszcze wyodrębnić jako pewien jakby podokres rok 1949, rok pewnego wciąż jeszcze chaosu w naszym życiu literackim, żmudnego i nie zawsze konsekwentnego karczowania szkodliwych naleciałości poprzedniego okresu, rok niejako przejściowy. Następny rok 1950 można śmiało uznać za rok przełomu.

W styczniu roku 1949 odbył się w Szczecinie kolejny Walny Zjazd Związku Literatów. Na Zjeździe tym po raz pierwszy wyraźnie określono kierunek rozwojowy naszej literatury, wysuwając metodę realizmu socjalistycznego jako najsłuszniejszą, najowocniejszą metodę twórczą pisarzy polskich. W referacie pt. Aktualne zagadnienia powojennej prozy polskiej Stefan Żółkiewski dopuszczał co prawda istnienie u nas przez dłuższy jeszcze czas obok realizmu socjalistycznego także innych nurtów artystycznych. Istotne jednak było samo „proklamowanie" realizmu socjalistycznego i przekreślenie w ten sposób niesłusznych teoryjek o rzekomej „przedwczesności" socrealizmu w demokracji ludowej itp.

Idące w ślad za tą proklamacją pisarskie dokonania roku 1949, pod względem ilościowym stosunkowo nieznaczne, jakościowo jednakże wnosiły wiele nowego i rewolucyjnego. Wyliczmy parę najcharakterystyczniejszych pozycji.

W dziedzinie prozy zwróciła powszechną uwagę powieść Jana Wilczka Nr 16 produkuje. Treścią jej, podobnie jak wcześniejszej książki Pytlakowskiego, stała się odbudowa zniszczonej fabryki na ziemiach zachodnich. Była to jednak — w przeciwieństwie właśnie do Fundamentów — rzeczywista treść książki: wokół odbudowy fabryki narastały realistycznie przedstawione konflikty ludzkie. Wilczek nie uciekał się jak Pytlakowski do wymyślnych, sensacyjnych wątków pobocznych, nie mających nic wspólnego z problematyką odbudowy. Plusem powieści Wilczka była też niewątpliwa znajomość poruszonych zagadnień produkcyjnych. Prosta, czytelna, ciekawa — książka ta natychmiast zdobyła sobie duże uznanie.

Produkcja, praca w fabryce — ta tematyka, choć z początku nieśmiało i nieporęcznie, zaczęła wkraczać do literatury. Stanisław Kowalewski opublikował w Kuźnicy opowiadanie Walka klas o zakładach farma-

ceutycznych Birema. Po niedługim czasie odezwali się robotnicy Biremy, dziękując autorowi za utwór, który nie tylko opisał toczoną przez nich walkę, ale i pomógł im w niej.

Wyszły w roku 1949 książki, które nie mówiły wprawdzie o aktualnej rzeczywistości, odegrały jednak pokaźną rolę w naszej walce o realizm socjalistyczny. Stanisław Wygodzki wydał tom opowiadań W kotlinie o tematyce przeważnie okupacyjno-żydowskiej. W przeciwieństwie jednak do piszących na ten sam temat: Adolfa Rudnickiego, Artura Sandauera i innych, Wygodzki zajął wyraźnie klasowe stanowisko, nie dał się opanować złudzeniom solidaryzmu narodowego — i skutkiem tego zdobył się na analizę trafną i głęboką.

Mieczysław Jastrun napisał powieść biograficzną Mickiewicz — dzieło oryginalne, które mimo błędów (usuniętych zresztą na ogół w późniejszych wydaniach) w sposób skuteczny i piękny popularyzuje najwspanialszą tradycję naszej poezji narodowej.

Jeszcze w r. 1949 dramaturgia nasza wzbogaciła się o sztukę Leona Kruczkowskiego Niemcy, którą z początkiem następnego roku wystawiły teatry we wszystkich prawie miastach Polski oraz szereg zagranicznych. Do zasłużonego powodzenia także na forum międzynarodowym sztuki o problematyce niezwykle istotnej i obolałej dla narodu polskiego — przyczyniło się głębokie ujęcie przez autora sprawy niemieckiej, odważne postawienie kwestii zaangażowania się inteligencji twórczej w walce o pokój i wolność, wreszcie idące z tym w parze niewątpliwe walory artystyczne.

W dziedzinie poezji radosnym zjawiskiem stał się w 1949 roku nowy i w pewnym sensie nieoczekiwany wybuch talentu największego współczesnego poety polskiego — Władysława Broniewskiego. Broniewski, który jesienią roku 1945 powrócił do kraju z emigracyjnej tułaczki, wskutek zmęczenia, tragicznych przeżyć osobistych i wreszcie niewłaściwego doń z początku stosunku niektórych krytycznych wyroczni, pisał przez kilka lat niewiele, w dyskusjach literackich nie brał udziału i w ogóle trzymał się niejako na uboczu. Klasa robotnicza nie przestawała jednak wierzyć, że Broniewski da jej jeszcze dzieła na miarę Komuny Paryskiej — i nie zawiodła się. Na wiosnę roku 1949 powstał znakomity poemat o życiu i śmierci generała Świerczewskiego, a w grudniu — największe chyba dzieło Broniewskiego, jedno z największych dzieł całej poezji polskiej — Słowo o Stalinie. Poematy te, mocne ideowo, dobitne w wyrazie, rewolucyjne i socjalistyczne w treści i bardzo narodowe, ludowe w formie — są po dzień dzisiejszy w poezji polskiej najlepszymi wzorami realizmu socjalistycznego. Bardziej szczegółowe omówienie poematów Broniewskiego jest tu chyba zbędne, jako że wszyscy doskonale je znamy.

Przykładem przezwyciężania niesłusznych tendencji poetyckich i śmiałego nowatorstwa stała się w roku 1949 twórczość Andrzeja Brauna. Była mowa o tym, że Braun, wraz z innymi poetami Kuźnicy ulegał w latach 1947—1948 zgubnym wpływom naturalistycznej poezji Jacoba. Opuszczenie tej już utorowanej dróżki nie było łatwe i przemiany w poezji Brauna nie dokonały się szybko. W pewnej chwili poeta nawet na dość długo zamilkł. Później zaczęły powstawać utwory inne, nowe — ale pełne jeszcze sprzeczności, ciężkie, niezgrabne. I wreszcie, w połowie roku 1949, ukazał się poemat Brauna Noc narodzin. Nowator-

stwo jego polegało przede wszystkim na tym, że Braun pierwszy w powojennej poezji polskiej podjął próbę pokazania w poemacie konkretnej postaci współczesnego robotnika, jego pracy i życia. Bohater Brauna — Stanisław S. — jest dla naszej rzeczywistości postacią typową (co nie znaczy — najczęstszą, przeciętną, ale — decydującą, niosącą cechy przyszłości): przodownikiem pracy, członkiem Partii, człowiekiem mocno zespolonym z kolektywem, w którym pracuje i z większym kolektywem — Polską Ludową. Po kilku miesiącach Braun napisał nowy poemat Człowiek, poświęcony 70-leciu urodzin Towarzysza Stalina. Warto tu przypomnieć, że ta wielka rocznica stała się dla wielu poetów bodźcem do napisania mocnych i pięknych wierszy. Była już mowa o poemacie Broniewskiego. Powiedzmy jeszcze o Liście do Stalina Putramenta, wierszu Gruszczyńskiego Stalin — inżynier naszych marzeń, poemacie Towarzysze, mówię o Nim Kubiaka, Drodze Stalina Leona Pasternaka. Wśród tych utworów znalazł się także ambitny w zamierzeniu i dobitny poetycko Człowiek Brauna. Zarówno dla Nocy narodzin jak dla Człowieka — obok żarliwego, partyjnego stosunku do podjętych tematów — charakterystyczny jest inny, niż dawniej u Brauna, styl: potoczny język, realistyczne obrazowanie, próby formułowania w wierszu myśli politycznych i relacjonowania wydarzeń politycznych. Oto przykład:

Aby rzeka strajkowa z Baku
płytkie minęła mielizny —
aby zniosła w pierwszym ataku
stragany ekonomizmu.

(Człowiek)

Te „stragany ekonomizmu" były nie tylko osiągnięciem Brauna, ale pewnym symptomem zwrotu dotychczasowych spóźnionych „jacobinów" w stosunku do poezji.

Podobny zwrot następował zresztą w twórczości poetów o obciążeniach odmiennego zupełnie rodzaju. Konstanty Ildefons Gałczyński, którego błędy próbowaliśmy wyżej z grubsza określić, dał w swym zbiorku Ślubne obrączki kilka dobrych, politycznych, oczyszczonych z drobnomieszczańskiej rekwizytorni utworów, apelujących do pięknego wzruszenia szerokich mas czytelników. (np. Do konduktorki szczecińskiego tramwaju Nr 1) Niestety, podobnie jak uprzednio nie uważano za stosowne zająć się poważnymi błędami Gałczyńskiego, tak teraz nie dostrzeżono zawartych w tego rodzaju wierszach możliwości pozytywnego rozwoju jego twórczości. Wydaje mi się, że ta krzywdząca poetę „nieobecność" krytyki partyjnej na polu jego walki — stała się jedną z istotnych przyczyn późniejszego kryzysu twórczego Gałczyńskiego, kryzysu, który niestety w chwili obecnej trwa.

Julian Tuwim—wielki poeta dwudziestolecia, którego Kwiaty polskie, opublikowane po wojnie, obok zachwytu pod adresem osiągnięć formalnych, swobody wersyfikacyjnej, bogactwa języka oraz aprobaty dla treści poszczególnych fragmentów, wzbudziły jednocześnie szereg uzasadnionych zastrzeżeń w związku z nietrafną społecznie koncepcją fabularną całości — w r. 1949 ogłosił na łamach Odrodzenia cykl Nowych wierszy, z dużą pasją i śmiałością atakujących problematykę i realia odbudowy Warszawy, budownictwa socjalistycznego, udziału poety w walce politycznej itp.

Ciekawe, że gdy w pierwszym okresie twórczość oryginalna nie nadążała za publicystyką i krytyką postulatywną, śmielszą i bardziej nowatorską wówczas od poezji i prozy, w okresie narastania ważkich przemian w twórczości oryginalnej krytyka nagle znalazła się w ogonie. Przykładów jakiejś bezradności krytyki, niedostrzegania przez nią nowego, fałszywej interpretacji zjawisk, można by przytoczyć wiele. Poprzestańmy jednak na dwóch: oto Henryk Vogler, w recenzji ze zbiorku Brauna uznał za największe osiągnięcie młodego poety... parafrazę faszystowskiego ciemniaka Elliota (U młodych poetów — Kuźnica nr 39 rok 1949). Inny krytyk, Artur Sandauer, w artykule pt. Niebezpieczeństwa wulgaryzacji (Odrodzenie nr 38/1949) dostrzegł we współczesnej literaturze polskiej tylko „nowego typu grafomanię" — przykładem jej miała być powieść Wilczka Nr 16 produkuje.

Rok 1950 zaczął się dla pisarzy pod znakiem pierwszej wielkiej akcji terenowej i gorącej dyskusji o literaturze. Akcję terenową zainicjowała Partia. Kilkudziesięciu prozaików i poetów — partyjnych i bezpartyjnych — wyruszyło w teren: do fabryk, do kopalń, do wsi spółdzielczych, aby w dłuższym, codziennym obcowaniu z robotnikami i chłopami, z ich pracą, życiem i troskami, lepiej poznać rzeczywistość Polski Ludowej, poznać nowe, prawdziwe i ważne konflikty, aby ci ludzie, ta rzeczywistość, te konflikty — a nie, jak często dotąd, wyłącznie „wnętrze" pisarza - samotnika — stały się nową treścią opowiadań, powieści, wierszy. Niesłuszne byłoby twierdzenie, że wszyscy pisarze byli uprzednio oddaleni od życia. Akcja wyjazdów w teren miała jednak za cel przezwyciężenie żywiołowości i przypadkowości dotychczasowych kontaktów, nadanie im cech masowości, systematyczności i ciągłości. Udział aktywnego pisarza w życiu terenu miał się stać — i, jak możemy po roku stwierdzić, stał się — nieodzowną częścią jego życia, podstawą twórczości. Tak więc trudno przecenić rewolucyjne znaczenie akcji terenowej. Realne jej rezultaty w praktyce literackiej też z biegiem czasu dostrzegamy coraz wyraźniej.

Dyskusja o literaturze, która żywiołowo zaczęła się na początku roku 1950, miała przebieg wyjątkowo gwałtowny i biegła różnymi nurtami. W tej chwili nie jest już chyba celowe przypominanie różnych wypowiedzi, w znacznej części błędnych — między innymi artykuł autora tego referatu zawierał mnóstwo twierdzeń nieprzemyślanych, nieprecyzyjnych, zgoła fałszywych. Powiedzmy tylko, że sama burza była chyba ożywcza i—mimo wszelkie zwichnięcia — zdrowa, konkluzje zaś dyskusji słuszne i płodne. Wnioski, jakie wyciągnięto z dyskusji poetyckiej, prowadziły do potępienia zarówno estetyzmu, pięknoduchostwa poetów Kuźnicy, jak antyestetyzmu, rozwichrzenia ideowego i artystycznego takich poetów jak Bratny. Używając określenia „potępienie" nie mam oczywiście na myśli tylko deklaratywnych stwierdzeń, jakie padły w podsumowaniu dyskusji. Wartość ich — i wartość całej dyskusji — byłaby minimalna, gdyby nie pokrycie, uzyskane przez nie w ciągu minionego roku w praktyce poetyckiej poetów. I Jastrunowi bowiem, i Bratnemu, i innym poetom dyskusja pomogła przemyśleć swoje błędy i zrobić duży krok w kierunku ich przezwyciężenia. Świadczą o tym ostatnie wiersze Jastruna, pełne nieukrywanej pasji po-

litycznej, i wiersze Bratnego, oczyszczone z grymasu. Wymieniam tych właśnie dwóch poetów, albowiem wypadło im odegrać w dyskusji rolę symboli pewnych częstszych postaw poetyckich. Sens dyskusji o prozie był podobny. Szczególnie cenny dokument stanowiła wypowiedź jej inicjatora — Jerzego Andrzejewskiego, świadczą o zrobieniu przez pisarza ostatniego kroku do marksizmu-leninizmu, do literatury partyjnej (Notatki — Odrodzenie 5/1950). Piękny artykuł Andrzejewskiego kończyło mądre i odważne wezwanie do polityków: „Nie stawiajcie przed intelektualistami i artystami wymagań średnich. Stawiajcie im wymagania największe".

W czerwcu odbył się w Warszawie kolejny Zjazd Związku Literatów Polskich. W przeciwieństwie do poprzedniego Zjazdu Szczecińskiego — tym razem realizm socjalistyczny był już kwestią nie deklaracji, lecz rzeczywistych dokonań: w dyskusji padały tytuły nowych książek, obarczonych przeważnie różnymi błędami, ale mimo to naprawdę zasługujących na miano socrealistycznych. Że kierowanie literatury na tory realizmu socjalistycznego nie jest procesem łatwym i przebiegającym bez walki, świadczyły pewne, choć nieliczne, ale za to bardzo namiętne głosy, usiłujące z trybuny Zjazdu bronić starych, niesłusznych pozycji. Na Zjeździe Warszawskim ustalono nową strukturę organizacyjną Związku — powołano m. in. instytucję Plenum Zarządu Głównego i stworzono sekcje twórcze. Pociągnięcia te miały znaczenie nie tylko organizacyjne — stwarzając warunki dla konfrontacji osiągnięć prozaików i poetów z jawną, niekawiarnianą, odpowiedzialniejszą niż dotychczas opinią środowiska literackiego, sprzyjały wzrostowi krytycyzmu i samokrytycyzmu, a więc — co za tym idzie — pogłębieniu świadomości pisarskiej.

Również głębszy sens ideologiczny miało posunięcie wcześniejsze o parę miesięcy — stworzenie, zamiast wychodzących dotychczas czasopism Odrodzenia i Kuźnicy — jednego tygodnika Nowa Kultura. Nowa Kultura nie tylko skupiła rozproszone dotąd i częściowo zdezorientowane siły literackie obozu lewicy, ale, uwalniając się od spadku kuźnicowo-odrodzeniowego ekletyzmu i zamętu ideowego, od pierwszego numeru zaczęła realizować — oczywiście, nie bez błędów, ale mimo błędów z widocznym skutkiem — wyraźną, niedwuznaczną linię polityczną i artystyczną. W Nowej Kulturze zjawiła się publicystyka pozaliteracka, zjawiły się głosy czytelników, znikły w zasadzie mętniackie recenzje, zaczęto odrabiać zaległości krytyczne, poczyniono próby odzwierciedlania życia kulturalnego kraju, zlikwidowano dekadencką poezję, otwarto natomiast łamy pisma dla poezji bojowej i realistycznej. Nowa Kultura zaczęła odgrywać pozytywną rolę w walce o realizm socjalistyczny w sztuce polskiej.

Zatrzymajmy się na chwilę przy zagadnieniu poezji, której przemiany w roku 1950 sięgnęły bardzo głęboko. Była już mowa o pewnym wstrząsie spowodowanym przez zimową duskusję i o późniejszym przezwyciężaniu przez poetów średniego pokolenia dwóch krańcowych odmian niesłusznej ideologii poetyckiej — estetyzmu i antyestetyzmu. Wydarzeniem w naszym życiu literackim stał się jubileusz Władysława Broniewskiego — uroczystości, związane z 25-leciem twórczości tego wielkiego, rewolucyjnego poety. Sens jubileuszu polegał nie tylko na uczczeniu Broniewskiego, ale na mocnym

podkreśleniu, że właśnie jego twórczość — żarliwa, rewolucyjna, patriotyczna — jest dla nas wzorem, najbliższą tradycją i miarą dokonań. Jubileusz Broniewskiego stał się bodaj punktem kulminacyjnym trwającego w środowisku poetyckim przewartościowania pojęć i ocen. Uświadamiając sobie do końca całą wielkość i słuszność Broniewskiego, nie można było nie odwrócić się jednocześnie od ostatnich fałszywych mistrzów formalizmu i sezonowych bóstw o importowanej z Zachodu aureoli. Niewątpliwie, bez utrwalania się słusznych poglądów na poezję w ogóle, bez rozwoju i oczyszczania ze szkodliwych naleciałości twórczości znanych już poetów, niemożliwe byłoby takie swoiste i nieznane w poprzednich latach zjawisko, jak *debiuty poetyckie roku 1950*. Co jest charakterystyczne dla tych debiutów? Przede wszystkim ich ogromna ilość — wymieńmy nazwiska najbardziej rzucające się w oczy: Gaworski, Kapuściński, Mandalian, Hołda, Witczak — daleki tu jestem od wyczerpania listy debiutantów poetyckich Nowej Kultury i Sztandaru Młodych chociażby. Po drugie, jakość. Nie twierdzę bynajmniej, że debiutantów 1950 roku cechowała jakaś dojrzałość artystyczna czy bezbłędność — choć wielu z nich szybkimi krokami zbliża się do tej dojrzałości. Ale twórczość tych wszystkich młodych poetów od początku jest w zasadzie realistyczna i aktualna, w zasadzie szczerze partyjna, nawiązuje do takich tradycji, jak Broniewski i Majakowski, na ogół nie ulega formalistycznym, kosmopolitycznym wpływom, wreszcie jest jakoś bardzo świeża, bardzo dobitna. Debiuty poprzednich lat pozbawione były przeważnie tych cech. Nie będzie więc chyba przesady w stwierdzeniu, że twórczość najmłodszego pokolenia poetów jest szczególnie ciekawym objawem rewolucji, dokonywującej się w naszej literaturze.

A sytuacja w prozie i dramaturgii? Owszem, i w tym okresie ukazały się pewne pozycje niesłuszne, zabłąkane ideowo, słabe artystycznie. Taka Pałeczka Adolfa Rudnickiego stanowiła chyba kulminację niesłusznych tendencji w twórczości tego ogromnie utalentowanego pisarza. Obok tych nielicznych nieporozumień wydawniczych należy jednak zanotować znaczną ilościowo grupę książek i sztuk obdarzonych zupełnie nowymi jakościami, absolutnie aktualnych, głęboko osadzonych w życiu mas pracujących Polski Ludowej i czerpiących z przebogatych doświadczeń przodującej literatury świata — literatury radzieckiej. Literaturze radzieckiej poświęcony jest inny referat, nie będę więc w tym miejscu szerzej rozpatrywał jej wpływu na nasze życie w ogóle, a życie literackie w szczególności. Konieczne jednak jest podkreślenie, że po pierwsze — dobre książki i sztuki pisarzy radzieckich, których ukazało się w Polsce w omawianym okresie stosunkowo wiele, dzięki swojej ideowości, aktualności, prawdzie życiowej, prostocie, wielkim walorom artystycznym — szybko zdobyły polskiego odbiorcę, a szczególnie młodzież, że niejako utorowały drogę do czytelnika i widza książkom i sztukom polskim, a jednocześnie nauczyły odbiorcę rozeznawać się w walorach literatury, dały mu tę miarę porównawczą, dzięki której może on stawiać pisarzom polskim określone wymagania i oceniać, w jakim stopniu pisarze zdołają owym wymaganiom sprostać; po drugie — literatura radziecka wpływa na pisarzy polskich bezpośrednio, dając im nieprześcigniony wzór realizmu socjalistycznego. Nie ulega wątpliwości, że bez nawiązania do zdobyczy literatury radzie-

ckiej, znane nam osiągnięcia realizmu socjalistycznego prozy i dramaturgii polskiej byłyby tak samo niemożliwe, jak bez wejścia głęboko w życie naszego kraju, i wreszcie — co często bywa lekceważone i czego, niestety, też niesposób rozwinąć w niniejszym referacie — bez nawiązania do nieprzemijającej wartości postępowej literatury polskiej lat dawnych, do Prusa, Orzeszkowej i Żeromskiego, do przedwojennych powieści Wasilewskiej, Kruczkowskiego i Kowalskiego.

Ale wróćmy do omawianej grupy książek. Są to po pierwsze: Konwickiego Przy budowie, Zalewskiego Traktory zdobędą wiosnę, Hamery Na przykład Plewa i Mirosława Kowalewskiego Kampania znaczy walka. Z wyjątkiem Zalewskiego, autorami tych książek są debiutanci. Wraz z wydanym wcześniej Numerem 16-stym Wilczka, książki te uzyskały w roku ubiegłym Państwową Nagrodę Artystyczną. Wspólną ich cechą jest tematyka współczesna, produkcyjna. Bohaterami tych książek są polscy robotnicy, chłopi i inżynierowie, walczący w latach powojennych o odbudowę przemysłu, o budownictwo socjalistyczne w mieście i na wsi, o osiągnięcia produkcyjne. Stosunek autorów do poruszonych zagadnień nie jest bierny, obserwatorski, ale czynny, w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu tendencyjny, partyjny. Nie ciąży na wymienionych książkach maniera psychologizmu, ani tym bardziej jakiejś udziwniającej deformacji — są to książki realistyczne, a nawet w wielu swych elementach — socrealistyczne. Odpowiednikiem osiągnięć Zalewskiego, Hamery, Konwickiego i innych w prozie — są w dramaturgii naszej m. in. takie utwory, jak Dobry człowiek Gruszczyńskiego, Tysiąc walecznych Rojewskiego, Zwycięstwo Warmińskiego. Ta ostatnia sztuka np. daje szeroki i sugestywny obraz toczącej się na wsi walki o założenie spółdzielni produkcyjnej. Autor szczególnie wnikliwie podpatrzył całą gamę zdradzieckich metod cofającego się pod naporem sił postępu, ale nie rezygnującego ze swoich celów, kułactwa.

Zatrzymajmy się jednak jeszcze przy wyżej wymienionej powieści Mirosława Kowalewskiego — i zauważmy wyraźne zubożenie książki o dwa elementy: o walkę polityczną na terenie fabryki i o życie osobiste, pozafabryczne bohaterów książki. Ten ostatni brak wydaje się być w omawianym okresie typowym w pewnej mierze schorzeniem dużej ilości naszych nowych książek i sztuk. Zwężenie zainteresowań pisarza wyłącznie do procesów produkcyjnych i związanych z nimi pewnych najłatwiej dostrzegalnych konfliktów, jak np. konflikt między robotnikiem-racjonalizatorem, a zrutynizowanym majstrem — jest chyba naturalną reakcją na częstsze uprzednio odwracanie się od procesów produkcyjnych i pomijanie związanych z nimi konfliktów, jest jednocześnie wyrazem przejęcia się naszych pisarzy ważką problematyką budownictwa socjalistycznego. Również dawne doświadczenia radzieckie każą widzieć w tym zwężaniu spojrzenia pisarskiego niejako dziecięcą chorobę realizmu socjalistycznego. Dziś jednak literatura radziecka daleko odeszła od tego rodzaju prymitywnego traktowania rzeczywistości — nie rezygnując z badania i odzwierciedlania procesów produkcyjnych, szeroko zajmuje się wszelkiego rodzaju konfliktami obyczajowymi, etycznymi itd. Przykładem takiej pełni oddawania życia może być odznaczona ostatnio Nagrodą Stalinowską I-go

stopnia powieść Nikołajewej Ż n i w a. Nie ulega wątpliwości, że i u nas — choć zdajemy sobie sprawę i dumni jesteśmy z pierwszych osiągnięć realizmu socjalistycznego — trzeba sygnalizować ich wyżej wymienione braki, których konsekwencją — w wypadku nieprzezwyciężenia — może być dająca się już niekiedy zauważyć, szczególnie w dramaturgii, groźna schematyzacja postaci i konfliktów, oraz obce, więcej — wrogie naszemu światopoglądowi odhumanizowanie przedstawianej rzeczywistości.

Przed paroma miesiącami ukazała się książka, która już w dużym stopniu przezwyciężyła niebezpieczeństwa dziecięcej choroby fetyszyzmu produkcji. Jest to powieść Aleksandra Ścibora-Rylskiego pt. W ę g i e l, dzieło pełne, plastyczne, o bogatej galerii zindywidualizowanych postaci, które wbijają się czytelnikowi w pamięć, które rzeczywiście żyją. Pozytywni i negatywni bohaterowie Ścibora-Rylskiego mają swoje prywatne życie, obok trosk i konfliktów na kopalni — troski i konflikty rodzinne. Sprawia to, że powieść Ścibora jest i prawdziwsza, i czytelniejsza niż pokrewne jej tematycznie książki nagrodzone w r. 1950. O innych zaletach i wadach W ę g l a będzie jeszcze mowa.

III Plenum KC PZPR, które odbyło się w listopadzie 1949 r., zwróciło naszą uwagę na całą ostrość walki klasowej w Polsce, na związane z tym niezwykle trudne i dramatyczne konflikty, na palące zagadnienie czujności. Pisarze, którzy dobrze zrozumieli wskazania III Plenum, niechybnie pogłębili i wzbogacili swoją twórczość. Dalej pogłębimy i wzbogacimy nasze sztuki, wiersze i książki, jeżeli zdołamy wyciągnąć właściwe wnioski także z doniosłych sformułowań ostatniego, VI Plenum KC PZPR. Plenum to nie tylko umacnia nas w przekonaniu, że oddając swe pióra sprawie walki o pokój, walki o Plan Sześcioletni, najlepiej służymy klasie robotniczej i narodowi polskiemu, nie tylko jeszcze raz przestrzega nas przed lekceważeniem wspaniałej narodowej tradycji kulturalnej. VI Plenum wskazało na proces przekształcania się narodu polskiego w naród socjalistyczny.

„Dojście do władzy polskiej klasy robotniczej w r. 1944 rozpoczęło nowy okres historyczny — powiedział na Plenum towarzysz Bierut — przekształcania narodu burżuazyjnego w naród socjalistyczny, o nowej strukturze gospodarczej, o nowym składzie klasowym, o nowym obliczu moralno-politycznym.

Naród nasz przeżywa więc w obecnym etapie historycznym najgłębszy proces przekształcania się i przerastania w społeczeństwo socjalistyczne. Proces ten trwa i, póki nie osiągnie właściwego stadium, musi być powiązany z walką klasową. Ale jest to proces, który prowadzi do społeczeństwa bezklasowego".

Literatura, którą tworzymy, powinna jak najszybciej zgłębić ten proces kształtowania się narodu socjalistycznego. Karty naszych książek powinniśmy zaludnić bohaterami, których zmienia, którym pomaga dojrzewać rzeczywistość Polski Ludowej. Musimy objąć zainteresowaniem wiele różnych środowisk, musimy wzmóc nasze ambicje poznawcze. Dorastanie do narodu socjalistycznego można pokazać i przez pryzmat świadomości głównego naszego bohatera, członka klasy robotniczej, ale również przez pryzmat świadomości np. chłopa średniaka albo inteligenta. Można je pokazać w dziedzinie produkcji (np. rodzenie się socjalistycznego stosunku do pracy), ale również w sferze wszelkich stosunków międzyludzkich innego typu — obyczajowych, moralnych. Jednym słowem VI Plenum

wskazuje nam możliwość i konieczność rozbudowania problematyki naszej twórczości, rozszerzenia zakresu spraw, ludzi, środowisk, zasługujących na uwagę pisarza.

VI Plenum pozwala nam też jaśniej dostrzec błędy i osiągnięcia już wydanych książek.

W r. 1950 ukazał się zbiór opowiadań Stanisława Wygodzkiego pt. W i d z e n i e — o problematyce partyjnej, tak przedwojennej jak i współczesnej. Zaletą tej książki jest jej emocjonalny, serdeczny, żarliwie ideowy stosunek do przodującego oddziału klasy robotniczej. Wagę książki pomniejsza jednak ogromnie nieumotywowana jednostronność w relacjonowaniu wydarzeń wyłącznie wewnątrzpartyjnych (kilka opowiadań o oczyszczaniu szeregów). Zniekształca to rzeczywistą rolę Partii, która wszak nie jest zamkniętą sektą, ale motorem życia całego społeczeństwa. Partia nie może istnieć, nie istnieje w izolacji od społeczeństwa — i prawdziwie partyjna literatura musi pokazywać związki Partii z klasą, z narodem, jej wpływ na otoczenie, siły przyjazne jej i wrogie.

Błędu Wygodzkiego uniknął znowu Ścibor-Rylski w książce, o której była już wyżej mowa. Autor W ę g l a umiał uwidocznić rolę Partii — poprzez praktyczne działanie ludzi Partii i poprzez rozwój, poprzez przemiany bezpartyjnych. Jego bezpartyjni górnicy — bardzo różni i w rozmaity sposób rozwijający się, jak Felek Dąbrowski, Pielka, Karlik, Mielimąka, nawet stary Dudulik — to kandydaci na członków narodu socjalistycznego.

Z tymi zasadniczymi wnioskami, wypływającymi bezpośrednio z VI Plenum, pozostają w pewnym związku niektóre kwestie szczegółowe, też istotne, jak mi się wydaje, dla obecnego okresu naszej literatury.

Pierwsza — to sprawa pozytywnego bohatera. Zdaje się, że wszyscy już sobie uświadomiliśmy, że bez pozytywnego bohatera może być mowa najwyżej o realizmie krytycznym, że realizm socjalistyczny, odzwierciedlając zgodnie ze światopoglądem marksistowsko-leninowskim rzeczywiste procesy życiowe, musi pokazywać — tak w społeczeństwie antagonistycznym jak nieantagonistycznym — walkę nowego, rozwijającego się, ze starym, obumierającym, musi pokazywać, jak to nowe zwycięża, no, a to nowe jest, rzecz jasna, w ludziach, w ich czynach i w myślach, w ich losach, rozwoju, dojrzewaniu. Reprezentant tego nowego, przodującego w utworze literackim — to jest właśnie bohater pozytywny. Nasza literatura, jak się rzekło, ma już swoich bohaterów pozytywnych, czasem autentycznych, jak Marysia Iskrowa u Zalewskiego, częściej fikcyjnych jak Stanisław z N o c y n a r o d z i n Brauna, inżynier Stanisławski z powieści Wilczka, czy Kokot i Migoń z W ę g l a Ścibora-Rylskiego. Wartością tych fikcyjnych bohaterów jest też ich typowość, ich zgodność z obliczem takich bohaterów w życiu. Wydaje mi się bardzo ważne pamiętanie, że nasi bohaterowie w życiu bardzo się rozwijają, rosną biorąc udział w rewolucyjnych przemianach w naszym kraju, ogromnie wzbogacają swoją psychikę, swoje życie wewnętrzne, zyskują nowe cechy człowieka socjalistycznego. Otóż rzecz w tym, żeby pozytywni bohaterowie nowych książek też rośli, żeby byli pełniejsi, ciekawsi, bogatsi wewnętrznie od swoich poprzedników z dotychczasowych utworów, żeby nie powtarzali wyłącznie ich cech. Inżynier Stanisławski z książki o fabryce w roku 1951 musi być inny, dojrzalszy niż znany nam inżynier Stanisławski z powieści N u m e r 16 p r o d u k u-

j e. Podobnie górnik, stoczniowiec, chłop ze spółdzielni produkcyjnej. Inaczej walka o bohatera pozytywnego, stoczona w ciągu ostatnich lat w naszej literaturze, okaże się bezowocna.

Sprawa cech narodowych naszej twórczości, to, oczywiście, nie tylko język i nie tylko nawiązywanie do wielkich tradycji, choć i jedno, i drugie ma doniosłe znaczenie. Chodzi o to, żeby chłop, o którym piszemy, był rzeczywiście polskim chłopem, hutnik — polskim hutnikiem, lekarz — polskim lekarzem, a nie chłopem, hutnikiem, lekarzem w ogóle. Jak to osiągnąć? W każdym razie nie na drodze laboratoryjnych dociekań, jakimi by to „polskimi" cechami, odmiennymi od cech innych narodów, obdarzyć swoich bohaterów. Nasz chłop będzie polskim chłopem, jeżeli nie wymyślimy go sobie przy biurku na podstawie lektury gazet i książek, ale jeżeli poznamy go w terenie, jeżeli opiszemy jego sprawy i konflikty tak, jak one przebiegają typowo w terenie — co musimy koniecznie stwierdzić osobiście, jeżeli myśli i czyny chłopa z naszej powieści czy poematu, są rzeczywistymi myślami i czynami chłopa polskiego na wsi. W tym sensie polskość naszych utworów traci posmak metafizyczny, a staje się po prostu synonimem konkretności, prawdziwości polskich sytuacji i polskich ludzi w tym, co piszemy.

Sprawa języka. Jakże często lekceważona lub niewłaściwie rozumiana przez młodych pisarzy! Sam tu nie jestem bez winy. Oczywiście, że język musi być potoczny, prawdziwy, żywy, bez archaicznych ozdóbek i fałszywego wykwintu, górnolotności. To, zdaje się, rozumiemy wszyscy doskonale. Ale odwrotna strona medalu — brutalizmy, wiechowatość, lumpenproletariacka morowość — to rzecz równie szkodliwa, równie psująca naszą twórczość. Język literacki musi być celny, precyzyjny, świeży, czysty. Nie trzeba rezygnować ze wzbogacania go przez poszczególne nowe słowa czy zwroty, które zyskały sobie prawo obywatelstwa w języku mówionym, a które nie są sprzeczne z gramatyką, z duchem języka, które rzeczywiście wnoszą celność i świeżość. Ale nie wolno zanieczyszczać języka gwarą w imię rzekomej wierności opisu. To jest naturalistyczny stosunek do języka. Pisarz musi stosować selekcję. Z bezkrytycznym przyswajaniem językowi narodowemu prowincjonalizmów zawsze walczył Maksym Gorki. I naprawdę lekkomyślnie postąpił Ścibor Rylski — nie tylko względem własnej, poza tym zresztą, co zostało podkreślone, bardzo dobrej książki, ale w szerszym sensie — legalizując gwarę śląską z jej licznymi „hicami", „beszperajstwami" i innymi germanizmami Na pewno poprawi to zresztą w następnym wydaniu. Nikt z nas nie ma prawa lekceważyć tej walki o czystość języka.

I wreszcie ostatnia sprawa — to nasza praca, nasz wysiłek, jaki wkładamy w twórczość. Czytając wiele utworów kolegów, odnosi się wrażenie, że powstały za łatwo, za szybko, bez wysiłku. Częściowo winę ponoszą tu redakcje gazet — np. my w Sztandarze Młodych też czasem zamawiamy u poety wiersz z dnia na dzień. Ale również u samych pisarzy dostrzega się nieraz brak odpowiedzialności za słowo, pogardę szczegółów, beztroski stosunek do ostatecznego dopracowania utworu. Adam Mickiewicz swoje Sonety Krymskie przepisywał po kilka razy, zanim nadał im ostateczną formę. A wśród poprzednich wariantów były takie, które niejeden z poetów zaakceptowałby jako doskonałe. W Związku Radzieckim często przytacza się przykłady żmudnej pracy nad

rękopisami klasyków rosyjskich, jak Lwa Tołstoja, Turgieniewa, Gorkiego, Majakowskiego. Wreszcie — nie musimy daleko szukać — przykład wielkiej i odpowiedzialnej pracy nad słowem dają nam tacy nasi starsi koledzy, jak Jarosław Iwaszkiewicz, Maria Dąbrowska, Mieczysław Jastrun i inni. Nie będziemy prawdziwymi pisarzami socjalistycznymi, jeżeli nie przyswoimy sobie tego stylu pracy, tej odpowiedzialności za słowo, jeżeli nie powiemy sobie: lepiej nie drukować wcale niż korzystając z pobłażliwości albo braku zasad redaktorów drukować rzeczy niedopracowane.

Spróbujmy podsumować to, co zostało powiedziane.

Czego nas uczy dokonany przegląd wydarzeń w powojennej literaturze polskiej, jakie wnioski wypływają z charakterystyki poszczególnych etapów rozwoju tej literatury?

Sądzę, że podstawowy wniosek jest taki: rozwój naszej literatury był w dużym stopniu zależny od sytuacji i wydarzeń w innych dziedzinach życia kraju, od toczącej się zaciekłej walki klasowej. Tak będzie i nadal — bo pisarz nie może być wolny od społeczeństwa, bo literatura nie może powstawać poza życiem, poza walką. Uprzytomniając to sobie i świadomie wybierając miejsce tej walki, świadomie podporządkowując swą twórczość sprawie powszechnej, wspólnej sprawie Partii, klasy robotniczej i narodu — twórca zyskuje prawdziwą wolność i szansę, że talent, pomnożony przez jedynie słuszny światopogląd, zrodzi dzieła ważkie i trwałe.

W minionych latach w literaturze naszej również toczyła się zacięta i trudna walka — w walce rodziło się każde nowe osiągnięcie, walką okupiony był każdy krok naprzód w kierunku realizmu socjalistycznego. Była to walka różnego rodzaju — i wyraźna walka klasowa, walka z wrogiem, względnie z oddziaływaniem w środowisku niewrogim reliktów wrogiej ideologii i walka z rutyniarstwem, neofobią, niezrozumieniem tych czy innych procesów w życiu i w literaturze. Ta walka toczyła się m. in. w świadomości każdego z aktywnych pisarzy obozu postępu. Walka w literaturze będzie się nadal toczyła — wszyscy będziemy w niej brali udział — i nikt nie może liczyć, że dalszy rozwój literatury polskiej będzie się odbywał już gładko, bez oporów i sprzeciwów z różnych stron, bez ostrych starć, bez przełamywania się ludzi. Jaka to będzie walka? Otóż nie ulega wątpliwości, że: po pierwsze — jak długo istnieje w kraju walka klas, jak długo istnieje, podsycające opór klas wrogich, otoczenie imperialistyczne, po drugie zaś — jak długo w samym życiu literackim istnieją antymarksistowskie, antypartyjne ośrodki ideologiczne — nie mogą ustać i nie ustaną w literaturze konflikty antagonistyczne, klasowe. Wróg będzie zmieniał taktykę, będzie się opowiadał np. za jakimś „realizmem chrześcijańskim", albo będzie gromił dzieła realizmu socjalistycznego za rzekomą „słabość artystyczną", albo będzie nam podsuwał „wzory" literatury burżuazyjnej, których „strona formalna" jest ponoć do przyjęcia przez nas, wróg znajdzie tysiąc innych, trudnych do przewidzenia form dywersji. Potrafimy się obronić, potrafimy sami atakować, jeżeli będziemy odpowiednio przygotowani ideologicznie, jeżeli będziemy się kierować busolą marksizmu-leninizmu, jeżeli będziemy pisarzami partyjnymi w sensie, nadanym temu określeniu przez Lenina. Potrafimy się bronić i atakować, jeżeli nie zatracimy czujności, jeżeli będziemy bezkompromisowi, bojowi, jeżeli potrafimy wskazania Partii realizować

na naszym specyficznym terenie. Te cechy muszą być widoczne zarówno w naszej twórczości jak działalności.

Poza konfliktami klasowymi — istnieją w literaturze i nieklasowe. Na VI Plenum KC PZPR towarzysz Minc mówił o objawach rutyniarstwa i konserwatyzmu wśród części naszych inżynierów. Choroba ta nie jest obca i inżynierom dusz ludzkich. Nie wolno nam jej mylić z wrogością klasową, nie wolno szafować nieprzemyślanymi oskarżeniami — nie wolno jednak również rezygnować ze zdecydowanej, ostrej, bezkompromisowej walki z rutyniarstwem i konserwatyzmem w literaturze, ktokolwiek by reprezentował te postawy. Nie wolno też rezygnować ze zwalczania w samym sobie tego rutyniarstwa, które objawia się m. in. w za wielkim zadowoleniu z dotychczasowych osiągnięć, w niechęci do poszukiwania nowych tematów, problemów, form, w braku dbałości o odświeżanie, odnawianie środków wyrazu artystycznego.

Reasumując: twórczość literacka — to nieustanna walka — walka ideologiczna i walka o jakość — walka z wrogiem klasowym i walka ze zrutynizowanym pisarzem z naszego obozu, walka na zewnątrz i wewnątrz umysłu pisarza. Wiedza o walce minionych etapów, zrozumienie sensu aktualnie toczonej walki uchroni nas od cofnięć, od powtarzania błędów, przezwyciężonych w poprzednim okresie, od stania w miejscu.

Wiktor Woroszylski

Referat wygłoszony na Zjeździe Kół Młodych Pisarzy w Nieborowie 28.III.51. Publikujemy go z pewnymi skrótami.

Z poezji Machtumkulego (Fragi)

MACHTUMKULI (FRAGI), słynny poeta turkmeński, stawiany dzisiaj na równi z takimi klasykami literatur Wschodu jak Firdusi, Saadi, Hafiz, Nizami, Nawoi — pomimo wielkiej popularności wśród ludu Turkmenii, do niedawna był zupełnie nieznany zarówno czytelnikowi rosyjskiemu jak i czytelnikom innych krajów. Pierwsze przekłady jego wierszy na język rosyjski ukazały się dopiero po Rewolucji Październikowej, pod koniec lat dwudziestych. W roku 1941 ukazał się niewielki zbiorek poety w przekładzie Marka Tarłowskiego, ale większy ich wybór, w tłumaczeniu Georga Szengeli, ukazał się zaledwie w roku 1944.

W krótkim czasie twórczość Machtumkulego uzyskała znaczny rozgłos w krajach Związku Radzieckiego. Dzięki poparciu rządu i staraniom badaczy literatury turkmeńskiej zdołano w ostatnich czasach odnaleźć i uporządkować odpisy dzieł poety, zawierające ponad 20.000 wierszy. Przed dwoma laty wydano wreszcie zbiór poezji Machtumkulego w przekładach poetów rosyjskich, liczący już około dwustu utworów.

Nie zdołano dotąd ściśle ustalić dat urodzin i śmierci poety. Przyjmuje się, że Machtumkuli urodził się około 1740 roku i zmarł pod koniec XVIII stulecia.

W dziejach literatury swego narodu Machtumkuli pierwszy odrzucił kanony sztucznego języka literackiego i śmiało wprowadził do literatury turkmeńskiej język ludowy i ludowe formy poetyckie. Wielka jego zasługa polega też i na tym, że niemal całą swą twórczość związał z losami narodu, nadał jej głęboki sens społeczny i wychowawczy, uczynił ją narzędziem walki o zjednoczenie powaśnionych plemion turkmeńskich.

Działalność Machtumkulego przypada na ciężki dla ludu turkmeńskiego okres podbojów Nadir-szacha. Wydarzenia polityczne nasunęły mu myśl o potrzebie zjednoczenia narodowego i napełniły go troską o losy kraju, co znalazło głębokie odbicie w jego twórczości.

Machtumkuli dostrzegał sprzeczności ustroju społecznego w aułach, widział samowolę bogaczy, rozwiązłość mułłów, sprzedajność sędziów i rozumiał, że jedynie przez usunięcie niesprawiedliwości możliwe jest osiągnięcie odrodzenia politycznego Turkmenii. Ale co należało zrobić, aby niesprawiedliwość społeczną usunąć, tego poeta nie wiedział. Wycisnęło to piętno pesymizmu i smutku na wielu jego utworach.

Wiersze Machtumkulego rozpowszechniane przez pieśniarzy — bachszów przechodziły z ust do ust. W poetyce swej stosował jako formę zasadniczą tak zwane „godzgi", właściwe wszystkim literaturom turko-arabskim, polegające na związaniu strof w ramach każdego poszczególnego utworu jednym rymem, powtarzającym się w każdym ostatnim wierszu strofy. Z jednakowym mistrzostwem posługiwał się Machtumkuli siedmio, ośmio, jedenasto i czternastozgłoskowcem, cztero i pięciowierszową strofą oraz perską formą wiersza — gazelą.

W ostatniej strofie każdego utworu znajduje się zawsze imię poety lub jego pseudonim — Fragi, co znaczy: smutny, rozłączony.

Oceniając rolę, jaką w poezji turkmeńskiej odegrał Machtumkuli, poeta-satyryk Kemine powiedział: „Lud wyhodował bogaty urodzaj pieśni. Przyszedł Machtumkuli i zebrał żniwo dojrzałych słów. Cóż nam pozostało? Brodzić po rżysku i podnosić upuszczone kłosy".

Przekładu wierszy poniższych dokonałem na podstawie tłumaczeń rosyjskich M. Tarłowskiego, G. Szengeli, A. Tarkowskiego i S. Lipkina.

Niezniszczalne

Wiedz, że tworzę dzieła trwałe, jak księżyca krąg daleki,
Mój ojczysty kraj turkmeński, to swobodny kraj na wieki.

Zapomnimy o pokoju, jeśli wróg się na nas zwali,
Twierdza ludu turkmeńskiego — wiedz, to twierdza jest ze stali.

Dżemszid, Rustem i Sulejman mieczem chcieli dostać granic,
Sto tysięcy wojowników szach słał co dzień, — wszystko na nic.

Gdy żołnierze wzniosą tarcze, stają góry śród przestworzy,
Każde miecza uderzenie bohaterów nowych tworzy.

Teke, jomud, jazyr, goklen, achał — w jednym staną rzędzie,
Na wyprawę kraj wyruszy i różami płonąć będzie.

Irańczyków w przepaść skalną pozrzucaliśmy z przełęczy,
Jęk żałosny konających w dzień i w nocy w uszach dźwięczy.

Wróg, choć stanie pod murami, długo chwały nie zachowa,
Do niewoli nas nie weźmie — my nie znamy tego słowa.

Ale jeśli gość się zjawi, gościa ucztą się spotyka,
Fałszem, kłamstwem i obłudą gardzi mowa Turkmeńczyka.

Tak powiada Machtumkuli — dusza niczym nie splamiona,
Odkąd Bóg na niego spojrzał, — kwitną ziemi tej plemiona!

Na obczyźnie

W ojczyźnie mej szachem byłem,
Dla szachów postrachem byłem,
Dla bezdomnych cesarstwem byłem,
Dla cierpiących lekarstwem byłem,
Karą dla nieposłusznych byłem,
Duszą dla bezdusznych byłem,
Dziś słabszy jestem nawet od ptaka.

Dla ślepych oczami byłem,
Dla niemych ustami byłem,
Dla kochanki osłodą byłem,
Baśnią dla narodu byłem,
Dla ojczyzny orężny byłem,

Wielki byłem, potężny byłem,
Dziś nie ma uboższego śpiewaka.

W rajskich szatrach rajchanem byłem,
W skwarze dnia Zerawszanem byłem,
Dla jeźdźców — tulipanem byłem,
W górach mgłą i tumanem byłem,
Tam, w ojczyźnie, w dosycie trwałem,
Fragi — tam błogie życie miałem,
Dziś — któżby nad mym losem nie płakał.

Odpowiedz — odpowiadamy

Pytania Machtumkulego i odpowiedzi Durdy - szachira

— Kto jest pąsowy na starość i żółty kiedy jest młody?
Kto, chociaż nóg nie posiada, jak skoczek bierze przeszkody?
Kto siedmiokrotnie nurkując, pokona wzburzone wody?
Jeżeli jesteś szachirem, daj nam wyraźną odpowiedź! —

„Owoc pąsowy na starość i żółty jest, kiedy młody.
Wąż, chociaż nóg nie posiada, jak skoczek bierze przeszkody.
Śledź — siedmiokrotnie nurkując, pokona wzburzone wody.
Najniższy pokłon składając, odpowiedź naszą dajemy".

— Co to — skrzydłami trzepoce, ale myślenia unika?
Co to — ma kołnierz wysoki, ale mu brak napierśnika?
Co to — choć nie ma żołądka, swój żer codzienny połyka?
Jeżeli jesteś szachirem, daj nam wyraźną odpowiedź! —

„Motyl trzepoce skrzydłami, ale myślenia unika.
Całun ma kołnierz wysoki, ale mu brak napierśnika.
Cmentarz, choć nie ma żołądka, swój żer codzienny połyka.
Najniższy pokłon składając, odpowiedź naszą dajemy".

— Co tak jak w twierdzy chronimy, zawsze, bez chwili wytchnienia?
Co nie ma w murze pierścienia, a gorsze jest od więzienia?
Co to za wróg, co pożycza i z wrogiem pożyczki wymienia?
Jeżeli jesteś szachirem, daj nam wyraźną odpowiedź! —

„Serce jak w twierdzy chronimy, zawsze, bez chwili wytchnienia.
Grób nie ma w murze pierścienia, a gorszy jest od więzienia.
Księżyc od słońca pożycza, ze słońcem pożyczki wymienia.
Najniższy pokłon składając, odpowiedź naszą dajemy".

— Czym ciało może być syte, choć nie ma jadła i picia?
Jakie to słowa w dzień postu bywają godne użycia?
Z czyich to nóg tak okrutnie obdarto skórę za życia?
Jeżeli jesteś szachirem, daj nam wyraźną odpowiedź! —

„Pieszczotą ciało jest syte, choć nie ma jadła i picia.
Słowa modlitwy w dzień postu bywają godne użycia.
Z nóg Nesimiego okrutnie obdarto skórę za życia.
Najniższy pokłon składając, odpowiedź naszą dajemy".

— Kto siedem krajów przemierzyć potrafi w przeciągu doby?
Powiedz nam — czym oraz kogo tłuką na wszelkie sposoby?
Kto duchem nie mniej jest prosty od świątobliwej osoby?
Jeżeli jesteś szachirem, daj nam wyraźną odpowiedź! —

„Pasterze przez siedem krajów potrafią przejść w ciągu doby.
Kijami skóry baranie tłuką na wszelkie sposoby.
Koń-biegun duchem jest prostszy od świątobliwej osoby.
Najniższy pokłon składając, odpowiedź naszą dajemy".

— Może odpowiesz nam, kogo ogrojec rajski przywoła?
Kto przemykając się chyłkiem, w oczy nie patrzy ci zgoła?
Czego to w żadnym ubiorze nikt ukryć nigdy nie zdoła?
Jeżeli jesteś szachirem, daj nam wyraźną odpowiedź! —

„Jedynie wytrwałych w walce ogrojec rajski przywoła.
Złość przemykając się chyłkiem, w oczy nie patrzy ci zgoła.
Podstępu w żadnym ubiorze nikt ukryć nigdy nie zdoła.
Najniższy pokłon składając, odpowiedź naszą dajemy".

A braci nie ma

Brat mój, Abdulla, pojechał po stepach koczować,
Krwawy był bój... Inni wrócili. A brata nie ma.
Sapa do niego popędził od pęt go ratować;
Ci, co ruszyli w ślad, wrócili już. A braci nie ma.

Jeśli mnie karze los, chcę pojąć za jakie sprawy!
Kto wie, gdzie podziali się bracia, Boże łaskawy?
Dni i miesiące zbiegły; w polu zielone trawy
I barwne kwiaty wróciły już. A braci nie ma.

Ozdrowieli chorzy trawieni jadami złymi;
Powracają pasterze wraz ze stadami swymi;
Ciągnący do świątyń świętego miasta pielgrzymi
Jako chodżowie wrócili już. A braci nie ma.

Także inni, co odjeżdżali i przyjeżdżali
Braci mych nie spotkali: bracia zniknęli w dali;
I ci, co w Hindustanie byli i handlowali,
Sprzedawszy towar, wrócili już. A braci nie ma.

Dom jednego obrócił w gruzy piorun wysoki;
Ukochana drugiego łez wylewa potoki
Po wszystkich drogach. Pędzone wichrami obłoki
Płynąc po niebie, wróciły już. A braci nie ma.

Czyż ten, co upadł na ziemię, już z ziemi nie wstanie?
Oczy pełne mam łez, czyż radość nie spłynie na nie?
Ach, kalandar oszuka, gdy mu zadam pytanie...
Godziny uciech wróciły już. A braci nie ma.

Machtumkuli nie sypia z żalu i siły traci,
Pyta się ziemi o los swoich kochanych braci,
Lecz ziemia milczy! Tułacze z odległych połaci
Bez żadnych wieści wrócili już. A braci nie ma!

przełożył **Jan Brzechwa**

OBJAŚNIENIA

Dżemszid — legendarny szach starożytnego Iranu; według podania posiadał czarodziejską czarę, która odbijała wszystko, cokolwiek działo się na świecie.
Jomud, jazyr, goklen, take — plemiona turkmeńskie.
Kalandar — wędrowny derwisz.
Nesimi — jeden z wybitnych poetów azerbajdżańskich, urodzony pod koniec XIV stulecia, okrutnie zamordowany przez fanatyków religijnych, za przynależność do kierunku, pozostającego w opozycji do ortodoksyjnego islamu.
Rustem — bohater poematu Firdusiego „Szachname"; uosobienie męstwa.
Rajchan — wonna trawa, bazylia.
Sapa — imię męskie, które nosił zapewne jeden z braci Machtumkulego.
Sulejman — muzułmańskie imię króla Salomona.
Szachir — poeta.
Zerawszan — nazwa rzeki w Azji Środkowej, dosłownie — złotodajny.

Słowacki czy Pietrzycki?

W setną rocznicę śmierci Słowackiego przypomniałem zapomniany wiersz poety p. t. „Zapomnienie", napisany 26 lutego 1849 r. (Kuźnica, 1949, nr. 308). Wiersz ten po raz pierwszy ogłosił Jan Pietrzycki w „Nowej Reformie" w r. 1909 w nr. 148.

W świeżo wydanym tomie 1-szym *Dzieł Słowackiego* (Wrocław, 1949, str. 314) prof. Julian Krzyżanowski twierdzi, że „autentyczność tego utworu budzi poważne zastrzeżenia; przypuszczać można, że jest on niefortunnym hołdem Słowackiemu, ułożonym z jego wyrażeń i zwrotów". Wobec tych zastrzeżeń prof. Krzyżanowski pomieścił „Zapomnienie" jako wiersz domniemany poety nie w głównym tekście, lecz w dodatku.

W związku z tym pragnę nadmienić:

1) Ani w 1909 r. po ogłoszeniu wiersza tego przez Jana Pietrzyckiego (nie G. Pietrzyckiego, jak mylnie podał prof. Krzyżanowski), ani w 1949 r. po przypomnieniu go przeze mnie nikt nie wyraził wątpliwości co do autentyczności „Zapomnienia". W 1909 r. wzbudził ów wiersz ogólne zainteresowanie, czego świadectwem było kilka jego przedruków. Wprawdzie Pietrzycki nie podał źródła, z którego uzyskał „Zapomnienie", ale gdyby w r. 1909 ktokolwiek zainterpelował go, skąd wiersz wydobył, Pietrzycki niewątpliwie dałby zupełnie zadowalające wyjaśnienie, gdyż na postawienie takiego pytania musiał być przygotowany. Ale — powtarzam — nikomu wówczas nawet na myśl nie przyszło kwestionować autentyczność wiersza.

2) Nie można przypuścić, aby Jan Pietrzycki, wielki wielbiciel Słowackiego, człowiek poważny, nieskazitalnego charakteru, w zupełnie niezrozumiałym celu chciał podszyć się pod nazwisko Słowackiego. Nie dałoby mu to chyba żadnej satysfakcji. Hołd Słowackiemu złożył Pietrzycki w inny sposób, wydając własne wiersze pt. „Anhelli", „Derwid", „W rocznicę zgonu Słowackiego" (są one zebrane w mojej antologii utworów poetów polskich o Słowackim, Lwów, 1909).

3) Wspomniany wiersz pochodzi według wszelkiego prawdopodobieństwa z papierów Hipolita Błotnickiego, który utrzymując przez szereg lat przyjazne stosunki ze Słowackim, posiadał kilka listów i wierszy poety. Papiery po Hipolicie Błotnickim znajdują się obecnie w Bibliotece Czartoryskich w Krakowie, ale jako nieuporządkowane są na razie niedostępne (próby moje podjęte w r. 1949 w sprawie dotarcia do rękopisu nie odniosły rezultatu).

4) Zarzut prof. Krzyżanowskiego, że „Zapomnienie" jest złożone z wyrażeń i zwrotów Słowackiego, nie jest przekonywający. Nie zaprzeczając, że niektóre wyrażenia wiersza przypominają podobne zwroty poety z innych jego utworów, podkreślam, że w twórczości Słowackiego takie zjawiska dają się często zauważyć.

Zdaniem moim, autentyczność wiersza „Zapomnienie" nie budzi najmniejszej wątpliwości. Jestem głęboko przekonany, że po dotarciu do rękopisu wiersza w Bibliotece Czartoryskich okaże się słuszność mego twierdzenia. W rezultacie uważam, że „Zapomnienie" należało wydrukować w głównym tekście *Dzieł Słowackiego*, a nie jako wiersz domniemany w dodatku.

Wiktor Hahn

Na Śląsku rosną nowi ludzie

Książkę Aleksandra Ścibora-Rylskiego Węgiel*) należy uznać za dalszy, duży krok naprzód na drodze naszej młodej prozy do realizmu socjalistycznego, za pozycję, w której autorowi udało się szczęśliwie uniknąć wielu braków, jakie wytknięto torującym jej drogę utworom zeszłorocznych laureatów nagród państwowych.

Jakie są główne walory książki Rylskiego, w czym leży istota sukcesu osiągniętego przez jej autora?

Walorem podstawowym jest trafny wybór zagadnienia, trafne ujęcie najbardziej typowych konfliktów w jednej z najważniejszych dziedzin socjalistycznego budownictwa Polski współczesnej, w dziedzinie walki o wykonanie planu wydobycia węgla, podstawowej dla naszego gospodarczego zwycięstwa w walce o wykonanie Planu Sześcioletniego.

W sformułowaniu powyższym kryje się wyraźne stwierdzenie, iż chodzi nie tylko o sam temat, który — jak wiadomo — można niezwykle łatwo podjąć i zmarnować, ale także o to, co jest równocześnie ideowym i artystycznym jego rozwinięciem: o prawdziwą, socjalistyczną treść książki, jej pełny wyraz ideowy, osiągnięty przez zastosowanie odpowiednich środków artystycznych.

Książka Rylskiego — niezależnie od wszystkich usterek, o których mowa będzie niżej — posiada ową treść socjalistyczną i ów pełny wyraz artystyczno-ideowy. Służy skutecznie sprawie budowy socjalizmu w Polsce, sprawie wychowania nowego, socjalistycznego człowieka. Jest użyteczną i cenną bronią w walce o socjalizm.

Swą wartość artystyczno-ideową książka zawdzięcza w dużym stopniu atrakcyjnej formie, w jakiej została napisana: trafnie wybranemu i umiejętnie przeprowadzonemu wątkowi akcji, stworzeniu galerii żywo i plastycznie zarysowanych postaci, których zespół daje pełny i wielostronny obraz opisywanego środowiska, zwłaszcza zaś wprowadzeniu kilku udatnie zarysowanych postaci bohaterów pozytywnych, co pozwala autorowi w sposób umotywowany wewnętrzną logiką utworu i artystycznie przekonywający, nie zaś sztucznie deklaratywny, głosić i wyrażać w działaniu zwycięską ideologię socjalizmu, nadać książce żar ideowej namiętności, rozpalić w niej płomień rewolucyjnego romantyzmu budownictwa socjalistycznego.

Przesłanką tych osiągnięć: trafnego wyboru podstawowych zagadnień, które złożyły się na główny wątek akcji, trafnej na ogół charakterystyki środowiska poprzez zarysowane sylwetki ludzkie oraz trafnego ustawienia postaci bohaterów pozytywnych — jest partyjność postawy pisarskiej autora, spojrzenie na opisywanych ludzi i opisywane zdarzenia ze stanowiska ideowo słusznej ich oceny: spojrzenie klasowe, wolne od iluzji obiektywistycznych, hierarchizujące poszczególnych ludzi i poszczególne sytuacje z jedynie słusznej perspektywy walki o zwycięstwo socjalizmu.

Na czym polega partyjność postawy pisarskiej Rylskiego? Głównym wąt-

*) Aleksander Ścibor-Rylski Węgiel — Książka i Wiedza, Warszawa, 1950, str. 295.

kiem powieści jest przemiana zaniedbanej i niewykonującej planu kopalni Anna - Weronika w kopalnię przodującą, owianą duchem socjalistycznego współzawodnictwa, wychowującą nowego człowieka. Przemiana ta odbywa się w starciu ludzi nowego i starego typu, starych i nowych metod pracy, metod postępowania z ludźmi, kryteriów oceny ich działalności.

I tu zaznaczyć trzeba dwie rzeczy wagi zasadniczej. Po pierwsze — tematem książki jest praca, produkcja, wydobycie węgla, ale bohaterami jej są ludzie. Opis technicznych procesów produkcji, nigdy i nigdzie nie przesłania Rylskiemu obrazu człowieka, sprawcy dokonywających się przemian. Po drugie, postaci ludzkie występujące w powieści są żywe, nie schematyczne, mają bogaty zasób cech indywidualnych, są ciekawie zróżnicowane pod względem psychologicznym. Zasadnicze starcia i konflikty, które pomiędzy nimi zachodzą — zwłaszcza w głównym wątku akcji powieści — nie są jednak tylko konfliktami psychologicznymi, ale także klasowymi. Klasowy charakter konfliktów zasadniczych, dotyczących tego, co stanowi główną treść życia bohaterów powieści, ich pracy i walki, sprawia, że towarzyszące im konflikty o podłożu wtórnym, psychologicznym, starcia charakterów ludzkich, zostają słusznie w toku rozwoju sytuacji podporządkowane klasowemu ujęciu rzeczywistości. Bądź ujawniają swe ukryte, klasowe oblicze, bądź też — w procesie wyrastania nowego człowieka socjalistycznej epoki — zostają przezwyciężone, ulegają likwidacji.

Główny konflikt pomiędzy dwiema grupami głównych bohaterów powieści polega na przeciwstawieniu sobie dwu zasadniczych i zasadniczo różnych poglądów na człowieka, na sens jego pracy i jego istnienia. Dyrektor Zabielski, inżynier Prosty, kierownik wydziału finansowego kopalni, Rymkiewicz, robotnicy-bumelanci Alojz Dąbrowski i Kroeger, jawni lub ukryci, świadomi i nieświadomi wrogowie nowego, które wyrasta na kopalni, — niezależnie od różnic psychologicznych — reprezentują tę samą ideologię negacji i niewiary w godność i twórczą moc człowieka, w wartość ludzkiego wysiłku. Rządzi nimi egoizm klasowy lub egoizm jednostek, które zdradzają własną klasę, otwarta wrogość względem rodzącej się nowej rzeczywistości, bądź — jak u dyrektora Zabielskiego — wrogość ukryta i nie zawsze świadoma, objawiająca się jako nieuleczalna słabość, jako manifestowana na każdym kroku niewiara, że człowiek jest podmiotem wydarzeń, czynnym sprawcą, odpowiedzialnym za rzeczy złe i dobre, które się dzieją. Jest to krótkowzroczne przekonanie, iż powodzenia i niepowodzenia na kopalni są dziełem ślepego przypadku lub niezawinionej ludzkiej pomyłki, a nie wynikiem świadomego, klasowo słusznego, lub — odwrotnie — celowo wrogiego działania.

Z drugiej strony wicedyrektor Migoń, sekretarz kopalnianej Podstawowej Organizacji Partyjnej, Brzoza, grupa partyjnych robotników: Kokot, Rutka, Bracik i Jędraszko oraz wyrastający przy nich bezpartyjni ich towarzysze: Felek Dąbrowski, Łapok, Mielimąka, inż. Szerszeń czy Truda Kroeger — to bądź świadomi przedstawiciele ideologii walki i wiary w człowieka, w wartość jego świadomego wysiłku, by rzeczywistość przekształcić, wzbogacić, uczynić piękniejszą i lepszą, bądź ludzie różnymi drogami dochodzący do tej ideologii.

Droga, jaką dochodzą oni do niej, nie jest prosta. Osiągnięciem pisarskim Rylskiego jest pokazanie w sposób plastyczny i obrazowy, na przykładach ty-

powych, ale zarazem ciekawie zróżnicowanych, zarówno indywidualnych ścieżek ich losów, jak tego, co ich łączy, ich wielkiej wspólnej drogi do socjalizmu. Partyjność postawy pisarskiej Rylskiego polega na trafnym klasowym ustawieniu zarówno zasadniczego problemu wielkiej przemiany, do jakiej dochodzi na kopalni Anna-Weronika, jak poszczególnych, indywidualnych konfliktów, jakie na tym tle się rozgrywają.

Trafnie ukazana została postać nowego wicedyrektora, byłego robotnika z przodującej kopalni Zabrze, przodownika pracy, podporządkowującego sprawy mniej ważne zasadniczemu zagadnieniu walki o wykonanie planu na kopalni, sądzącego ludzi według istotnej wartości ich pracy, obcego konwenansom i niedającego wziąć się na lep czyhających nań z racji zajmowanego stanowiska pokus.

Trafnie i plastycznie przedstawiona została szkodliwość postawy obojętnego i obcego sprawom kopalni, choć ujmującego towarzysko, dobrego i poczciwego dyrektora Zabielskiego. Konflikt tych dwóch kierowników pracy na Annie-Weronice ujęty został w sposób słuszny i partyjny.

A przecież w ustawieniu tych dwóch postaci, z których jedna jest niewątpliwie bohaterem pozytywnym, zdobywa naszą sympatię, druga zaś zdecydowanie staje we wspólnym szeregu z wrogami klasy robotniczej — nie ma nic schematycznego! Materiał do niej jest wzięty z życia. Moglibyśmy doskonale wyobrazić sobie książkę z okresu dwudziestolecia, w której postać dyrektora Zabielskiego, z tymi samymi cechami, jakie posiada, byłaby bohaterem pozytywnym: człowiek inteligentny, pełen kultury, humanitarny, nie ciasny, nie fanatyczny i w której Migoń — „fanatyk", nieokrzesaniec, zaniedbujący żonę i dziecko, pozbawiony poczucia humoru w wąskim, snobistyczno „inteligenckim" rozumieniu tego słowa, byłby ośmieszony, przedstawiony jako typ ujemny. Taka książka musiałaby oczywiście mieć zupełnie inną problematykę niż Węgiel, nie mogłaby być książką socjalistyczną, musiałaby być utworem głęboko reakcyjnym. Tak samo mogłaby powstać książka mieszczańsko-inteligencka, obiektywistyczna, w której autor hamletyzowałby w ocenie postaci Zabielskiego i Migonia, psychologicznie usprawiedliwiał postępowanie każdego z nich. Ileż materiału dostarcza tu na przykład problem humanitaryzmu, zagadnienie karania robotników za przekroczenia!

Rysuję obraz tych możliwości dlatego, że w ich świetle widać wyraźnie, iż postawa Rylskiego jest z jednej strony postawą realisty, który nie ułatwił sobie zadania, nie zrezygnował z nadania bohaterom indywidualnych cech ludzkich, mogących być przedmiotem różnych klasowych osądów, z drugiej strony zajął w stosunku do nich postawę w pełni partyjną.

Trafnie uwydatniona została w książce Rylskiego — jak zauważył w Nowej Kulturze w swojej recenzji z Węgla Lasota — rola organizacji partyjnej oraz właściwy charakter ruchu współzawodnictwa i walki o przełom w produkcji. Słusznie podkreślił on, że partia, jej przodująca rola w walce toczonej na Annie-Weronice, uwidoczniona została „nie poprzez publicystyczne deklaracje, lecz przez konkretne działanie jej przedstawicieli", bohaterów-partyjników — Migonia, Brzozy, zespołu Kokota i jego towarzyszy. Pokazana została nie tylko w działaniu na terenie kopalni, w codziennej walce o nowe oblicze jej zespołowego wysiłku i w decydujących momentach niebezpieczeństwa (wypa-

dek pożaru), ale także — cytuję Lasotę — w roli „troskliwego i czujnego opiekuna wszystkich ludzi pracy“, siły niosącej pomoc słabym i cierpiącym, ingerującej, jeśli zajdzie tego potrzeba, w osobiste życie i trudności ludzkie.

Walkę o przełom w produkcji i o rozwój akcji współzawodnictwa, stanowiącą główny konflikt w powieści, pokazano słusznie jako ruch rodzący się w masach robotniczych, będący wynikiem procesu zachodzących w nich przemian społecznych, jako inicjatywę przodujących ideowo robotników w kopalni.

Wreszcie trafnie przedstawiony został proces różnicowania się w toku walki klasowej masy robotniczej na kopalni, proces ideowego dojrzewania jednostek takich jak Łapok, Felek Dąbrowski, Karlik Mielimąka, Truda Kroeger. Pokazane zostało jak ludzie ci, ulegający rozbieżnym oddziaływaniom środowiska, pod silniejszym ideowo i zwycięskim wpływem ideologii partyjnej przełamują się i dojrzewają wyrastając jak Łapok na prawdziwych bohaterów pracy.

Partyjność postawy pisarskiej Rylskiego znalazła także przeważnie — choć nie wszędzie — wyraz w sposobie autorskiej oceny postępowania bohaterów w życiu osobistym, w sposobie rozstrzygania przez autora licznych pobocznych wątków powieści. Socjalistyczna moralność bohaterów książki przejawia się w postępowaniu Migonia, który rezygnuje z dyrektorskiej willi, oddając ją zetempowcom na świetlicę, sekretarza Brzozy, który jedzie w nocy odwieźć rodzącą żonę robotnika Pielki do szpitala, a w czasie pożaru nie waha się ani chwili, kiedy trzeba z narażeniem życia zejść do ogarniętej ogniem kopalni. Przejawia się ona także w odejściu Trudy Kroeger od męża, bumelanta i sprawcy pożaru w kopalni, w autorskiej ocenie małżeńskiego konfliktu Migonia, a nawet w ostatecznym zarysowaniu losów małżeństwa ponurego Jędraszki, mimo jego w zasadzie niesłusznego postępowania z żoną, oraz w losie, jaki spotyka lekkomyślnego Zeflika Horbalę.

Cała książka Rylskiego jest przesycona atmosferą żarliwości, żarliwej walki o określoną postawę moralną. Konflikty i postaci w niej ukazane nie są autorowi obojętne i nie mogą pozostać obojętne dla czytelnika.

Jak już usiłowałem pokazać na przykładzie Migonia i Zabielskiego, zajęcie przez autora określonej i wyraźnej postawy w zarysowanych konfliktach łączy się z realistycznym rysunkiem postaci i środowiska, nie jest równoznaczne z ułatwianiem sobie zadania i naginaniem rzeczywistości do własnego stanowiska, z przechodzeniem do porządku dziennego nad trudnościami i konfliktami, jakie rzeczywistość stwarza.

Widzimy w Węglu bohaterską walkę zespołu ludzi, którzy w ogniu jej wyrastają, widzimy prawdziwych bohaterów socjalizmu — Migonia, Brzozę, Łapoka i innych, widzimy wielkie przemiany na kopalni i w życiu osobistym ludzi wrastających w socjalizm, ale dostrzegamy też i odważnie pokazane trudności: wagę problemu budownictwa mieszkaniowego, klęskę biurokracji opóźniającej wypłatę premii i zarobków robotnikom, perfidną robotę wroga klasowego, jakim jest nie tylko znienawidzony przez robotników inżynier-rutyniarz i urzędnik-biurokrata, nie tylko były agent defensywy, złodziej i bumelant, ale i autorytet drobnomieszczaństwa, przebiegły „farosz“, zniechęcający górników do przedszkola, w którym nie ma „paciorka“, i wyrzucający na bruk robotników z własnej kamienicy.

Czy bogata galeria postaci w powieści Węgiel daje nam pełny i bezbłędny obraz środowiska? Czy w akcji nie pominięto jakichś spraw o znaczeniu zasadniczym? Nie sądzę, aby do takich zasadniczych pominięć należało wytknięte marginesowo przez Lasotę, a wysunięte jako zarzut zasadniczy w bardzo niesłusznej i demagogicznej recenzji Niziurskiego we Wsi — „niepokazanie, jak realnie w ciągu czterech lat władzy ludowej w najrozmaitszych dziedzinach zmieniło się życie robotnika".

Choć problem „przemian w nadbudowie" nie stanowi głównej osi powieści, występują one bardzo wyraźnie jako tło w obrazie środowiska: w zmianie warunków pracy i stosunku do pracy, w warunkach mieszkaniowych i w życiu rodzinnym, w roli, jaką w życiu robotnika zaczyna odgrywać praca partyjna, polityczna i społeczna (wyjazdy ekip robotniczych na wieś), lektura (Jędraszko), rozrywki kulturalne (życie Kokotów), świetlica czy przedszkole.

Nie wolno krytykowi zawężać zagadnienia typowości przez wymaganie od pisarza, aby w każdej książce mówił w równym stopniu o wszystkim, aby wszystko w niej zmieścił. Sprawa doboru środków artystycznych dla wyrażenia zasadniczego zjawiska przemiany w życiu ludzi tworzących socjalizm, sprawa tego, czy pokazana ona została przede wszystkim na tle warsztatu pracy i w życiu rodzinnym, czy też na tle działalności społeczno-kulturalnej — nie może być przedmiotem pretensji krytyki. Co zaś do naruszenia pewnych proporcji, to wydaje mi się, że nie ma na nią w powieści realizmu socjalistycznego przepisu tak absolutnego, jak na proporcje mąki i cukru w babce wielkanocnej.

W książce Rylskiego istnieją niewątpliwie, zwłaszcza w języku, pewne akcenty i naleciałości naturalistyczne. Byłoby wszakże jednostronnością określać ogół jej usterek jako jakąś tendencję do naturalizmu. Pojęcie naturalizmu ma określone znaczenie, pod które większości tych usterek nie da się podciągnąć. Niedociągnięcia ideowo-artystyczne książki Rylskiego leżą przede wszystkim w nie dość miejscami pogłębionym realizmie utworu, w niedostatecznym psychologicznym umotywowaniu pewnych sytuacji i postaci, w nie dość sprawnym posługiwaniu się zarówno bogatym zasobem realiów życiowych, jakie zgromadził autor, jak realiów językowych. To nie dość sprawne operowanie materiałem życiowym i językowym powoduje, że autor czasami wpada istotnie w jakieś przejaskrawienia, które można by nazwać naturalistycznymi. Obok nich zwracają jednak również uwagę krytyka pewne uproszczenia i schematyzmy, które z naturalizmem nie mają nic wspólnego.

Rylski wykazał w swej powieści — niezależnie od jej niedociągnięć — duży talent powieściopisarski. Umie on prowadzić bogatą i różnorodną akcję powieści, splecioną z wielu wątków, nie gubiąc żadnego z nich. Umie nią zainteresować czytelnika i utrzymać w napięciu jego uwagę. Umie charakteryzować ludzi nie drogą opisu ale w działaniu. O postaciach jego powiedziano już, że są plastyczne, że zapadają w pamięć. Wydaje mi się, że zapadają właśnie dlatego, że je Rylski ukazuje w działaniu, że nie bawi się w opisowe charakterystyki. Tym wyraźniej, tym jaskrawiej, przy plastyce tych postaci oraz wyrazistości sytuacji, w których występują, uwydatniają się takie luki, jak brak psychologicznej motywacji dramatu osobistego życia głównego bohatera książki — Migonia, jak niedość przekonywająca motywacja postępowania bohaterów negatywnych, któ-

ra, jak słusznie wytknął Lasota — staje się do pewnego stopnia brakiem ideowym powieści, gdyż w gruncie rzeczy nie wiemy konkretnie, na czym polegała robota wroga, czy była zorganizowana i kto jaką rolę w niej spełniał.

Rozpatrzmy oba zarzuty po kolei. Migoń, pozytywny bohater, główna sprężyna wielkiej przemiany w kopalni Anna-Weronika, człowiek o mocnej woli i charakterze — jest nieszczęśliwy w pożyciu rodzinnym. Żona jego jest kobietą głupią, próżną i niedobrą, której w dodatku uderza do głowy dyrektorstwo męża. Zjawisko życiowe i prawdopodobne. Nieprawdopodobne wydaje się natomiast, aby człowiek tego typu co Migoń był w domu jednostką absolutnie bierną, pozwalającą ulegle niszczyć dzieciństwo ukochanego syna, aby nie reagował na psujące mu opinię postępowanie żony. W postępowaniu Migonia występuje niewyjaśniona sprzeczność. Nie chodzi o konflikt życiowy — jak zaznaczyłem — i prawdopodobny, ale o psychologiczną motywację postępowania Migonia w domu: jest ona nie wystarczająca. Człowiek ten w naszym odczuciu mógłby w życiu osobistym ponosić klęski, ale musiałby się jakoś buntować: nieprawdopodobną psychologicznie wydaje się jego bierność. Dlatego mimo wyraźnej sugestii autora, że pod wpływem perswazji sekretarza partii Migoń zerwie z żoną — mamy wątpliwości, czy to uczyni. Gdybyśmy mieli na kartach książki dowód, że w życiu osobistym potrafi on postępować w sposób choć w części tak stanowczy, jak na kopalni — wierzylibyśmy. Tego dowodu brak.

Wątpliwości budzi też sprawa bohaterów negatywnych. Inżyniera Prostego nienawidzą robotnicy. Nie chce on słuchać ich rad, nie chce usprawnić pracy na kopalni, nie wierzy w możliwość zmian. I jego, i Rymkiewicza drażni fakt, że przyszedł nimi rządzić i kierować ich pracą robotnik bez fachowego wykształcenia: to zdaje się być głównym motywem ich postępowania. Czy to wszystko? Rymkiewicz jest wyraźnie wrogo nastawiony do partii. W rozmowie z dyrektorem Zabielskim (str. 250) sugeruje, że „partia prześladuje niektórych ludzi". Czy nie należało pokazać i rozwinąć toku myśli i rozumowania, co więcej, przebiegu działania wroga, sprężyn tego działania? Nie po to, oczywiście, aby wszystko kłaść czytelnikowi łopatą do głowy: to nie jest potrzebne. Po to jednak, aby uwyraźnić tę sylwetkę, o której w końcu nie wiemy, czy jest tylko durniem i biurokratą (w takim razie może UB niesprawiedliwie go aresztowało?) czy wrogiem działającym w sposób świadomy i zorganizowany.

Spośród ciekawie zróżnicowanych postaci robotników pewne wątpliwości budzi postać negatywna Kroegera i nawracająca się na dobrą drogę, w rezultacie pozytywna, postać Mielimąki. Zastanawiając się nad nimi mamy wrażenie, że autor nie wyjaśnił dostatecznie zagadnienia bumelanctwa. To, że czołowym bumelantem jest Alojz Dąbrowski, pijak i degenerat, uwikłany w sidła nałogu, tłumaczy się całkowicie. Początkowe bumelanctwo syna jego, Felka, wyjaśnia się również demoralizującym wpływem ojca. Natomiast fakt, że w pewnym momencie bumelantem okazuje się Mielimąka trudno wytłumaczyć tylko tym, że ma on złe warunki mieszkaniowe. Wolelibyśmy, aby Rylski pokazał szerzej życiowe przyczyny tego, że ludzie w rodzaju Mielimąki nie przykładali się do pracy. W rzeczywistości przyczyną taką mógł być na przykład niekiedy łatwy zarobek poza kopalnią, jakieś wyjazdy na handel. Jeżeli Mielimąka mieszkał w norze, to nie opuszczał chyba pracy tylko ze zniechęcenia, ale może dlatego, że usiłował jakoś się

życiowo urządzić, wyszukać sobie mieszkanie. Mało jest ludzi, którzy nie pracują dlatego, że im się po prostu nie chce. Przeważnie mają w tym „swój interes". Brak pokazania tej gry interesów razi także w całym postępowaniu Kroegera. Kroeger poza tym, że jest gnuśny i leniwy, powinien kierować się również jakimiś pobudkami osobistego interesu, tymczasem zdaje się on działać cały czas wbrew nim. A przecież na ogół bardzo mało jest takich ludzi, którzy nie dbają o własny interes wówczas, kiedy nie powoduje nimi jakaś wyższa idea, jakiś interes ogólny.

Konsekwencją niepokazania realnych, klasowych (chodzi w tym wypadku o zdradę własnej klasy) motywów postępowania Kroegera jest następujący dość nagle i niejako na wiarę czytelnika podany psychologiczny moment odejścia odeń kochającej go żony. Nie rzuciła go przecież ze względu na jego charakter, który znała i przedtem, ale ze względu na przepaść ideową, jaka wytworzyła się między nią a mężem. Zrozumialsze byłoby to wtedy, gdyby otworzyły się jej oczy na to, co Kroeger przed nią maskował. Gdyby jego postawa, postawa wroga klasowego, miała swoją szerszą motywację. W charakterze Rymkiewicza i Prostego brak główny polega także na tym, że w ich działaniu nie został pokazany ich interes własny, w tym wypadku interes wyraźnie klasowy.

Jest znamienne, że Rylski jest na ogół o wiele lepszy w dialogu, w akcji, w pokazywaniu konfliktów niż w opisie, że ma wyraźny nerw dramatyczny. Stąd, a nie ze skłonności do naturalizmu wynika, że wątki dramatyczne, posiadające wyraźny konflikt, wychodzą u niego zdecydowanie lepiej niż wątki epickie czy liryczne, że historia małżeństwa Jędraszków i Zeflika Horbali jest u niego bardziej interesująca niż opis szczęścia małżeńskiego Kokotów, którego się po pierwszym czytaniu nie pamięta. U Kokotów nie ma konfliktów. Początkowa „pobłażliwość" autora wobec uwodzicielstwa Zeflika Horbali ma u Rylskiego swój artystyczny sens, służy uprawdopodobnieniu konfliktu, choć może za mało wyraźnie zaznaczone jest odcięcie się autora od „fatalistyczno-biologicznej" — jak ją nazwał Lasota — „filozofii życiowej" Zeflika. O tym „odcięciu się" mówi wprawdzie później smutny los, jaki autor Zeflikowi gotuje, być może jednak należało wyraźniej podkreślić głupotę i płytkość tego wesołka, budzącego początkowo wyraźną sympatię czytelnika. Bardzo wzruszające jest natomiast rozwiązanie konfliktu małżeńskiego Jędraszków, mimo pewnego uproszczenia psychologicznego, jakie się w nim kryje. Myślę, że jest to uproszczenie celowe, ideowo i artystycznie uzasadnione.

Wydaje mi się, że pewne naturalistyczne przejaskrawienia w charakterystyce postaci wynikają właśnie z faktu, że Rylski gorzej radzi sobie z opisami niż z konfliktami i akcją. Robi wrażenie, że chce on, charakteryzując ludzi, przełamać niebezpieczeństwo szablonu i wpada w przeciwną skrajność, w pewne dziwactwo. Tu należą naturalistyczne charakterystyki — Kokota, podobnego do „pająka o wyłupiastych oczach", inżyniera Szerszenia, który jakoś tam śmiesznie ciągnie nogi za sobą, inżyniera Pokrzywnickiego, który będąc dobrym inżynierem, musi być przy tym — nie wiadomo dlaczego — nieapetycznym brudasem.

Tę samą genezę — rezygnacji z opisu na rzecz akcji ma zapewne skąpe wykorzystanie w powieści sugestywnych elementów śląskiego krajobrazu, których szersze uwzględnienie niewątpliwie przyczyniłoby się do jej wzbogacenia.

Pisząc Węgiel Rylski wykonał ogromną pracę zapoznania się z dużym, bogatym i ciekawym środowiskiem. Trudno było mu przy tym ustrzec się całkowicie od sugestii pewnych narzucających się, choć powierzchownych cech tego środowiska. Opanował jego język w stopniu dostatecznym, aby przy jego pomocy nadać książce pewien autentyczny koloryt gwarowy, ale nie w tym stopniu, aby uodpornić się przeciw niepotrzebnym językowym naleciałościom gwary śląskiej, jakimi są germanizmy. Usterki językowe książki Rylskiego polegają poza tym na niedostatecznym oczyszczeniu książki z pośpiesznej dziennikarszczyzny. Czasem, zwłaszcza w pierwszej części powieści, autor doczepia wprowadzonym do akcji postaciom niepotrzebne etykietki charakteryzujące, jak gdyby nie dowierzając własnej realistycznej metodzie i charakterystyce zawartej w samej akcji.

Biorąc pod uwagę wszystkie usterki Węgla nie możemy jednak tracić z oczu właściwej, zasadniczej perspektywy oceny książki, której błędy wynikają w dużej mierze z niedostatecznego jeszcze opanowania pisarskiego rzemiosła przez jej autora, są o wiele mniej istotne od jej osiągnięć, poważnych i zasadniczych. Książka Rylskiego jest pierwszym utworem, który w sposób równie pełny, bogaty i wielostronny w naszej literaturze powojennej pokazuje największe w Polsce środowisko przemysłowe — Śląsk i zasadnicze zagadnienia pracy i ludzi w tym środowisku.

Książka ta posuwa zdecydowanie naprzód sprawę literatury realizmu socjalistycznego, daje bogaty i ciekawy obraz warunków, w jakich wyrasta w Polsce nowy człowiek socjalistyczny. Jest ważnym przyczynkiem do zagadnienia kształtowania się narodu socjalistycznego. Jest książką ważką i cenną, która pobudza nas do dalszego wysiłku, pokazując, że przed pisarzem współczesnym stoi otwarta droga realnego uczestnictwa w wielkim dziele budowy Polski socjalistycznej.

Ryszard Matuszewski

WŚRÓD KSIĄŻEK

TEODOR BUJNICKI: *Wybór wierszy*. Przedmowa Józefa Maślińskiego. Czytelnik, Warszawa, 1950; str. 68.

Teodor Bujnicki zginął w r. 1944 zamordowany skrytobójczo jako jeden z organizatorów Związku Patriotów Polskich. Zginął z ręki „działacza wolnościowego" inspirowanego przez obóz londyński i miejscowe skrajnie reakcyjne sfery burżuazyjne. Zabójcy byli kontynuatorami ideologii środowiska, które w czasach pobytu Bujnickiego w Wilnie nazywało go „Dorkiem". Gdy zjawili się w jego mieszkaniu, aby wykonać „wyrok", zapytali: „Czy Dorek jest w domu?". Samo to koleżeńskie zapytanie uwidocznia jasno, jak poważnym zmianom musiał ulec poeta, który w latach trzydziestych uważany był za „czystego liryka", estetę i jednego z czołowych poetów inteligencji wileńskiej.

Jednak niepotrzebnie Józef Maśliński w przedmowie do wydanego ostatnio Wyboru wierszy Bujnickiego sugeruje, że przedwojenna twórczość tego poety jest „dokumentem inteligenckiego rozdarcia". Gdy czytamy dwa tomy Bujnickiego — Po omacku i W połowie drogi — wolno nam stwierdzić, że zarówno przedmowa do Wyboru jak i redakcja tegoż nie pokrywają się w pełni z prawdziwym obrazem twórczości poety i narzucają czytelnikowi błędny sąd o jednym z niewielu pisarzy dwudziestolecia, którzy nadal w przeważającej części swej twórczości pozostali nam bliscy. Nie twierdzę, że autor przedmowy odmawia Bujnickiemu uznania. Jednak wybór utworów jest stanowczo niewłaściwy i idzie po linii pretensjonalnej przedmowy, klasyfikującej Bujnickiego jako „poetę czeczotkowych kanap" i salonów burżuazyjnych. Dalej: podział tomu na cykle: Moje wojaże, Liryki, Wiersze okupacyjne, Satyry i Wiersze społeczne nie tylko jest kontynuacją obcego nam dzielenia poezji na lirykę „społeczną" i „osobistą", ale również dezorientuje czytelnika w chronologii powstawania utworów i nie pozwala na dokładną obserwację rozwoju poety. W ramach tego błędnego układu widzimy błędnie dobrane utwory. Dlatego w uwagach o wierszach Bujnickiego, które czytelnik poniżej odczyta, trzeba będzie często odbiegać od Wyboru wierszy i sięgać do przedwojennych jego tomów oraz do czasopism, które zamieszczały utwory poety.

Jest rzeczą bardzo znamienną, że Bujnicki (podobnie jak bratni mu Tadeusz Hollender) nie uległ żadnemu z licznych w okresie dwudziestolecia kierunków formalistycznych. Przeciwnie. Jego poezja nawiązująca do klasyków (Mickiewicz, Puszkin, Heine), do Jesienina i Błoka, była od początku przystępna i formalnie jednoznaczna. Lecz nie tylko ten moment warunkuje nasze zainteresowanie twórczością Bujnickiego. W latach od 1930 do 1939 r. Bujnicki napisał szereg wierszy, które dzięki uchwyceniu aktualnych problemów, dzięki niezwykle trafnej ocenie zjawisk społeczno-politycznych, dzięki sile artystycznej argumentacji przetrwały do dnia dzisiejszego. Utwory z tomów Po omacku (1933) i W połowie drogi (1937) potwierdzą tę opinię.

Poeta usilnie szukał drogi, która wyprowadziłaby go z kręgu wstecznej

prorządowej, artystowskiej ideologii środowiska, bronił się przed biernością i czuł (jeszcze nie wiedział), że w klasie robotniczej znajdzie sojusznika i opiekuna. W wierszu Upał pisze:

Nieznośnie duszno. Czyż można dłużej?
Ta wieczna drzemka, fałszywy spokój.
Kiedyż się wreszcie niebo zachmurzy,
by nas oczyścić w promieniach burzy,
obmyć w ulewy potoku? —

Surowy i wzruszający element samokrytyczny zawiera wiersz Majakowski:

Wam
maszynistom
palaczom wszechświata
rzucającym
pod kotły
krzyk ramion
wołającym
z estrady
z trybuny
z plakatów
po tysiąckroć
sprzedanym
za tanio;
Wam
idącym na czele
na cel dla bateryj
przez ulice
w obrożach barykad —
— — — — — — — —
... naszem życiem
rzuconym przed siebie jak piłka
oddajemy to,
cośmy wam dłużni.

Wręcz radykalne akcenty zawierają wiersze, w których poeta rozprawia się z oddaną sanacji literaturą (Wiersz o poecie, ...Byczo jest, mój poeto) oraz utwory związane ściśle z problemami społeczno-ekonomicznymi. Obronę wyzyskiwanego chłopa i walkę z obszarnictwem podejmuje m. i. w Północy i We mgle. Północ jest przejmującym opisem nędzy chłopa, drugi z wymienionych wierszy uderza jasnością politycznego spojrzenia i trafną analizą obszarnictwa.

...Zasypiacie spokojnie pod namiotem nocy
właśnie wtedy, gdy nam jest najtrudniej.
Gdy zdzieramy bandaże z ran niezabliźnionych
i krzyczymy, krzyczymy skamlącym skowytem;
zanim wpłynie do okien ranek okrwawiony
by nowy dzień obwieścić szczęśliwym i sytym.
(We mgle)

Poeta oskarżał militaryzm, piętnował politykę terroru władz sanacyjnych, wzywał społeczeństwo do pokojowej, przyjaznej współpracy ze wszystkimi narodami, solidaryzował się z Hiszpanią walczącą z faszyzmem. Problematyce tej poświęca utwory Godzina 2.45 (pacyfistyczna wypowiedź inteligenta o pesymistycznej poincie) Wbrew, Wiersz na rewolucję w Hiszpanii i III część Pieśni o ziemi naszej. Fragment tego poematu, który chciałoby się w całości zacytować, zawiera następujące strofy, których wymowa jest niedwuznaczna:

Wytłumaczysz mi mądrze o wszystkich zakusach
o przodkach o przedmurzach i misjach dziejowych
i powiesz słowo Moskal powiesz słowo Prusak

i odnajdziesz krew wrażą w tych
wyblakłych słowach.

Ja nic ci nie odpowiem bo mi w nicość
runął
ten piękny gmach z papierków
gałganków i blaszek.
Głuchym jak wybuch bomby akordem
na strunach
kończę niedokończoną pieśń o ziemi
naszej.

Wbrew jest ostrym atakiem na wszystkie komórki i sprężyny faszystowskiego reżimu: na sądownictwo, policję, dygnitarzy, posiadaczy i finansistów, kler, kłamliwą propagandę. Ten dominujący w twórczości przedwojennej Bujnickiego polemiczny, demaskatorski nurt znajdował bogate uzupełnienie w satyrach. Jego satyry, często niepozbawione nuty tragiczności sięgały do aktualnych zagadnień, a ich walory formalne, będące kontynuacją osiągnięć Heinego i Puszkina, wzmacniały ich doniosłe znaczenie społeczne.

Dobrze się stało, że redaktor Wyboru wierszy Bujnickiego dość obficie uwzględnił twórczość satyryczną tego poety, bo liryka — jak już wspomnieliśmy — została przedstawiona z niewłaściwej strony. Z omawianych powyżej utworów zostały przedrukowane tylko trzy: Wbrew, ...Byczo jest, mój poeto i Wiersz na rewolucję w Hiszpanii. Ton nadaje książce ta tak zwana „liryka osobista". Dlaczego redaktor tomu nie zamieścił szeregu pięknych wierszy z przedwojennych zbiorów Bujnickiego, a przedrukował wiele nieuwzględnionych w tych tomikach, rzucających błędne światło na całokształt twórczości poety — nie wiadomo. Nie twierdzę, że Bujnicki był marksistą, nie twierdzę, że nuty pesymizmu, zagubienia, nawet katastrofizmu nie pojawiały się w jego poezji. Niemniej jednak wyrządzamy krzywdę poecie, gdy nie udostępniamy dzisiejszemu czytelnikowi tej części jego twórczości, która była wyrazem walki twórcy ze swymi nawykami, z wrogim mu środowiskiem, z ideologią ówczesnych klas panujących.

Lata okupacji — jak pisze Maśliński — były przełomowym okresem w kształtowaniu się świadomości ideowo-artystycznej Bujnickiego. Istotnie. Wiersze z lat 1939—1943 cechuje radykalna krytyka przeszłości oraz gorące poszukiwanie przyszłych dróg dla odrodzonego — jak wierzył — społeczeństwa, nowej kultury w nowym ustroju rozwijającego się człowieka. Dziś widzimy, jak pełne słusznej wiary były jego słowa, gdy szukając swego miejsca w odrodzonej Polsce, pisał w wierszu Ars poetica:[1])

Czy potrafiłeś patrzeć na czyny
i rzeczy,
Czyś już dojrzał w wysiłku, pracy
i ocenie?
Czy wiesz, co to jest mądrość, co to
jest cierpienie,
Czy tylko się zapierasz, czy naprawdę
przeczysz?

Jeżeli się w serc głębię wrąbiesz jak
kilofem,
jeśli morze rozpętasz i gwiazd
krwawych zamieć —
wtedy — będziesz szczęśliwy, skoro
ludzka pamięć
przekaże przyszłym wiekom jedną
twoją strofę.

Leszek Herdegen

---

[1]) Wiersz nie zamieszczony w Wyborze. Cytat z Odrodzenia. Nr. 10—12, 15.I.1945.

JORGE AMADO: *Kakao, Pot, Jubiada, Rycerz nadziei, Drogi głodu, Albania radosna, Ziemia krwi i przemocy, Ziemia złotych płodów.* Warszawa, Czytelnik.

I

„Dzieje Brazylii w latach od 1900 do 1922 roku — to dzieje kawy." Przedtem dzieje Brazylii, można rzec śmiało, były dziejami: niewolnictwa i handlu Murzynami, trzciny cukrowej, kakao, bawełny, kauczuku itd.

Brazylia, najbogatszy i największy kraj kontynentu południowo-amerykańskiego (obszar Brazylii wynosi 8.500.000 km. kw., a ludność — 50 milionów), pierwotnie teren ekspansji feodalnych mocarstw Europy, jeszcze w ubiegłym stuleciu stała się przedmiotem „zainteresowania" ze strony zagranicznego kapitału.

Po wyzwoleniu Brazylii spod politycznej zależności od Portugalii walka między poszczególnymi grupami bogatych plantatorów nie osłabła, co ułatwiło zagranicznym kapitalistom wkroczenie i mocne zainstalowanie się na ziemi brazylijskiej. Również formalne zniesienie niewolnictwa, przypadające na koniec XIX stulecia (rok 1888), powodując zachwianie się dotychczasowych zasad gospodarki rolnej, opierającej się na najtańszej, niewolniczej sile roboczej — na Murzynach, wpłynęło pośrednio na ułatwienie kapitalistom, przede wszystkim anglo-saskim, zwiększenia wpływów przez masowy skup ziemi.

Bieg wydarzeń historycznych zmieniał oblicze Brazylii, ale lud brazylijski pozostawał tym, czym był: nie panem swojej ziemi, lecz niewolnikiem następujących po sobie władców. Nie można także powiedzieć, że przeszłość feodalna i niewolnicza zostały ostatecznie przezwyciężone. Kapitalizm bowiem rozwijając się rozszerza niewolnictwo rzeczywiste. Kapitalizm brazylijski, a właściwie południowo-amerykański, o tej samej konstrukcji ekonomiczno-socjalnej co każdy inny, różni się typową dla krajów kolonialnych i półkolonialnych, trudną do uchwycenia mieszaniną pierwiastków ucisku, wywodzących się z różnych okresów historycznych i z różnych ustrojów. Burżuazja brazylijska potężnieje, ale bogaci plantatorzy, zamieniający się częściowo w właścicieli fabryk, armatorzy, geszefciarze — cała ta półfeodalna oligarchia jest tylko mizernym ekonomem międzynarodowego kapitału.

Kapitał zagraniczny powstrzymywał rozwój uprzemysłowienia Brazylii, wyznaczając temu krajowi rolę wielkiej plantacji czy fermy, dostawcy taniej siły roboczej i rynku zbytu dla amerykańskich produktów przemysłowych. Mimo to jednak w Brazylii powstał przemysł przede wszystkim bawełniany, a wraz z nim klasa robotnicza prowadząca głównie robotników rolnych i biednych wiejskich dzierżawców, a także postępową część inteligencji do walki o ekonomiczne i polityczne wyzwolenie Brazylii. Proletariat wiejski, mało uświadomiony, jest jedną z najbardziej wyzyskiwanych grup społecznych na świecie. Proces monopolizacji kapitału i pauperyzacji robotników rolnych wciąż posuwa się naprzód (np. w 1924 roku w okręgu plantacji kawowych Sao Paolo około miliona ludzi pracowało na 2400 plantatorów).

Brazylia przyjmowała chętnie biedotę chłopską z różnych krajów: z Portugalii, Hiszpanii, Niemiec, Włoch, Polski i innych państw słowiańskich. W Brazylii dość było nędzy dla wszystkich.

Kilkudziesięcioletni okres ekspansji kapitału zagranicznego zapisał się w historii Brazylii przede wszystkim zamienieniem najbogatszych prowincji brazylijskich na kolonie zagranicznych

mocarstw. W dorzeczu Amazonki usadowił się Ford, skupując miliony hektarów ziemi pod uprawę kauczuku, Rockefeller rzucił olbrzymie kapitały w hodowlę nierogacizny i plantacje kukurydzy. Gdzie indziej usadowili się i rozprzestrzeniali inni. W bankach rządził wszechmocny władca kapitalistycznego świata — dolar. To on powoływał rządy brazylijskie, on korumpował obszarników i burżuazję, on utrzymywał cały kraj w nędzy i zacofaniu.

„70 procent obywateli brazylijskich nie umie czytać ani pisać. 8 milionów ludzi (1945 rok) choruje na malarię, 8 milionów — na ankilostomę, 5 milionów — na syfilis, 12 milionów ludzi jest wciąż niedożywionych" („Panorama du monde" Renaud de Jouvenela).

Przed ostatnią wojną ekspansja gospodarcza i polityczna hitlerowskich Niemiec w Brazylii zaczęła grozić nawet potężnemu amerykańskiemu kapitałowi, wszechwładnemu od chwili zdławienia wielkobrytyjskich prób rozwinięcia szerszej działalności na terenach południowo-amerykańskich. Hitlerowska V kolumna z dnia na dzień wzrastała na sile. Mnożyła się liczba spółek handlowych i produkcyjnych, poza którymi stała swastyka. Faszyści mieli swą legalną partię — integralistów, w Brazylii rządził faszyzm.

Dyktatura Vargasa czy Dutry, przechodząc rozmaite fazy, zbliżała się do różnych odmian systemu rządów ucisku kapitalistycznego. Niezmienionym pozostawało samo bezprawie: utrzymywanie się władzy kapitalistów wbrew woli ludu.

W roku 1922 w dziejach Brazylii rozpoczęła się nowa era. W roku tym bowiem powstała Partia Komunistyczna Brazylii. Następuje okres walk o wyraźnym klasowym charakterze. Kierowniczą rolę obejmuje partia komunistyczna. Największe nasilenie tych walk przypada na lata: 1922, 1924 — 1927, 1930, 1932, 1935. Ruch rewolucyjny stale potężnieje, obejmując tysiące i miliony Brazylijczyków. Partia komunistyczna, mimo że przeważnie działa w konspiracji, liczy już 210.000 członków, co w warunkach brazylijskich jest ilością olbrzymią.

Wciąż rosnące wyrobienie polityczne mas ludowych Brazylii, prowadzonych przez komunistów, sprawiło, że brazylijscy faszyści nie zdołali włączyć Brazylii do zbrodniczej „osi" państw faszystowskich: Berlin — Rzym — Tokio.

Po okresie przejściowej i raczej pozornej demokratyzacji życia politycznego Brazylii, który nastąpił bezpośrednio po klęsce Hitlera, obecnie trwa nad Brazylią najciemniejsza noc terroru kapitalistycznego.

Taki jest polityczno-społeczny obraz współczesnej Brazylii w skrócie.

II

Jorge Amado, powieściopisarz brazylijski, znany był w Polsce wcześniej niż jego dzieła jako jeden z twórców Światowej Organizacji Obrońców Pokoju i aktywny uczestnik Wrocławskiego Kongresu Intelektualistów w Obronie Pokoju.

Fakt ten doskonale charakteryzuje Amado, pisarza, który równocześnie jest czynnym działaczem politycznym i od Kongresu Wrocławskiego sztabowym obrońcą pokoju.

Amado urodził się w r. 1912 w pobliżu miasteczka Ilheus, stanu Bahia, w środowisku inteligencko-mieszczańskim. Dzieciństwo pisarza mija w okręgu Bahia, miasta portowego, dawnej siedziby wicekróla kolonii portugalskiej — Brazylii. Miasto i jego okolice są największym w Brazylii skupiskiem nędzy, głównie murzyńskiej.

Już w latach chłopięcych Amado opuszcza dom rodzicielski. Przechodzi

różne i zmienne koleje, poznaje rozmaite środowiska. Ostatecznie studiuje i kończy prawo w Rio de Janeiro utrzymując się podczas studiów z pracy dziennikarskiej.

Pierwszy utwór literacki „Kraj karnawału" publikuje, mając lat dziewiętnaście. Następny, „Kakao", konfiskuje policja, kwitując niejako w imieniu władców Brazylii społeczny i postępowy charakter twórczości pisarza, który w tym czasie bierze już czynny udział w życiu politycznym.

Jako autor czterech społecznych powieści o wyraźnym obliczu politycznym Amado rozpoczyna żywot wygnańca. Zostaje skazany na banicję i udaje się do Meksyku.

W roku 1941 powtórnie skazany na wygnanie przebywa w Argentynie.

Po wojnie, przez krótki okres, kiedy Partia Komunistyczna Brazylii była legalna, Amado z jej ramienia piastuje godność posła do parlamentu w latach 1946 — 1947.

Za swoje przekonania polityczne jest prześladowany i więziony. Chroniąc się przed kolejnym aresztowaniem, opuszcza ojczyznę i udaje się do Francji.

Bierze czynny udział w ruchu obrońców pokoju, zasiadając w kierownictwie organizacji. Władze brazylijskie wytoczyły mu zaoczny proces za przemówienie, wygłoszone na Kongresie Wrocławskim.

W roku 1949 reakcyjny rząd francuski odmawia pisarzowi prawa pobytu we Francji. Amado przebywa obecnie w Czechosłowacji, gdzie otoczony przyjazną atmosferą oddaje się twórczej pracy, nie zaniedbując działalności w obronie pokoju.

Dorobek pisarski Amado jest imponujący. Składa się nań dwanaście pozycji beletrystycznych, tłumaczonych na ponad dwadzieścia języków. Dzieła Amado w wielu krajach osiągnęły wysokie nakłady. Niektóre jego utwory były przerabiane na sztuki sceniczne.

Książki Jorge Amado zostały przetłumaczone na język polski dopiero po wojnie.

Obecnie nurt najbardziej postępowy w literaturze brazylijskiej obok Jorge Amado reprezentują: Erico Verissimo i pisarze komunistyczni: Graciliano Ramos i Dalcidio Jurandyr. Poza nimi znajdują się inni, w większym lub mniejszym stopniu oderwani od prawdziwej problematyki narodowej oraz od życia Brazylii i będący pod wpływem złych wzorów. Te złe wzory to przede wszystkim — jeśli idzie o środowisko pisarzy postępowych, wpływy naturalistyczne, wynikające z obcego klasie robotniczej pochodzenia niektórych pisarzy, z oddziaływania współczesnego piśmiennictwa amerykańskiego oraz z kompletnej niemal nieznajomości literatury radzieckiej i państw demokracji ludowej.

Jak dalece te czynniki zdołały zaciążyć na pisarstwie Jorge Amado?

I czy ambitne słowa pisarza, napisane w czasie gdy Armia Radziecka toczyła najcięższe walki pod Stalingradem, zostały potwierdzone jego dziełami?

Słowa te brzmią następująco:

„...Prowadziłem codzienną walkę, podróżowałem, przemawiałem, zabrano i spalono moje książki, poznałem więzienie; byłem zmuszony żyć na obczyźnie. Żyłem życiem moich rodaków, żyłem z nimi. Jestem niezmiernie szczęśliwy, że ta sama treść przeniknęła nie tylko moje dzieło tego dziesięciolecia, ale także i życie, które pędziłem: nadzieja — więcej niż nadzieja, pewność, że jutro będzie lepsze i piękniejsze od dnia dzisiejszego. Żyłem i pisałem w służbie jutra, którego zorza pojawia się już wśród nocy..."

III

„Kakao", „Pot", „Ziemia krwi i przemocy", „Ziemia złotych płodów" — spróbujmy umieścić te cztery pozycje obok siebie. „Kakao" i „Pot" zostały napisane w początkowym okresie twórczości pisarza, w latach 1932 — 1934. Pozostałe powstały w dziesięć lat potem, w czasie wojny.

„Kakao", młodzieńczy utwór autora, jest jego najbardziej programową pozycją, jeśli idzie o twórczość ściśle artystyczną. Pisarz zawarł w niej z właściwą młodości rozrzutnością tę problematykę, która w całej jego twórczości odtąd będzie wciąż powracać jako temat główny lub poboczne wątki w poszczególnych książkach.

W „Kakao" Amado od razu sięga sedna zagadnień walki klasowej w swoim kraju. Rozdziały opowieści są poświęcone, jak wskazują już same tytuły, omówieniu ważnych zagadnień: sprawie religii, pracy, dzieci, kobiet itd., na tle życia w plantacjach kakao.

Wszechwładnym plantatorom autor przeciwstawia masę najemników, nierozbudowaną klasowo, upośledzoną pod każdym względem i ciemną. Amado dostrzega istotny sens zdarzeń, dostrzega walkę klasową nie jako teoretyczne pojęcie. Widzi ją w zdarzeniach i faktach o doskonale zróżnicowanym bogactwie szczegółów.

Jednakże ten nurt realistyczny ściera się aż nadto wyraźnie, przede wszystkim w pierwszych utworach, z przywarą mieszczańskiego autentyzmu i jego niemal nieodłącznym towarzyszem — naturalizmem.

Balast dodanych przez autora sztucznych treści jest bez porównania znaczniejszy od warstwy realistycznej. Zasadniczy wątek fabularny, postać głównego bohatera, naturalistyczne przekoloryzowanie scen erotycznych — wszystko to tłumaczy dostatecznie, dlaczego realistyczna koncepcja utworu rozpada się. Autor nie potrafi jeszcze przeprowadzić selekcji faktów, tworzących opowieść, grzęźnie w szczegółach — sam niszczy założenia, które postawił przed sobą.

„Pot" wiedzie czytelnika do ubogiej dzielnicy portowego miasta Bahia. Bohaterem powieści jest zbiorowość: 600 mieszkańców kamienicy stojącej w Zaułku Pręgierzy.

Mimo odrębności tematu, Amado doskonaląc bez wątpienia swe rzemiosło na ogół jednak nie uwalnia się od błędów, które tak silnie zaciążyły na „Kakao". Dojrzewanie świadomości klasowej przedstawicieli nędzy miejskiej nie jest należycie umotywowane. W przedstawieniu autora staje się ono wyłącznie rezultatem instynktu klasowego. Końcowa scena demonstracji nie jest przygotowana, jakkolwiek pod względem realistyczności opisu i zawartego w niej ładunku emocji niejako wybiega ona poza „Pot".

Dwutomowy cykl: „Ziemia krwi i przemocy" oraz „Ziemia złotych płodów", bliski pod względem treści, formy, problematyki młodzieńczym utworom jest świadectwem zwycięstwa realizmu w prozie Amado nad naturalizmem, biologizmem i autentyzmem.

Tutaj temat został potraktowany przez autora szeroko. Pisarz pokazuje, jak powstają fortuny właścicieli plantacji kakaowych i co się z nimi dalej dzieje. Opisuje niesławne zakończenie „heroicznych" walk gorącokrwistych plantatorów: triumf brazylijskiego kapitalisty, a tym samym zagranicznego kapitału nad plantatorem. Mamy tu do czynienia z powieściowym ujęciem skomplikowanego i różnorodnego procesu powstawania rodzimej klasy obszarników i kapitalistów. Autora interesuje przede wszystkim istota owego procesu, a więc walka klasowa, naj-

pierw w rozmiarach jednego obszaru, potem — całego kraju: producentów kakao i eksporterów.

Znajdujemy się w tak dobrze znanej Jorge Amado południowej części prowincji Bahia. Autor rozpoczyna swą opowieść od karczunku puszczy, od obejmowania w posiadanie przez pierwszych kolonistów ziemi niczyjej. Pierwsza część cyklu wprowadza nas w stosunki jakby przeniesione z okresu feodalizmu. Wiodące ze sobą walkę obozy plantatorów nie przebierają w środkach: mordują się, strzelają do siebie, palą swoje domostwa, grabią.

W „Ziemi złotych płodów" Amado już zdecydowanie umieszcza dzieje kakao w epoce imperializmu, ukazując równocześnie podszewkę kapitalizmu brazylijskiego doprowadzając swą opowieść do chwili, gdy ostatecznym zwycięzcą okazuje się „ten trzeci" — zagraniczny kapitał i jego pośrednik, wielki dom handlowy. Miejscowy eksporter, Karol Züde, jest właściwie marnym pionkiem w ręku amerykańskiego agenta. Brazylijscy władcy Brazylii i ich sojusznicy — autor wyraźnie to ukazuje — są zdrajcami swej ojczyzny.

W „Ziemi złotych płodów" Amado stworzył jednego z najbardziej realistycznych i wartościowych swych bohaterów. Jest nim komunista Joachim, robotnik, syn chłopa. Amado stara się go przedstawić w działaniu, w pracy nad podniesieniem poziomu robotników rolnych, nad włączeniem ich jako świadomych bojowników o sprawiedliwość społeczną w nurt rewolucyjny. Autor nie zadowala się mgławicowym nakreśleniem sylwetki Joachima, lecz ukazuje, skąd się bierze jego siła. Siłę tę daje mu świadomość przynależności do ruchu komunistycznego i ciągłe pogłębianie znajomości teorii marksistowskiej.

Amado jeszcze nie zawsze konsekwentnie przeprowadza swoje istotne zamierzenia ideowo-artystyczne, co niekiedy odbija się ujemnie także na postaci Joachima. Jednakże w sumie przeważają cechy prawdziwe i realistyczne, które czynią z Joachima udaną artystycznie i słuszną ideowo postać, godną pióra wielkiego, postępowego pisarza.

Na przestrzeni dziesięciolecia, Amado zdołał odejść od pierwszych naturalistycznych prób literackich i dwutomowym cyklem zademonstrować swój kunszt pisarza-realisty, i swą dojrzewającą postawę ideową pisarza-komunisty.

IV

Zainteresowania Jorge Amado skupiają się na określonym kręgu problemów. Pisarz powraca wręcz do tego samego tematu, bądź też przyjmując inne tło stara się lepiej i głębiej ująć to samo lub podobne zagadnienie.

W „Jubiadzie" i „Drogach głodu" Amado ukazuje obrazy walki klasowej, chce ujawnić sam mechanizm działający, istotę walki politycznej, toczącej się w jego kraju, narzucić wniosek, że zwycięstwo obozu postępu jest nieuniknione.

Powieść „Jubiada" powstała w pierwszym okresie twórczości Amado (1934, 1935). Ze względu jednak na sposób ujęcia stawianych przez autora problemów i dojrzałość techniki pisarskiej trzeba ją umieścić w rzędzie najwybitniejszych jego dzieł.

Pisarz przedstawia w tej powieści dzieje młodego Murzyna brazylijskiego, Antonio Balduino. W jego losach ześrodkowują się losy całej warstwy społecznej czarnoskórnych nędzarzy brazylijskich.

Kompozycja powieści nawiązuje do tradycji ludowej pieśni murzyńskiej, tzw. ABC. Podobnie jak w tych wier-

szowanych małych eposach tj. w „Jubiadzie“ występuje bohater, którego odpowiednio wyselekcjonowane czyny układają się w epicką opowieść, bogatą w prawdziwy sens społeczny. Funkcja opisu zostaje ograniczona, autor stara się charakteryzować środowisko i bohaterów za pomocą następujących po sobie scen, składających się na fabułę powieści. Doskonała znajomość środowiska, owa specyficzna atmosfera południa, atmosfera nędzy, i, mimo wszystko, typowej dla tamtejszych ludzi beztroski, oddana jest z pieczołowitością, dokładnością i artyzmem. Świat zabobonu, dziedzicznej, noszonej we krwi bierności, a wreszcie zbrodni jako konsekwencji namiętnych odruchów i wielowiekowego upośledzenia społecznego — wyziera z kart „Jubiady“.

Tytułowa postać miejscowego patriarchy i znachora, Jubiady, symbolizuje ciągłość i odrębność losów Murzynów.

Jubiada, mimo że rolę swą pojmuje jako służbę dla wspólnoty, istnieje w rezultacie mimowolnego żerowania na ciemnocie Murzynów, których wierzenia są świadectwem głębokiego zacofania: śmieszną i wzruszającą mieszaniną zabobonu, uproszczonej dogmatyki chrześcijańskiej i fetyszyzmu.

Cała ta rzesza ludzka tkwi jeszcze w epoce niewolnictwa. Wciąż są świeże dzieje tego okresu powtarzane w pieśni i ustnej relacji.

Życie Antonia i jego rówieśników oglądane przez pryzmat ucisku społecznego staje się zrozumiałe: praca w tych warunkach jest nieszczęściem, a przebiegłość i siła mięśni koniecznością.

„Ziemia nasza zła...
Ziemia kuli i śmierci...“

Tak przedstawia się oczom pariasa-Murzyna świat kapitalistyczny, w którym żyje.

Z głębokim realizmem oddaje Amado przejście Antonia do obozu proletariatu. W końcowym fragmencie książki, gdzie jest opisany strajk robotników, Antonio występuje już jako czynny, bojowy członek klasy robotniczej.

Po skończonym strajku Antonio odwiedza Jubiadę.

„...Teraz spogląda na czarownika, jak równy na równego. Oznajmia mu, że odkrył to, o czym wspominają pieśni ABC, że znalazł w życiu właściwą drogę. Wyschło oko litości bogaczy. Ale oni — biedacy — mogą w każdej chwili, gdy tylko zechcą, zniszczyć oko złości bogaczy“.

„Drogi głodu“, ostatnia książka pisarza (napisana w 1946 r.), jeszcze wszechstronniej ujmuje to samo zagadnienie. W tej książce poznajemy życie robotników rolnych i biednych dzierżawców — najliczniejszej warstwy obywateli Brazylii. Wyzuci z ziemi przez nowego właściciela plantacji dzierżawcy udają się w kieruku Sao-Paolo, gdzie można otrzymać ziemię do uprawy, względnie pracę. I to nic, że droga jest długa i najeżona wszystkimi możliwymi przeszkodami i niebezpieczeństwami; że przecież i w okręgu Sao-Paolo po pewnym czasie może się zdarzyć to samo: robotnicy rolni, dzierżawcy mogą się okazać niepotrzebni. Głód wiedzie ludzi poprzez bezdroża do niewiadomego...

Amado w „Drogach głodu“ najdoskonalej bodaj i najplastyczniej oddał beznadziejność, upodlającą ohydę i okrucieństwo głodowej egzystencji chłopów północno-wschodniej Brazylii w początkach lat trzydziestych. Powieść ukazuje także, jakimi drogami chłopi usiłują przezwyciężyć dławiącą ich obręcz nędzy. Te „drogi nadziei“ nie zawsze prowadzą do celu...

Bunt upośledzonych wyrobników wyrażał się w różnych formach. Ukazują

je dzieje synów rodziny chłopskiej Jeronima. Bunt przeciw krzywdzie prowadzi jednego z chłopców do bandyckiej szajki, a potem do sekty fanatycznego „proroka". Drugi syn, Juvencio, odnalazł jedynie słuszną drogę i wybrał jedynie słuszną formę walki jako członek partii komunistycznej. Walka ta jest niełatwa. Krwawe powstanie w mieście Natal kończy się niepowodzeniem, jednak masy coraz bardziej dojrzewają, komuniści są coraz mocniejsi. I nadchodzi chwila, gdy partia komunistyczna Brazylii staje się jawną siłą. Jeden z bohaterów powieści może stwierdzić, że w świadomości ludu Brazylii dokonał się przełom, że lud już dojrzał politycznie:

„Teraz koniec bandytom i błogosłowionym. Teraz my będziemy działać."

V

Omawiając twórczość Jorge Amago niesposób pominąć milczeniem pracy niejako monograficznej, „Rycerz nadziei", i krótkiego reportażu „Albania radosna".

„Rycerz nadziei" formalnie jest biograficzną opowieścią o Luisie Carlosie Prestesie, wielkim przywódcy mas pracujących Brazylii w walce o sprawiedliwość społeczną, kierowniku Partii Komunistycznej Brazylii, byłym członku Komitetu Wykonawczego III Międzynarodówki. Jednak tylko formalnie. Amado, walcząc swą książką o zwolnienie Prestesa z więzienia, gdzie bezprawnie został wtrącony przez faszystów (obecnie Prestes pozostaje w Brazylii z ukrycia kierując walką. Jak wiadomo, partia komunistyczna Brazylii jest oficjalnie rozwiązana przez faszystowski rząd) — przelał na jej karty całą miłość ludu Brazylii do swego przywódcy. Biografia staje się eposem w partiach opisowych, które mówią o olbrzymim doprawdy bohaterstwie Brazylijczyków walczących o przyszłość swego kraju pod wodzą Prestesa. Opis marszu Kolumny Prestesa, jego ciągłej, nieprzerwanej również w więzieniu walki przeciw uciskowi kapitalistycznemu i wszelkiej nieprawości, budzi podziw, miłość i szacunek dla bohatera wolnej Brazylii i wpływa mobilizująco na czytelnika.

VI

Amado wypełnił wielką lukę w literaturze światowej, dając obraz walki ludu brazylijskiego o postęp i sprawiedliwość społeczną, a tym samym obraz walki ludów południowej Ameryki, eksploatowanej bezlitośnie przez USA.

Cała twórczość Amado związana jest z wielką sprawą wyzwolenia społecznego ludu Brazylii. Zmieniają się jedynie środowiska: chłopi plantacji kakao, biedacy miejscy itd.

Amado jest pisarzem ludowym. Dużą rolę wywarła na formę artystyczną jego utworów ludowa twórczość Brazylii, a przede wszystkim murzyńskie pieśni ABC. ABC opiewały walkę Murzynów o wolność, ich cierpienia i krzywdy. Dopiero oddziaływanie „kultury" peryferii miejskich skaziło tematykę tych pieśni wprowadzając element zbrodni, miłości, z powtarzającymi się motywami zdrady i zemsty, prostytucji itp.

Opierając się na ludowych wzorach Amado hołduje zasadzie eksponowanego bohatera pozytywnego. Inne elementy zaczerpnięte z pieśni ludowych, to: motyw trzech braci, („Drogi głodu"), motyw mistyczno-baśniowy (Estevao, Jubiada), motyw brazylijskiego Janosika, okrutnego bandyty, który walczy z bogatymi a biednym pomaga (Arvoredo i inni).

Twórczość Amady jest ciągłą walką z wpływami literatury burżuazyjnej i jej stylami wrogimi realizmowi, jest

nieustannym przystosowywaniem warsztatu pisarza do rewolucyjnego światopoglądu, tak, by twórczość jak najpełniej wykonywała stojące przed nią zadania.

Od postaci i scen, których autor nie potrafi jeszcze przedstawić realistycznie, Amado dochodzi do stworzenia takich postaci jak: Joachim, Balduino i Juvencio i takich scen jak: walka rewolucyjna („Drogi głodu"), strajk („Jubiada") itd.

Amado oddaje z wielkim artyzmem krajobraz Brazylii, zwyczaje ludowe, obyczajowość i styl życia różnych środowisk.

Amado jako piewca piękna i bólu swej ziemi osiągnął wysoki stopień doskonałości ideowo-artystycznej. Nie potrafił jednak ukazać w formie artystycznej walki klasy robotniczej Brazylii, wiodącej masy ludowe do zwycięstwa pod przewodem partii komunistycznej. Ukazał jedynie przedstawicieli tej klasy na tle warstwy chłopskiej czy lumpenproletariatu.

Mimo to jednak funkcja, jaką odgrywa twórczość Amado w warunkach walki klasowej w krajach kapitalistycznych, jest wielka: Amado występuje jako pisarz najbardziej związany z życiem swego narodu, wyrażający jego zmagania i perspektywy na przyszłość.

Twórczość Amado zaznajamia z problemami brazylijskimi, wzmacnia więzy internacjonalizmu.

Niewielu jest dziś na kapitalistycznym Zachodzie pisarzy, którzy by rozporządzali takim jak Amado talentem i z równą siłą przekonywania prowadzili walkę o jutro swego narodu i świata.

Dzięki tym czynnikom już dotychczasowy dorobek Jorge Amado stanowi piękny wkład do literatury światowej i do światowej walki o pokój i socjalizm.

Przekonanie o rychłym zwycięstwie zasad postępu i sprawiedliwości społecznej umotywowane artystycznie, bijące z kart powieści Amado, nigdy nie brzmi fałszywie i stanowi najbardziej twórczy ich czynnik.

Jerzy Pytlakowski

ALEKSANDER FADIEJEW: *Klęska*, powieść, przełożyli B. Piach i J. Putrament, Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; str. 250.

Aleksander Fadiejew, znany u nas jako autor Młodej Gwardii, jest również autorem powieści pt. Klęska (tytuł oryginału: Rozgrom) pisanej w latach 1925 — 26, wydaną w Związku Radzieckim po raz pierwszy w roku 1927. Książka ta tematycznie związana z okresem wojny domowej, uważana jest za jedną z wybitniejszych pozycji poświęconych temu okresowi i stawiana na równi z Czapajewem Furmanowa i Żelaznym potokiem Serafimowicza. Można by wskazać dwie główne przyczyny, które pozwoliły autorowi stworzyć powieść o głębokiej i nieprzemijającej wartości. Jedna z nich, to mnogość doświadczeń i wspomnień, jakie wyniósł sam Fadiejew z lat wojny domowej, druga zaś, to nadzwyczaj dojrzałe i trafne zrozumienie istoty i sensu toczącej się walki.

Fadiejew, urodzony w r. 1901 w rodzinie biednego felczera wiejskiego, po ukończeniu szkoły średniej już jako młody chłopak bierze udział w walkach z „kołczakowcami" i interwentami japońskimi na Dalekim Wschodzie. Wraz z bohaterskim dowódcą partyzantów syberyjskich, Sergiuszem Łazo, ginie spalony żywcem przez Japończyków w palenisku lokomotywy, starszy kuzyn Fadiejewa — Wsiewołod Sibircew. War-

to zacytować, co o tym okresie swego życia Fadiejew napisał w jednym z artykułów: „Ten okres zrodził mnie jako pisarza. Poznałem najpiękniejsze cechy ludu, z którego łona wyszedłem. W ciągu trzech lat przeszedłem z nim tysiące kilometrów, spałem z nim pod jednym płaszczem żołnierskim, jadłem z jednej menażki. Poznałem ludzi idących na czele ludu i zrozumiałem, że są to tacy sami ludzie jak wszyscy, najlepsi synowie i córki narodu. Zrozumiałem także znaczenie partii dla losów narodu i dumny jestem, że przyjęto mnie do jej szeregów".

Klęska — to dzieje kilkumiesięcznych walk stu pięćdziesięcioosobowego oddziału partyzanckiego działającego we Wschodniej Syberii w okolicach gór Kolegińskich i Sichote-Alińskich oraz w dolinach rzek Irochedzy i Chaunichedzy. Kraj zalewają wojska japońskie, które wraz z „kołczakowcami" rozpoczynają likwidowanie operujących w tych okolicach licznych grup partyzanckich. Pod naporem przeważających sił, dysponujących bronią maszynową i armatami, oddział występujący w powieści Fadiejewa ponosi porażkę, następnie zaś mocno przetrzebiony dostaje się w zasadzkę — z której wychodzi cało jedynie 19 ludzi z dowódcą oddziału, Lewinsonem. Oto szkielet Klęski. Wydawać by się mogło, że skupiając zainteresowanie na działalności niewielkiej grupy walczącej na dalekiej Syberii, niesposób ukazać prawdziwy obraz wojny domowej. U Fadiejewa jednak mały oddział partyzancki stanowi jakby odzwierciedlenie tych sił społecznych, które zadecydowały o ostatecznym wyniku wojny domowej.

Oddział Lewinsona w swej głównej masie składa się z chłopów, rdzeń oddziału wszelako stanowi pluton Dubowa, grupujący górników z suczańskiej kopalni węgla. Dyscyplina i ofiarność górników ujawniły się szczególnie wyraźnie w czasie ciężkich chwil: „Wtedy właśnie stało się jakoś od razu jasne to, co dawniej nikło w powszechnym podniosłym nastroju i w jednakowym dla wszystkich dniu powszednim — to mianowicie, że cały oddział opiera się w gruncie rzeczy na plutonie Dubowa". Tak więc zgodnie z prawdą historyczną Fadiejew pokazał, iż prawdziwymi organizatorami ruchu partyzanckiego byli robotnicy. Główny bohater powieści, bolszewik Lewinson, uosabia rolę partii w rewolucji. Postać Lewinsona należy do rzędu najpiękniejszych bohaterów radzieckiej literatury. Spokój i odwaga, trzeźwy sąd i bezgraniczne oddanie sprawie rewolucji — dają u Fadiejewa zarysowaną z wielką precyzją psychologiczną sylwetkę komunisty. Tej pięknej postaci przeciwstawia autor dzieje i postać Pawła Mieczyka, który odtwarza losy części inteligencji operującej rewolucyjnym frazesem a zatrutej drobnomieszczańskim anarchizmem. I tak na tle zróżnicowanej klasowo wsi syberyjskiej, od Chomy Riabca, przewodniczącego rady wiejskiej, aż po pomagającego „białym" kułaka i popa — otrzymujemy jakby skupione w soczewce najważniejsze zagadnienia tego okresu. Dzięki takiemu ujęciu — jak stwierdza radziecki historyk literatury Timofiejew — „opisując małą grupę partyzantów autor przedstawił zasadnicze siły, które brały udział w wojnie domowej: rolę organizacyjną bolszewików, znaczenie robotników jako podstawy ruchu rewolucyjnego, różne grupy chłopów i inteligencji".

Najmocniej i z największą pasją zarysowany został w Klęsce obraz starcia leninowskiej postawy z drobnomieszczańskim, pseudohumanizującym frazesem, kryjącym za sobą zdradę interesów rewolucji. Z jednej strony kon-

sekwentny bolszewik, Lewinson, z drugiej inteligencik, Paweł Mieczyk, który walkę o zwycięstwo proletariatu traktuje jako widowisko, mające mu dostarczyć możliwie najbardziej atrakcyjnych przeżyć i doznań. Czegóż w istocie rzeczy chce Mieczyk? Żąda jakiegoś „absolutnego humanitaryzmu" — zarówno w wypadku rekwizycji świni, którą trzeba zabrać gospodarzowi, aby nakarmić głodujących partyzantów, jak i pobłażania dla kułaka, który spowodował śmierć jednego z bolszewików. Wszystko to zaś po to, by znaleźć usprawiedliwienie dla siebie, dla swoich słabostek i kompleksów. A tutaj nikt go nie ocenił w sposób właściwy, mają do niego pretensję. Fadiejew pokazuje, do jakich konsekwencji doprowadziła Mieczyka jego droga: do zdrady rewolucji, do wydania na śmierć swych towarzyszy.

Mieczyk myśli przede wszystkim o sobie — za cenę uratowania własnego życia pozwala, aby cały oddział dostał się do niewoli. Lewinson poza drobnymi sprawami widzi zasadniczy cel — zwycięstwo rewolucji. W danej chwili najważniejszym zadaniem — według dyrektyw partii — jest utrzymanie za wszelką cenę niewielkich, ale zwartych i karnych jednostek bojowych, które później posłużyłyby za trzon organizacyjny przyszłej armii — i osiągnięcie tego celu staje się wytyczną postępowania Lewinsona. To, że walka wymaga ofiar jest dla niego jasne. Lenin w jednym z artykułów z lipca 1918 r. pisał co następuje: „Narodziny człowieka związane są z takim aktem, który zmienia kobietę w zmęczony, zmaltretowany, oszalały z bólu, okrwawiony, na wpół martwy, kawał mięsa. Czy jednak zgodziłby się ktokolwiek nazwać człowiekiem takie „indywiduum", które w miłości, w jej skutkach, w przemianie kobiety w matkę, widziałoby jedynie to? Kto na tej podstawie wyrzekałby się miłości i rodzenia potomstwa? Porody bywają lekkie i ciężkie. Marks i Engels, twórcy naukowego socjalizmu, mówili zawsze o długich mękach rodzenia, związanych w sposób nieunikniony z przejściem od kapitalizmu do socjalizmu". Lewinson umiał zająć leninowską postawę wobec życia, rozumiał ducha leninizmu — i dlatego nie załamał się, gdy oddział jego poniósł klęskę, gdy zginął jego wychowanek i zastępca, młody proletariusz, Bakłanow, lecz zacisnął zęby i stłumił łzy. Wiedział bowiem, że „należało żyć i pełnić swój obowiązek" aż do chwili ostatecznego zwycięstwa...

Ludwik B. Grzeniewski

ALAIN-RENÉ LESAGE: *Przypadki Idziego Blasa*, przełożył Julian Rogoziński, Książka i Wiedza, Warszawa, 1950; str. 625.

Rynek wydawniczy przekazał niedawno czytelnikowi nowe arcydzieło francuskiego Oświecenia. Tą cenną pozycją są Przypadki Idziego Blasa Lesage'a. Lesage (a nie Le Sage) jest autorem znanym szerszemu ogółowi tylko z Diabła Kulawego, warto więc przy okazji polskiej publikacji najlepszego utworu pisarza scharakteryzować pokrótce jego drogę życiową i literacką.

Życie Alain-René Lesage'a zamyka się datami 1668—1747. Epoka, która była zapowiedzią politycznego krachu francuskiego absolutyzmu. Czasy rujnujących wojen, zdewastowanych finansów, buntów chłopskich, nietolerancji i obłudy religijnej u schyłku panowania Ludwika XIV. Czasy wielkich bankructw i wielkich fortun w okresie finansowych spekulacji Law'a, walk religijnych, jawnego rozprzężenia obyczajowego, rządów chytrego parwieniusza, kardynała

Dubois—za Regencji. Ten okres silnych zaburzeń i głębokich przemian w dziejach Francji znalazł swój odpowiednik w dziedzinie kultury. Literatura przeżywa w tym czasie okres przełomu. Zbyt chętnie pasujemy pisarzy na prekursorów realizmu, wydaje mi się jednak, że tym razem bez przesady możemy to uczynić w odniesieniu do autora Diabła i Idziego Blasa, jeżeli tylko określimy, jaki realizm mamy na myśli.

Lecz zanim Lesage osiągnął szczyt swojej twórczości, przeżył wiele i napisał wiele. Pochodził z Bretanii, z niezamożnej rodziny mieszczańskiej. Za młodu przyjechał do Paryża i osiedlił się na stałe. Z początku młody Lesage uczy się, bawi i kocha, odwiedza modne salony, próbuje pisać. Warunki materialne zmuszają go niebawem do zarobkowania — pracuje jako pomocnik poborcy podatkowego. Nie czuje się jednak dobrze ani w roli światowego galanta, ani modnego pisarza, ani finansisty. Głębokie poczucie własnej godności, niezwykła uczciwość i ostrość widzenia nie pozwala mu na obcowanie z ludźmi fałszu i kompromisu. Odtąd Lesage będzie się trzymał z dala od towarzystwa wielkiego świata. Postanowił bowiem utrzymywać się z pracy pióra — pomysł wówczas śmiały i osobliwy. Spośród najrozmaitszych tłumaczeń, przeróbek i adaptacji z literatury hiszpańskiej, oryginalnych powieści i opowieści, spośród pokaźnego dorobku teatralnego (sztuki dla teatrów jarmarcznych) nie straciły wartości wymienione już utwory i zjadliwa komedia obyczajowa na finansistów Turcaret.

Przypadki Idziego Blasa (część I — r. 1715, cz. II — 1724, cz. III — 1735) to dzieje biednego parweniusza, który dzięki zgrabnej figurze i sprytowi dorabia się majątku, godności i poważania. Podróżuje po całej Hiszpanii, przeżywa dziesiątki przygód, uprawia dziesiątki zawodów, aby z terminatora bandy złodziejskiej stać się sekretarzem pierwszego ministra i zapewnić sobie po „trudach" życia spokojną starość we własnych dobrach. Nie łudźmy się jednak hiszpańskim kostiumem naszego bohatera, hiszpańską scenerią monarchii Filipa III na przełomie XVI i XVII wieku, a nawet historyczną autentycznością niektórych postaci. Przypadki są francuską powieścią obyczajową z czasów współczesnych Lesage'owi. Utwór wiele ma jeszcze z hiszpańskiej powieści łotrzykowatej, ale już nią nie jest. Kompozycyjnie i tematycznie jest nowym rejestrem burzliwego nurtu francuskiej rzeczywistości. Kompozycyjnie, ponieważ Przypadki są wielkim powieściowym płótnem obyczajowo-politycznych realiów, złożonym wprawdzie z drobnych migawkowych obrazków sytuacji życiowych, w których autor każe działać bohaterowi, a które jednak wychodzą poza indywidualne doświadczenia łazików z Tormesu. Tematycznie, ponieważ Idzi Blas nie jest już buntującym się nędzarzem, któremu w skali społecznej niedostępny jest awans jego klasy, lecz arrywistą, który we Francji osiemnastowiecznej należy jeszcze nieformalnie lecz już faktycznie do elity społeczeństwa.

A zatem Idzi Blas jest pozytywnym bohaterem powieści mieszczańskiej? Niewątpliwie tak. Tylko że postać ta ograniczona jest sprzecznościami wynikającymi z klasowej pozycji i funkcji mieszczaństwa w ówczesnym układzie sił społecznych. Pisarz-realista maluje karierę plebejusza zgodnie z obiektywną prawdą historii. Na tym polega żywiołowy realizm powieści tego okresu. I tak w części pierwszej (księga 1 — 6)

widzimy bohatera walczącego o utrzymanie się na powierzchni życia środkami dyktowanymi przez konieczność często daleką od uczciwości. Część druga (księga 7 — 10) ukazuje Blasa w momencie, gdy pełni w życiu publicznym kraju wysokie godności. Pisze oszczercze raporty, bierze łapówki i krzywdzi maluczkich na zlecenie swego pryncypała, księcia Lermy. I tutaj również postępowanie bohatera bez reszty określone jest społeczną sytuacją, w jakiej się znajduje. Część trzecią wydaną w jedenaście lat po poprzedniej pisał Lesage w okresie chwilowej poprawy sytuacji kraju. Rządy kardynała Fleury oczyściły politykę z atmosfery wstrząsów i oficjalnych skandali. Autor Idziego Blasa znajdował się pod wrażeniem tych wypadków, czemu dał dobitny wyraz w dalszym ciągu powieści. Lesage łagodzi obraz pozbawiając go fabularnej drapieżności i robiąc z bohatera od razu uczciwego człowieka: na dworze nowego ministra odsuwa Idziego od polityki, czyni go nieszkodliwym powiernikiem dygnitarza i każe mu w końcu cieszyć się spokojną starością w ustroniu.

Ciekawe są koleje losu Idziego Blasa. Ciekawe ze względu na historyczną typowość. Bo oto nasz bohater uzyskawszy niezbędny zasób doświadczenia życiowego przechodzi z wyzyskiwanej masy dołów plebejskich na społeczne wyżyny wyzyskujących. Postać Idziego nabiera wtedy cech wręcz antypatycznych, które autor, już mniej dbały o prawdę historyczną, stara się w ostatniej części powieści zatuszować w przekonaniu, że ten plebejusz zasługuje ostatecznie na lepszą pamięć u czytelnika

Tak oto ta zapewne najlepsza powieść francuska pierwszej połowy XVIII wieku zapowiadała już nie tylko bliski koniec feudalnego porządku, ale ukazała także optymistyczny, żywiołowy, agresywny arrywizm młodej burżuazji.

Realistyczny, wysokiej klasy walor powieści zamącony jest jednak niedojrzałą konstrukcją losu bohatera. Autor Przypadków ograniczył się bowiem właściwie do opisu zdarzeń, w których jego bohater uczestniczył, sytuacji, w jakich się znajdował. Ta migawkowość, epizodyczność obrazów połączonych jedynie postacią głównego bohatera wiąże się z poważną skazą kompozycyjną utworu: z brakiem konsekwentnego wątku, z niedostatkiem psychologicznej motywacji w postępowaniu bohaterów. Toteż najlepsze utwory innych powieściopisarzy tego okresu (Prévost, Marivaux) są dojrzalsze w swojej strukturze artystycznej, ponieważ wyzbywają się epizodycznej, „filuckiej" kompozycji.

Realistyczność fabuły wczesnej powieści francuskiej potęguje znamienna dla niej szata pamiętnika, relacji jakoby naocznego świadka wspomnienia. Historia Manon Lescaut Prévosta jest spisanym przez autora opowiadaniem rzekomo samego kawalera des Grieux. Lesage w Przypadkach każe sędziwemu Blasowi opowiedzieć swoje dzieje. Nie inaczej przedstawia się ujęcie fabuły u Marivaux. Ten fikcyjny autentyzm formy piśmienniczej — obok treściowej dbałości o konkret obyczajowy czy polityczny, o zgodne z rzeczywistością zdarzenie społeczne i to zdarzenie zaczerpnięte często z życia najniżej stojących warstw społeczeństwa — wyrósł niewątpliwie z form autentycznego zapisu społecznego: z listów, pamiętników, kronik rejestrujących drobne fakty burzliwej rzeczywistości. Tę sumę nowej wiedzy o człowieku i świecie, nowych doświadczeń historycznych przetworzyli Lesage i inni pisarze na cenny kruszec literacki. Była nim powieść, powieść w

dzisiejszym znaczeniu słowa — nowy mieszczański gatunek, który miał zająć przodujące miejsce w literaturze.

Chciałbym w końcu zwrócić uwagę czytelnika Przypadków na niektóre charakterystyczne elementy krytyki Lesage'owej współczesności. Ta sędziwa powieść francuska uczy, bawi i rozśmiesza do łez. Ideologicznie i artystycznie najlepsze są te ustępy, w których widzimy Idziego wśród elity: na pokojach pierwszego ministra, arcybiskupa czy uczonej markizy. Czasy Regencji odbijają się jak w zwierciadle. Śmiejemy się ze świętoszków i teologów zacietrzewionych w religijnych sporach (okres poważnych zaburzeń we Francji po bulli papieskiej Unigenitus). Widzimy modnych poetów, którzy pogardzają komedią, za nic mają Calderona i Cerwantesa, a uprawiają dworską poezję barokową gongoryzmu (salon pani Lambert — u nas Andrzej Morsztyn). Rzuca się w oczy polityczny i obyczajowy rozgardiasz Regencji pod rządami Dubois, który w dorabianiu się kariery prześcignął niejednego Gil Blasa. „Rzetelnie" pracował na fotel pierwszego ministra i kapelusz kardynalski zaczynając od sekretnych misji w miłostkach książątka.

Takich historycznych porównań i zestawień jest w Przypadkach wiele. Cała powieść jest przecież wielkim malowidłem feudalnego schyłku i mieszczańskiego awansu. Malowidłem realistycznym, które oskarża swą wymową, lecz stonowane jest pobłażliwym uśmiechem Lesage'a — filozofa praktyki życiowej. I dlatego najbardziej klarowną próbką walorów powieści stają się urocze słowa herszta bandy, kiedy wtajemnicza Idziego w swoje poglądy na świat i ludzi: „Życie twoje, moje dziecię, będzie tu płynąć po różach, nie sądzę bowiem, abyś był tak głupi i za ujmę sobie służbę u złodziei poczytywał. A czyż spotkasz na świecie innych ludzi? Wierz mi, drogi przyjacielu, że każdy chciałby zawładnąć dobrem bliźniego. Jest to skłonność wszystkim ludziom właściwa, nie każdy tylko ima się tych samych sposobów. Na przykład zdobywcy przywłaszczają sobie kraje sąsiadów. Wpływowe osobistości pożyczają pieniądze, lecz nigdy ich nie oddają. Bankierzy, skarbnicy, agenci giełdowi, poborcy i wszyscy kupcy, tak wielcy jak mali, nie robią sobie zbytecznych skrupułów. Nie będę mówił o sędziach, bowiem każdy wie, co potrafią. Trzeba jednak przyznać, że sędziowie bardziej od nas są ludzcy: my czasem pozbawiamy życia niewinnych ludzi, a oni niekiedy zdołają komuś je ocalić, nawet zbrodniarzom."

Przekład Juliana Rogozińskiego jak zwykle bardzo dobry. Natomiast duża pretensja do wydawcy: brak nie tylko wstępnej informacji o życiu i twórczości autora, ale także objaśnień niezbędnych dla każdego utworu literatury klasycznej. Niekoniecznie trzeba jechać do Hiszpanii, żeby rozszyfrować hiszpańskie realia. Wystarczyłoby oprzeć się na krytycznym wydaniu M. Bardona i dobrej encyklopedii. Dzięki notom czytelnik mógłby lepiej zrozumieć tekst.

Jerzy Parvi

T E A T R

NA SCENACH WARSZAWSKICH

Wszelkie zasadnicze operacje, dokonywane przez teatr na zamkniętym i dla sceny teatralnej pomyślanym utworze dramatycznym, są sprawą zawsze ryzykowną. Wymagają znacznie większego— niż spotykamy niekiedy ze strony teatru — poczucia odpowiedzialności i mogą być uzasadnione jedynie naprawdę poważną i zrozumiałą przyczyną. Krótko mówiąc — muszą mieć dla wystawianego utworu dramatycznego sens.

Dla przykładu: taki niewątpliwy sens ma opracowanie dramatyczne „Grzechu" Żeromskiego, co wkrótce będziemy mogli ocenić na scenie Teatru Kameralnego.

W poprzedniej kronice natomiast wyraziłem wątpliwość co do celowości „wzbogacenia" przez Teatr Narodowy sztuki Pawlenki „Szczęście" sceną wyjętą z powieści. W obecnym okresie sprawozdawczym Teatr Nowy zrobił rzecz podobną — i również nie dającą się wytłumaczyć żadną ideologiczno-artystyczną przyczyną — z „Pygmalionem" Shawa. Posłużył się mianowicie wersją filmową tej sztuki, wyjmując z niej jedną ze scen — scenę miłosną Elizy z Fredem wraz z dość cynicznymi jej perspektywami. Efekt piorunujący. Nareszcie coś „pikantnego". Scena ta—zupełnie w swym kształcie obca atmosferze i logice sztuki, dopisana później, a do tego jeszcze odarta z tych wszystkich akcesorii filmowych, które w obrazie filmowym tonowały ją, zachowując ironiczny uśmiech autora — zazgrzytała w spektaklu teatralnym taką wulgarnością i takim w rezultacie „zafałszowaniem" Shawa, że przykro było patrzeć.

Nie potrzeba tu chyba powtarzać tych wszystkich argumentów i postulatów, które tak dobrze powinniśmy już znać i o których nie wolno w działalności praktycznej zapominać. Jest rzeczą jasną, że nasz teatr dzisiejszy musi swą praktyczną działalnością wyrazać zgoła inny stosunek do poważnych tradycji i do wielkich pisarzy niż lekkie teatrzyki burżuazyjne.

✱

W tymże Teatrze Nowym pokuszono się o nową inscenizację „Dam i huzarów" Fredry. Jej „nowość" miała polegać — jak się wydaje — na tym, aby odejść od przesadnie groteskowego rysowania postaci, aby postaci te nie „karykaturować" według dotychczasowej konwencji, ale właśnie uczynić je zwyczajnymi i typowymi dla ich epoki. Założenie głęboko słuszne, mogące wydobyć realizm utworu i dzięki temu wyostrzyć żądło społecznej i obyczajowej satyry.

Niestety jednak realizacja całego przedstawienia — zarówno rozpracowanie reżyserskie jak i gra aktorów — nie stanęła na wysokości wynikających z tego założenia zadań. Przede wszystkim popełniono szereg istotnych i jaskrawych niekonsekwencji. Nie można walczyć o realizm — i jednocześnie wprowadzać pantomiczne sceny zbiorowe, które zupełnie sytuację odrealniają, nie mówiąc już o ich szablonowej i płytkiej zdawkowości. Ale nie tylko dlatego przedstawienie dało w sumie obraz niezdecydowany i blady. Aktorzy oderwali się wprawdzie — w myśl przypuszczalnych założeń — od farsowej groteskowości w budowaniu postaci, na ogół nie umieli jednak stworzyć typów dostatecznie żywych i prawdziwych. W tej sytuacji — dalecy zarówno od gro-

teski jak i od realizmu — po prostu zawiśli w powietrzu.

Jednej Ćwiklińskiej w roli Orgonowej udało się ową realistyczną typowość postaci osiągnąć. Za to Sojecka postąpiła wręcz odwrotnie: z dotychczas zawsze kłopotliwej i nudnej roli Zofii zrobiła groteskę. Zrobiła ją zresztą świetnie — ale to jeszcze jeden dowód, jak bardzo zawiłymi drogami realizacji przemaszerowała przez tę komedię fredrowską myśl reżyserska.

✸

Teatr Domu Wojska Polskiego wystawił sztukę Georgi Mdiwaniego „Ludzie dobrej woli". Jest to sztuka o dużych walorach publicystycznych i wielkim ładunku emocjonalnym. Jak podaje autor — „rzecz dzieje się tam, gdzie możliwa jest wojna". Cała sprawa nawiązuje wyraźnie do pierwszego okresu agresji amerykańskiej w Korei, ale podane uogólnienie podkreśla typowość tamtejszej sytuacji. Sztuka z głęboką uczuciową pasją oskarża imperializm amerykański i demaskuje jego cyniczną taktykę i zaborczość.

Można by postawić sztuce tej pewne zarzuty. Jej bezpośrednio publicystyczny ton doprowadził do zbyt szablonowych — zbyt „plakatowych" — wizerunków amerykańskiego senatora, generała czy lokalnych marionetkowych „ministrów", a niektóre wydarzenia rozgrywające się w „domu przy wielkiej drodze" zbliżały się w ujęciu do sytuacji zbyt melodramatycznych. A jednak mimo to — jasność całej sprawy i jej siła polemiczna wywołuje duże wrażenie. Dzieje rodziny chłopskiej i poszczególne, wymownie zróżnicowane postaci mieszkańców wioski przy drodze strategicznej — ujęte zostały tu w sposób głęboki i pełny najdotkliwszej prawdy. Jest to utwór całym sercem służący sprawie pokoju i tę rolę swą spełnia.

Reżyseria mogła tu wyrównać pewne niedostatki. A tymczasem raczej je wyjaskrawiła. Wydaje mi się, że nie należało tak podkreślać „plakatowości" postaci wrogiego obozu. Może należało właśnie pokazać ludzi jak najbardziej prawdziwych i zwykłych, a wtedy uprawiana ich rękoma polityka imperialistyczna ukazałaby swe oblicze tym prawdziwiej i ostrzej. Teatr poszedł tu po łatwiejszej linii. Przedstawiciel ONZ stał się figurą tylko groteskową. A przecież to, co robi, jest wyrafinowanym przestępstwem.

✸

Teatr Powszechny wystawił w ramach Festiwalu Współczesnych Sztuk Polskich sztukę pt.: „Awans" — debiut sceniczny Wandy Żółkiewskiej. Z satysfakcją zanotować tu trzeba, że sztuka jest śmiała w postawieniu problemu, jako całość pełna szczerej dynamiki ideologicznej i prawdziwie interesująca — pomimo wszystkich swych błędów, dotyczących niektórych wątków, niektórych postaci, czy niektórych scen. Słabo wypadłby ów „awans", gdyby wyrażał się tylko niepewnie ustawioną i niezbyt konsekwentnie przesuwaną poprzez cztery akty postacią Brzozy — robotnika mianowanego dyrektorem fabryki przemysłu metalurgicznego. Właściwy „awans" ukazany w tej sztuce — to zespołowa zwycięska walka ze starymi obciążeniami w świadomości, to dorastanie tej świadomości — zatrzymanej u niektórych robotników na szczeblu „ślepego" umiłowania swojej fabryki — do nowych, szerokich, ogólnokrajowych zadań Planu Sześcioletniego. Dwa pierwsze akty ciągną się dalej leniwo, pełne niepotrzebnych dłużyzn ekspozycyjnych i niezbyt trafnych scen. Ale dwa dalsze akty odsłaniają niewątpliwy talent sceniczny autorki. Dyskusja na posiedze-

niu egzekutywy organizacji partyjnej w akcie trzecim rozwija się z gwałtowną i głęboką siłą dramatyczną. Tu następuje starcie upartej starej świadomości z rodzącą się nową. Akt czwarty ukazuje kulminacyjny punkt konfliktu, rozszerzonego już na teren całej fabryki, który w rezultacie przyspiesza proces dojrzewania do nowych zadań i przynosi ostateczne zwycięstwo nowej postawy wobec tych zadań, przynosi „awans" świadomości. To jest w tej sztuce najistotniejsze i to — ponad wszelkie niedomagania — decyduje o jej sile ideologicznej.

✱

Drugą z kolei pozycją Festiwalu w omawianym okresie była sztuka Jana Rojewskiego pt. „Tysiąc walecznych", wystawiona na scenie Teatru Narodowego. W przeciwieństwie do poprzedniej pozycji nie mieliśmy tu do czynienia z debiutem scenicznym autora, jak informował publiczność niedbały recenzet Expressu Wieczornego. I przy tej okazji warto tu wytknąć — dla dobra sprawy — ów szkodliwie lekceważący stosunek niektórych recenzentów pism codziennych do nowej dramaturgii polskiej. Zamiast pokusić się o ostrą chociażby ale poważną i kostruktywną krytykę — nieodpowiedzialni recenzenci (nie pamiętając, że ich „osądy" docierają do setek tysięcy czytelników) beztrosko stosują sobie łagodzony tu i ówdzie protekcjonalną pobłażliwością schemat: postaci dramatu oczywiście „papierowe", konflikt oczywiście „sztuczny", a autor niewątpliwie nauczy się czegoś na błędach tej swojej pierwszej sztuki. Jest to schemat wygodny. Aby według niego napisać recenzję można w ogóle nie trudzić się oglądaniem sztuk i zastanawianiem się nad ich treściami.

„Tysiąc walecznych" jest jedną z trzech sztuk autora, wystawionych przez nasze teatry w ciągu ostatnich paru lat. W kronice niniejszej nie miejsce na gruntowną analizę utworu. Chodzi o próbę wskazania najistotniejszych wad i najistotniejszych zalet.

Staje się rzeczą coraz bardziej jasną, że nowa tematyka musi zrodzić nową konwencję sceniczną. Cechą charakterystyczną całej naszej najnowszej dramaturgii — objętej odbywającym się Festiwalem — jest poszukiwanie tej nowej konwencji z większym lub mniejszym powodzeniem.

Słabą stroną „Tysiąca walecznych" nie jest wcale „papierowość" postaci. Postaci w tej sztuce — inżynierowie, technicy, robotnicy budowlani i ich rodziny — są na ogół właśnie bardzo bezpretensjonalne, bezpośrednio ludzkie i żywe. Zagadnieniem dla krytyki jest tu zupełnie co innego. Mianowicie w jaki sposób konflikt moralny — konflikt pomiędzy wiarą i niewiarą w „nowe", czyli krótko mówiąc w socjalizm — znajduje swe sceniczne uzewnętrznienie. Czy wybrana tu sprawa konkretna, wybrane tu zdarzenie, wybrana tu „konwencja" sceniczna — wiara i niewiara w wytrzymałość stropu o racjonalizatorsko zmniejszonym uzbrojeniu— zdolna jest ukazać ów konflikt moralny, konflikt ideologiczny w sposób właściwy i dostatecznie pełny? Wydaje mi się, że autor nie znalazł dość silnie przekonywających proporcji. Konflikt pomiędzy „starym" i „nowym" — nurtujący postaci tej sztuki — jest wyraźnie głębszy i większy niż sprawa jednego stropu. Czyżby konserwatywnemu i raczej niechętnemu nowej rzeczywistości społecznej (jak to cały tekst pokazuje) inżynierowi wystarczyła jedna lokalna afera ze stropem, aby od razu stanąć po stronie socjalizmu?

Wątpliwe. Nie dość trafnie znaleziony pryzmat konfliktu ideologicznego, nie dość trafnie znaleziona konwencja sceniczna dla wyrażenia tego konfliktu.

Natomiast niewątpliwą wartością sztuki jest pokazanie żywych ludzi na prawdziwej budowie, odsłonięcie spraw, obok których przechodzimy codziennie idąc ulicą, oddzieleni od nich parkanami okalającymi place budowy. „Tysiąc walecznych" silnie działa na widownię swoją barwnością i humorem, żywą i optymistyczną atmosferą budownictwa socjalistycznego. Antagonizmy nie są ustawione tu mechanicznie, szablonowo — wynikają rzeczywiście z podstaw moralnych i ideologicznych, a nie (jak to się często w naszej dramaturgii zdarza) z różnicy wieku czy zajmowanego stanowiska. Pokazuje to szczególnie postać profesora, znakomicie ujęta talentem i doświadczeniem aktorskim Brydzińskiego.

*

Teatr Syrena swym widowiskiem rewiowym przynosi tyleż uśmiechu widowni, co kronikarzowi kłopotu. Należy bezsprzecznie uznać zarówno dobre zamiary tego teatru — zamiary przełamania złych tradycji rewii bez wyrzekania się tego bezpośrednio działającego humorem, poezją czy satyrą gatunku widowiska — jak i celność niektórych pozycji programu. Na pewno świetny jest zespół taneczny Sadurskiego w obrazie „PDT". Świetna i dowcipna jest „Carmeniada" w swej politycznej satyrze. Pełna humoru jest piosenka „O jednym Ignacym Pliszcze". Przezabawna satyra na warszawskie trudności mieszkaniowe w skeczu „Wariat" — znakomicie wydobyta została grą Dymszy i innych. Ale jednocześnie teksty piosenek tegoż Dymszy w numerze „Fortepian i plotki" były zupełnie nie do zniesienia, pełne najgorszych tradycji rewii przedwojennej, tych tradycji, które w poprzednim punkcie programu próbowano równie nieudolnie wykpić. Podobno na miejsce „Fortepianu i plotek" teatr przygotowuje już inny tekst. Jest to bardzo wskazane. Nierówny poziom i bardzo nierówna wartość polityczna tekstów satyrycznych zaciążyła niekorzystnie na znaczeniu całości widowiska.

A najmocniej zaciążył sam układ programu. Przypadkowy, wbrew ogólnemu tytułowi rewii — bez wyraźnej linii przewodniej. Kolejne pozycje nie narastają w określonym kierunku, ale zbyt często właśnie osłabiają się nawzajem. Tworzą „zbieraninę" — zamiast logicznej budowy, która służąc jednemu wyraźnemu celowi przełamałaby rzeczywiście złe tradycje mieszczańskich widowisk rewiowych. Rewia „Planie dobrodzieju!" jeszcze tych tradycji nie potrafiła przełamać do końca.

Juliusz Żuławski

ALCEST, PRZYJACIEL LUDZI

(Z okazji wystawienia w Katowicach „Mizantropa" Moliera)

I

W twórczości Moliera M i z a n t r o p zajmuje pozycję odrębną. Oczywiście, jest dziełem na wskroś molierowskim, nici różnych spraw i myśli skupiają się w tym utworze. Ale jest w tym arcydziele jeszcze i coś innego, nowego, niepodobnego, jakby wyższe piętro, z którego możemy odkryć nie przeczuwane perspektywy.

Spróbujmy to bliżej wyjaśnić. Dwa główne kierunki twórcze można uwydatnić w teatrze Moliera. Pierwszy z nich to świadoma dążność do wywołania śmiechu, drugi — to instynkt polemiczny. Humorystą i polemistą jest

Molier prawie zawsze. Wiemy, iż teatr jego sięga korzeniami w dawną ludową farsę francuską, farsę jarmarczną z jej wszelakimi gierkami i sztuczkami, *bastonadami*, (tzn. okładaniem kijem i błazeństwami, *boniments* czyli nabieraniami, których tradycje odnowiły potem kabarety na Montmartre, gdzie komizm polega często na drapieżnej werwie, z jaką konferencier bierze na kawał i wyśmiewa każdego z wchodzących gości). Jest rzeczą pewną, że Molier chodził jako dziecko zarówno na widowiska farsowe, w teatrze Hôtel de Bourgogne, jak i na spektakle jarmarczne na halach paryskich czy koło Nowego Mostu, gdzie występowali komendianci, wesołkowie, błazny, marionetkarze a nawet i... wyrywacze zębów.

Wpływ tej farsy na komediową twórczość Moliera jest niemały. Nadaje on jej czasami akcent brutalny i okrutny, przykry dla dzisiejszego widza, jak np. efekty komiczne w Szelmostwach Skapina ze sceną okładania kijami starca ukrytego w worku. Śmiech był zresztą tak dalece stałą dewizą Moliera, że niekiedy komediopisarz dosięgał nim samego siebie i to nie tylko w farsach, ale i w poważniejszych, bardzo osobistych komediach. „Kto śmieje się z innych — mówi jedna z postaci w Szkole żon — „musi się spodziewać, iż będą się śmiali także i z niego samego". Dlatego to Molier jakby pragnąc uprzedzić w tej komedii cudzy śmiech, ukazuje sam, z bezlitosnym zuchwalstwem, komizm swych własnych domowych nieszczęść. A co najdziwniejsze, suchotnik Molier, żyjący z nieustanną myślą o swej własnej śmierci, potrafił w ostatnich miesiącach napisać utwór wesoły, lekki i optymistyczny, jakim jest Chory z urojenia, tak iż molierzystka francuska, prof. Micheline Billet, nie bez racji widzi w tej komedii „triumfalny, radosny, żywiołowy wybuch śmiechu, którym Molier pożegnał swe życie i powitał śmierć."

Ta nuta świadomej komediowości brzmi u Moliera bardzo wyraźnie. Lecz nie słyszeć u niego innych tonów, znaczyłoby nie rozumieć go wcale; znaczyłoby krzywdzić go i umniejszać. Jest w pierwszym akcie Świętoszka słynna scena, w której Orgon, powróciwszy do domu po kilkudniowej nieobecności, rozpytuje Dorynę. Dziewczyna opowiada o swojej pani i o prześladującym Elwirę bólu głowy. Orgon słucha z roztargnieniem i raz po raz wraca do najbardziej zajmującego go tematu, do Tartuffe'a. Nazwisko szalbierza czterokrotnie powraca jako przedmiot pytań i czterokrotnie Doryna z lekceważeniem mówi o znakomitym stanie zdrowia, o dobrym apetycie, o wesołości Świętoszka. Za każdym razem subretka chce porzucić ów temat i wrócić do spraw ważniejszych. Za każdym razem Orgon słucha tylko wiadomości o obłudniku, a na wszelkie zapewnienia, że się tamtemu doskonale wiedzie, reaguje okrzykiem litości i sympatii — „Biedaczek!" Ta scena, tak wyrafinowanie komiczna, dowodzi jednak, że dowcip Moliera był, przynajmniej w najlepszych utworach — zarazem narzędziem walki. Obnażał najsłabsze punkty przeciwnika, w które wielki polemista uderzał. Przeciw przywilejom urodzenia walczy Molier w Don Juanie, w Grzegorzu Dandin, w Amfitrionie, w Natrętach, w Improwizacji w Wersalu; przeciw obłudzie w Świętoszku i częściowo w Don Juanie; przeciw snobizmowi dorobkiewiczów w Mieszczaninie szlachcicu; przeciw nadętości prowincjonałów w Panie de Pourceaugnac; przeciw

brutalnemu egoizmowi mieszczucha-posiadacza w Skąpcu; przeciw złemu wychowaniu w Szkole żon; przeciw fałszywej medycynie w niezliczonej ilości fars i komedii, od Latającego lekarza aż do Chorego z urojenia (on, który musiał patrzeć bezsilnie na swe własne powolne konanie; on, który od mistrza swego, filozofa Gassendiego, dowiedział się o prawie krążenia krwi odkrytym przez Wiliama Harveya w r. 1600, i który z rozpaczą usłyszał, że ten sam Gassendi zmarł z powodu... pięciokrotnego puszczenia krwi!); wreszcie przeciw fałszywej wiedzy, opartej na schematach bezkrytycznego dogmatyzmu buntuje się Molier w Uczonych białogłowach.

Widzimy, jak polemiczny i bojowy jest teatr Moliera. Nie zapomina on nigdy, że zadaniem jego teatru jest bawić, zajmować, rozśmieszać, czarować widownię; w pewnych utworach jest to jedynym wyraźnym zamiarem pisarza. Ale tylko w pewnych. Tymczasem silna domieszka komiczności zasłoniła wielu współczesnym i dzisiejszym krytykom istotne oblicze molierowskiej twórczości. Niektórzy molierzyści francuscy odmawiają Mizantropowi głębszego sensu, zarówno filozoficznego jak i społecznego; za komiczną uważają nawet walkę Alcesta przeciw złym sądom, korupcji i obłudzie; biorą dosłownie ironiczny oczywiście podtytuł komedii Mizantrop czyli „żółciowy kochanek" — i jako argument przytaczają moment rzekomo naukowo ważki, a tak przecież nieistotny, że Molier grywał w swych utworach role przede wszystkim komiczne, i że właśnie w Mizantropie objął rolę Alcesta.

A przecież nie dostrzegać w teatrze Moliera głębokiego instynktu walki o lepszy porządek na świecie jest taką samą ślepotą, jak zaprzeczać temu teatrowi praw do żywiołowego śmiechu. By to wykazać wystarczy przytoczyć scenę 7 aktu IV Don Juana, która w ówczesnych warunkach musiała zabrzmieć wręcz rewolucyjnie. „Powiedz mi, czy masz prawo czerpać z urodzenia jakikolwiek powód do chluby?... Dowiedz się, że szlachcic, który żyje źle, jest potworem przyrody, że cnota stanowi pierwszy tytuł szlachectwa, że bardziej patrzę na czyny niż na nazwisko i że wolę syna tragarza, jeśli jest człowiekiem uczciwym, niż syna monarchy, który by był taki jak ty!"

II

Ustawiwszy w ten sposób elementy molierowskiego teatru, możemy teraz spojrzeć na Mizantropa. Czy jest w tym utworze wyraźna dążność do rozśmieszenia i rozbawienia widzów? Istnieje niewątpliwie! Widać to np. w wybornym epizodzie z Ergastem (czyli baskiem), który jak to słusznie uwydatnił reżyser katowickiego przedstawienia, Roman Zawistowski, wnosi w sztukę akcent *comoedii dell'arte*. Ale ponadto, i co ważniejsze, ostrze humoru tej komedii kieruje się wyraźnie — przeciw potężnej klasie społecznej, przeciw dworskiej szlachcie, markizom. Molier ma tu odwagę wyśmiewania nie słabych, ale silnych; odwagę nie tylko cywilną, ale — można by rzec — także i fizyczną. Pisał przecież w dobie, gdy złota młodzież umiała dla zabawy okładać kijami do krwi aktorów schodzących ze sceny; gdy arystokrata, De La Feuiallade, głośno wykrzykiwał na dworze, że chce Moliera zabić; gdy inny panek, spotkawszy wielkiego pisarza na ulicy, przycisnął go z rzekomym wylewem serdeczności do piersi po to tylko, aby mu poranić twarz ostrymi guzami

swych klejnotów. Pyszałek i grafoman Oront jest śmieszny; śmieszni są dwaj szlachcice, Akast i Klitander; śmieszna nawet i Celimena, po uszy pogrążona w atmosferę plotek, obmów i intryg; śmieszny Filint, tak układny i kompromisowy, że przypomina chwilami szekspirowskiego Poloniusza, którego twórca Hamleta tak ostro ocenia.

Wreszcie śmieszna jest oczywiście obłudnica i plotkarka, Arsena, źle pokrywającą swą zawiść, fortele miłosne i żądze maską purytanizmu i oburzenia. Śmieszna jest Elianta, która mimo pozorów bezinteresowności i godności należy do całego tego świata plotkarzy i marnych inteligencji; należy ciałem i duszą, interesuje się Alcestem tak długo, póki wierzy jeszcze w jego gwiazdę, wyśmiewa w słynnym monologu aktu II miłosne uniesienie Alcesta; ale wszystko to czyni na zimno, bez śladu głębszego zaangażowania uczuciowego i widząc ostateczną klęskę Alcesta nagle zmienia front, by oddać rękę obłudnemu a podstępnemu Filintowi. (Dowcipnie zauważył Władysław Woźnik, że Elianta zaraz po ślubie lub owdowieniu stanie się nową Celimeną, a nieco później, na starość będzie kubek w kubek podobna do Arseny). Śmieszna jest wreszcie reszta środowiska owej paryskiej szlachty dworskiej, którą poznajemy z plotek Celimeny i markizy w II akcie, a także z rozmowy Filinta z Alcestem w I scenie aktu pierwszego.

(Wydaje się, że nie bez racji wprowadza tu Molier pośrednio całe dalsze grono przedstawicieli wyśmiewanej przez siebie klasy, jakby chciał wyraźnie zaznaczyć, że nie chodzi mu o zjawiska indywidualne, tylko społeczne, typowe).

W kogo więc godzi satyra Mizantropa, tak cięta i zuchwała? Aż dziw bierze, że niektórzy komentatorowie nie dostrzegali tak oczywistego zjawiska i uważali, że śmieszny jest przede wszystkim właśnie wolny od chorób swego środowiska — Alcest. Widzimy tu, jak mocno splatają się ze sobą w Mizantropie dwie sprawy: komizm i polemika, zabawa i walka.

III

Trzeba pamiętać, że Molier pisał Mizantropa w r. 1666 tj. w początkach panowania Ludwika XIV, pięć lat po śmierci wszechładnego ministra, kardynała Mazarin, i po objęciu władzy osobiście przez króla. W chwili pisania Mizantropa system władzy Ludwika XIV cieszył się jeszcze w pewnej części społeczeństwa — względną popularnością. Ludwik był zręcznym taktykiem, który umiejętnie rozdzielał ukłony, uśmiechy, łaski, godności, dary i kary. Zastanówmy się, jaki jest głębszy sens satyryczny, polemiczny i bojowy Mizantropa. Walka przeciw złemu ustrojowi sądowemu, tak wyraźna w komedii i stanowiąca jeden z jej zasadniczych motywów mogła by na pierwszy rzut oka stanowić echo zmagania władzy królewskiej z parlamentem, której ostatnim etapem — jak pamiętamy — była tzw. Fronda. Walka Moliera przeciw markizom, także mogłaby podobać się królowi, w którego interesie było osłabienie feudalizmu dawnego typu, oligarchicznego, na rzecz nowego: absolutystycznego. Czyby więc Molier był narzędziem w rękach króla, a jego Mizantrop jednym ze zręcznych aktów prokrólewskiej propagandy?

Pewne pozory popierają takie rozumowanie, ale jednak — tylko pozory. Trudno nie dostrzec, że ponad głowami markizów i parlamentów godzi wielki pisarz w same podstawy ustroju, w zasadę urodzenia zastępującego wartość osobistą i w przekonanie o statystyczności, o doskonałości, o niezmienności i celowości tego ustroju. Czytamy u Sainte Beuve'a, jakie znaczenie miał na dworze Ludwika XIV ceremoniał dworski,

jak wielką wagę przywiązywał sam król do odcieni ukłonów, które dawkował wedle ustalonej tabeli, zależnie od tytułu, herbu i urodzenia; więc uderzyć nas musi powiedzenie Alcesta, że nienawidzi „tonów, jakie mają ci istni handlarze ukłonów". Zważmy dalej, że walka, jaka się toczy o sonet Oronta, ma znaczenie nie tylko literackie, ale i polityczne. Oront ma potężne wpływy na dworze, może je wykorzystać, aby uwięzić czy zgubić Alcesta. Czyż przykład Oronta wykorzystującego swe wpływy dla uspokojenia prywatnej żądzy zemsty nie jest krytyką stosunków dworskich? W czasie dyskusji w Katowicach nad Mizantropem przytoczył dyr Woźnik przekonywający argument na dowód, że satyra Moliera w Mizantropie godziła także i w króla: mianowicie słowa Alcesta ze sceny siódmej aktu drugiego.

„— Póki sam król dekretem swym mi nie nakaże, abym uznał za dobre te wierszydła wraże..." Czyż nie są wymowne słowa Alcesta, który chce uciec na pustynię od „waszego błota" („waszego" mówi tu Mizantrop, nie czyniąc żadnego wyjątku, a więc potępiając całe środowisko, całą klasę, cały system i całą myśl zasadniczą tego ustroju). Aby dobrze zrozumieć ową ucieczkę na pustynię, którą Mizantrop od początku zapowiada i do której tęskni, trzeba pamiętać, że słowo „pustynia" znaczyło po prostu — prowincję, wieś. Dwór królewski i Paryż dla całego świata pokazanego w Mizantropie był tak samo jak dla jednej z postaci w Pociesznych wykwintnisiach — „wielkim ogniskiem cudów, stolicą dobrego smaku i wszelkiego życia umysłowego".

Jest rzeczą b. charakterystyczną, że Alcest wtedy się ostatecznie zraża do Celimeny, gdy ta zepsuta kobieta odmawia swej ucieczki na pustynię, tzn. oderwania się od Paryża i spojrzenia w oczy prawdziwemu, nieskorumpowanemu i niezdegenerowanemu życiu. Słowa „le monde", które Boy tłumaczy „świat, ludzkość" znaczyły w ówczesnym sensie zupełnie co innego: były synonimem świata dworskiego, arystokratycznego, feudalnego. Uciec od świata znaczyło — wyraźnie wypowiedzieć się przeciw panującemu ustrojowi. Ostatnie słowa Alcesta, tęskniącego „do odległej na świecie ustroni, gdzie uczciwym człowiekiem być mi nikt nie wzbroni" są ostatecznym podsumowaniem i najmocniejszym podkreśleniem społecznego sensu Mizantropa. Alcest zrywa ze swym środowiskiem, jak sam Molier w młodości zerwał w sposób nieoczekiwany i na pozór niewytłumaczalny ze swą sferą bogatego mieszczaństwa, które było już prawie na pograniczu szlachectwa (w Mieszczaninie szlachcicu potępił pisarz indywidualne uszlachcanie plebejuszy). Wydaje mi się, że niepodobna inaczej wyjaśnić zadziwiającej decyzji Moliera, by się zdeklasować, skazać na tułaczkę, nędzę, poniewierkę, poniżenia, upokorzenia i szykany, z jakimi się wiązała ówczesna sytuacja aktora — a w dodatku także wyrzec się własnego nazwiska, przybrać stan cywilny zmarłego niedawno przedtem lichego pisarzyny, wyrzec się adwokatury, zamożności, poważania.

IV

Ale tu już dotykamy następnego zagadnienia: czy prawdą jest, że Mizantrop, tak molierowski w każdym calu, zawiera jeszcze coś innego niż wszelkie pozostałe sztuki wielkiego pisarza, coś co zapewni utworowi odrębne i niezwykłe miejsce nie tylko w literaturze, ale i w dziejach europejskiej myśli? Wydaje mi się, że takim właśnie czynni-

kiem jest osobowość Alcesta, jego postawa, jego bunt i jego walka. Czym różni się Alcest od tylu innych molierowskich postaci? Głębokim instynktem sprawiedliwości. Zważmy już samo natężenie jego uczuć, wysokość ideału ludzkiego, jaki głosi. Gdy Filint w pierwszej scenie mówi o łączących ich węzłach najściślejszej przyjaźni, Alcest wybucha:

Ja twoim przyjacielem? Pozbądź się tej myśli
Byłem nim dotąd, prawda, byłem sercem całem,
Lecz odkąd twą prawdziwą istotę przejrzałem,
Odtąd znam fałsz, zgniliznę, co duszę twą toczy,
Kwita z przyjaźni; nie chcę widzieć cię na oczy.

Jeszcze mocniej wypowiada Alcest swój ideał przyjaźni w scenie z Orontem:

...Przyjaźń jest uczuciem nad wyraz wstydliwym
I znieważa tę serca mieszkankę dostojną,
Kto skarby jej rozrzuca dłonią nazbyt hojną...

Z tego samego źródła wynika — choć brzmi to paradoksalnie — miłosne uniesienie Alcesta wobec Celimeny. Alcest jasno widzi błędy młodej wdowy, ale zarazem jest oczarowany niezwykłą jej osobowością, jej inteligencją, zdolnością argumentacji, bogactwem duchowym. Skorumpowanie Celimeny przez otoczenie dworskie jest na pewno jednym z motywów podjętej przez Alcesta walki. Ale ten język, którym przemawia do ukochanej, zwłaszcza w akcie IV, jest akcentem nowym w literaturze, akcentem niezwykłym, chciałoby się rzec — prawie romantycznym. „Wzruszeń moich czy zdołam być panem?“ „Ten cios, co mnie śmiertelnie zranił z ręki twojej, ostatniej mnie w rozsądku pozbawił ostoi“. „Och, jakże dobrze umiesz używać w potrzebie tej słabości bermiernej, jaką mam dla ciebie“. „Lecz dobrze, niech się moje przeznaczenie spełni“. Dopiero 11 lat później równie namiętne i palące słowa, ale w sposób mimo wszystko bardziej transponowany i pośredni, wypowie Racine w Fedrze (1677). Odkrywamy tu w Mizantropie nowego Moliera: poetę preromantycznego, poetę namiętnych uczuć i płomiennej szczerości.

Potrzeba prawdziwej przyjaźni i namiętny instynkt miłości czynią z Alcesta postać niezwykłą, zwłaszcza na tle swej epoki. Innym jego rysem jest miłość prawdy. W świecie konwencji i form dobrze maskowanej obłudy, ploteczek i fałszu, Alcest żywiołowo nienawidzi fałszu. Jak wykazuje scena z Orontem, gotów narazić się na klęski niż ulec przymusowi kłamania. I pod tym względem także jest Alcest postacią niemal romantyczną.

Wiąże się to ściśle ze sprawą literackich ideałów Alcesta. Zwalczając nieszczerość, barokowość, oderwany od życia styl poetycki, przeciwstawia mu Alcest wyraźny swój ideał: piosenkę ludową.

Otóż powrót do ludowości, to znów jakby przeczucie romantyzmu i rola Moliera — zarówno w Mizantropie, jak np. w Uczonych białogłowach czy w Don Juanie, gdzie poeta wypowiada się ostro przeciw literackiej retoryczności, a za językiem ludowym wręcz gwarowym — jest rolą prekursorską. Znamienne, że właśnie Alcest, walczący z ustrojem feudalnym, walczy równocześnie o powrót do ludowych źródeł natchnienia poetyckiego.

Wreszcie, rzecz bodaj najważniejsza u Alcesta: jego instynkt walki: „Przyjaciel wszystkich ludzi moim więc nie będzie“, mówi

Alcest. To znaczy, że dokonać wyboru, że wierzy w doskonalenie i postęp. „Jednymi gardzę, bo są źli i niegodziwi, innymi, że na podłość ludzką zbyt cierpliwi".

Intencje Alcesta jeszcze wyraźniej niż on sam odgaduje kompromisowy lecz przenikliwy Filint:

„Złość się, jak chcesz, sam jeden świata nie odmienisz".

Więc chodzi o reformę, o naprawę stosunków ludzkich, o zmianę. Ta odpowiedź pada bezpośrednio po wyznaniu Alcesta, że chce do upadłego walczyć z całym światem. Walczyć ze światem, to walczyć o świat. Zerwanie z błędnym solidaryzmem — to walka o istotną ludzką solidarność. Alcest, srogi krytyk stosunków ludzkich jest w istocie przyjacielem ludzi i przyjacielem ludzkości. Czyż trudno się dziwić, że Mizantrop wywarł niezaprzeczalny wpływ na dalszy rozwój rewolucyjnej myśli francuskiej; że jego hasła staną się zawołaniem jakobinów z 1792 roku, że w okresie rewolucji aktor odtwarzający rolę Alcesta kładł na głowę czapkę frygijską, symbol władzy ludowej, że Sainte Beuve w essayu pt. Co to znaczy kochać Moliera? powiedział: „znaczy to oddalić się od owych dusz płaskich i leniwych, które w obliczu krzywdy nie umieją się ani oburzać, ani nienawidzieć".

Jeszcze jedno. W Polsce, w owym 1666 roku, roku premiery Mizantropa, nikt prawie nie znał jeszcze utworów molierowskich. Później, w wieku XVIII, zaczęły powoli przenikać do naszej świadomości narodowej. Już w roku 1774 przełożył Mizantropa na język polski ojciec naszej komedii narodowej, autor Sarmatyzmu i Fircyka w zalotach, Zabłocki. Kilkadziesiąt lat później tanie wydanie Moliera, kupione za kilka franków pod Paryżem, rozpaliło wyobraźnię i wolę pisarską — Aleksandra Fredry. Romantyzm Ballad i romansów, IV i III części Dziadów, a także i ludowej Balladyny, zbliżyć nas mógł do utworu genialnego Francuza. Jednak Mizantrop był raczej mało popularny, grywano go rzadko, komentowano jednostronnie. Nawet Boy dopatrzył się w Filincie niemal reprezentanta molierowskiej myśli. Oddając dziś Mizantropowi sprawiedliwość, grając go po raz pierwszy na scenie robotniczego Śląska, chcieliśmy spłacić ten dług.

W jednej z nowoczesnych sztuk francuskich zbiegają się na wspomnienie Moliera aktorzy jego kraju. Również i aktorzy polscy zbiegali się zawsze na głos tego cudownego twórcy, który wbrew przesądom i najfałszywszym złudzeniom, kazał aktorowi wygłaszać ze sceny prawdę, tylko prawdę, prawdę przenikliwą i odkrywczą, prawdę zarazem burzącą i twórczą.

Wojciech Natanson

NA WIDNOKRĘGU

TEGOROCZNE NAGRODY STALINOWSKIE W DZIEDZINIE LITERATURY

W roku 1950 stanowiącym ważny etap w budownictwie komunistycznym Kraju Rad ludzie radzieccy podsumowali wyniki powojennej pięciolatki stalinowskiej, podsumowali też wyniki pierwszej połowy wieku. Literatura radziecka nie pozostawała w tyle za wspaniałym rozkwitem ojczyzny socjalizmu. Pisarze radzieccy śmiało i bezkompromisowo podejmowali wszystkie żywotne zagadnienia radzieckiej rzeczywistości. Ogłoszona w roku 1950 praca J. Stalina o językoznawstwie stała się podstawą nowej, głębokiej i wszechstronnej analizy języka narodowego. W roku 1950 literatura radziecka również może poszczycić się wielkimi osiągnięciami.

Podsumowaniem osiągnięć literatury jest od lat jedenastu doroczne przyznawanie Nagród Stalinowskich. Z trzystu nadesłanych utworów wydanych w roku 1950 wyróżniono najcelniejsze. Na 173 nagrody w dziedzinie literatury i sztuki — 57 otrzymali literaci: 25 nagród przyznano prozaikom, 14 — poetom, 7 — dramaturgom, 2 — historykom literatury, 9 — autorom scenariuszy filmowych.

Nagrodę Stalinowską I stopnia w dziale prozy artystycznej otrzymali: H. Nikołajewa za bezprzecznie najlepszą powieść roku ubiegłego (o tematyce współczesnej) pt. Żniwa (Żatwa) oraz F. Gładkow za piękną powieść Wolnica z końca XIX wieku, a więc z niedalekiej, lecz jakże odległej przeszłości. Tak więc obok tematyki zaczerpniętej ze współczesnej rzeczywistości radzieckiej — tematyka historyczna.

Żniwa H. Nikołajewej są właściwie debiutem powieściowym młodej autorki, z zawodu lekarki, która chwyciła za pióro w roku 1945. W powieści tej, podobnie jak w całej powojennej beletrystyce radzieckiej, na czoło wysuwa się zagadnienie twórczej pracy jako zasadniczej treści życia, jako źródła czystej radości i wzniosłego szczęścia.

Literatura realizmu socjalistycznego, który „traktuje byt jako działanie" (Gorki), tworzy w duchu humanizmu socjalistycznego. „Humanizm socjalistyczny — definiuje A. Fadiejew — głosi, że dla nas człowiek, który nie przejawia się w działaniu, nie zasługuje na miano człowieka. Nasza najwyższa moralność jest w pracy, nie możemy przedstawiać człowieka w oderwaniu od pracy". (Cyt. z art. Kalinina Praca przekształcająca życie — Zwiezda, Nr 12 1950 r., str. 165).

Jest niewątpliwą zasługą Nikołajewej, że w życiu i losach bohaterów jej powieści na pierwszy plan wysuwa się ta organizująca rola pracy. Z pracą nierozerwalnie zespolone są wszystkie wątki i sprawy powieści: osobiste i rodzinne dramaty, smutki i radości bohaterów powieści, rozwiązanie wszystkich konfliktów, wzrost świadomości socjalistycznej, wreszcie proces dojrzewania i przekształcania człowieka w duchu moralności komunistycznej.

Akcja powieści toczy się w latach 1947/8 w zwykłym kołchozie, którego kolektyw walczy o ponowne zajęcie przodującego miejsca wśród kołchozów rejonu. Ta walka zespołu kołchozowego stanowi główny wątek Żniw: przed czytelnikiem rozwija się, bynajmniej nie nużący, lecz barwny kalejdoskop powszednich spraw kołchozu i kołchoźni-

ków, ich wytężonej pracy i pełnej patosu — walki o urodzaj.

Powieść Nikołajewej stanowi piękny obraz życia kołchozowej wsi radzieckiej; nic więc dziwnego, że w ciągu kilku zaledwie miesięcy osiągnęła wielką poczytność.

Tematykę i zagadnienia kołchozowej wsi radzieckiej ujmuje dalsza część powieści S. Babajewskiego — Światło nad ziemią. W książce tej autor kontynuuje*) dzieje swoich bohaterów — nowatorów rolnictwa socjalistycznego.

Zajmująca powieść A. Kożewnikowa — Żywa woda przenosi czytelnika do dalekiej Chakassji. Głównym motywem tej powieści jest ciężka walka z posuchą oparta na śmiałych, nowatorskich metodach nawadniania gruntów.

Zagadnienie nowatorstwa na innym odcinku życia radzieckiego stanowi główny temat powieści W. Zakrutina pt. Pływająca stanica, (Płowuczaja stanica) osnutej na tle życia i pracy kołchozu rybackiego nad Donem. Bohater powieści, inspektor gospodarki rybnej, Wasyl Zubow, wraz z komunistami i bezpartyjnymi aktywistami, poparty i wspomagany przez Komitet Rejonowy Partii, wciela w życie nowatorskie metody prowadzenia gospodarki rybnej, w szczególności miczurinowskie metody doskonalenia gatunków ryb.

Tematyka pracy kołchozowej występuje również w zbiorku opowiadań Drogami jadą samochody (Po dorogam idut masziny) S. Antonowa. Opowiadania te wiąże w piękną całość motyw nieustannego ruchu naprzód, motyw nieograniczonych możliwości rozwojowych ludzi radzieckich.

*) Światło nad ziemią jest drugą częścią powieści Kawaler złotej gwiazdy.

Tematykę przemysłową omawiają nagrodzone powieści: A. Rybakowa Kierowcy (Woditieli) oraz trylogia uralska A. Karawajewej — Światła (Ogni), Rozpęd (Razbieg), Dom rodzinny (Rodnoj dom). Powieść młodego pisarza, A. Rybakowa, poświęcona jest życiu i pracy kierowców samochodowych: akcja jej toczy się w oddziale państwowego przedsiębiorstwa transportowego na stacji samochodowej. Walka o przedterminowe zbudowanie nowych wielkich warsztatów samochodowych stanowi główny wątek powieściowy.

Autorka trylogii uralskiej: Światła, Rozpęd i Dom rodzinny, Anna Karawajewa, jest pisarką starszego pokolenia. Akcja trylogii toczy się w czasie Wielkiej Wojny Narodowej i obejmuje dzieje fabryki zbrojeniowej ewakuowanej na Ural w groźnych dniach zimowych 1941 r. Autorce udało się odtworzyć patos bohaterskiej pracy kolektywu fabryki i jego walki o produkcję dla frontu. Tom trzeci opiewa dzieje radosnego powrotu załogi fabrycznej do rodzinnego miasta i odbudowy zniszczonej przez okupanta fabryki.

W świat aktualnych zagadnień życia i pracy radzieckiej młodzieży kształcącej się na wyższych uczelniach, wprowadza nas opowieść Studenci, pióra pisarza-debiutanta J. Trifonowa. Akcja toczy się w środowisku słuchaczy Instytutu Pedagogicznego w Moskwie.

Podobnie jak w latach ubiegłych w roku bieżącym Nagrody Stalinowskie otrzymali liczni pisarze narodów ZSRR. W utworach tych również rozbrzmiewa tematyka twórczej pracy socjalistycznej.

W powieści turkmeńskiego pisarza starszego pokolenia B. Kerbabajewa (po raz drugi wyróżnionego Nagrodą Stalinowską) pt. Ajsołtan

z krainy białego złota opisana jest praca i życie w kołchozie uprawiającym bawełnę.

Nagrodę Stalinowską uzyskała też niecodzienna i udana próba opisu kraju, narodu, jego pracy, bytu i osiągnięć — w książce-reportażu pt. W radzieckiej Armenii (Po sowietskoj Armenii). Autorką książki jest znana pisarka radziecka starszego pokolenia M. Szaginian, Ormianka pisząca po rosyjsku.

O pracy i osiągnięciach gruzińskiego kołchozu uprawy herbaty — przed ostatnią wojną — opowiada prozaik gruziński A. Czejszwili w powieści pt. Leło. Ofiarna praca kołchoźników Autonomicznej Tatarskiej SRR w dniach Wielkiej Wojny Narodowej jest tematem powieści tatarskiego pisarza G. Baszirowa; tytuł powieści Cześć.

Bohaterską tematykę Wielkiej Wojny Narodowej wnosi piękna powieść M. Biriukowa, dobrze znana czytelnikowi radzieckiemu i bardzo poczytna Czajka (książka ta od roku 1945 osiągnęła trzydzieści wydań). W Czajce autor odtworzył nieśmiertelną postać bohaterki walki partyzanckiej, młodziutkiej Lizy Czajkinej, która poniosła śmierć z rąk faszystowskich oprawców. Autor opierając się na materiale dokumentarnym, stworzył typową postać komsomołki-patriotki. Partyzancka walka z hitlerowskim okupantem jest również tematem powieści białoruskiego pisarza I. Szamiakina pt. Głęboki nurt (Głubokoje tieczenije). Tematyce wojennej poświęcona jest również powieść młodzieżowa L. Kassila i M. Polanowskiego pt. Ulica młodszego syna, odtwarzająca na podstawie materiału dokumentarnego dzieje i czyny 14-letniego członka oddziału partyzanckiego, Wołodii Dubinina. Nagrodzone — poprawione przez autorów — drugie wydanie tej książki świadczy o wychowawczej sile bolszewickiej krytyki i samokrytyki. Pierwsze wydanie powieści Kassila i Polanowskiego spotkało się w roku ubiegłym z ostrą krytyką w prasie oraz na XIII Plenum Zarządu Związku Pisarzy Radzieckich. Autorzy wzięli sobie do serca tę surową, twórczą krytykę: wykonanie pomysłu literackiego przemyśleli, przerobili i w rezultacie— utwór został nagrodzony. Gdy mowa o krytyce, pragnę zauważyć, że przyznanie Nagrody Stalinowskiej bynajmniej nie oznacza urzędowego stwierdzenia doskonałości wyróżnionego utworu. W pracach i artykułach, omawiających nagrodzone utwory, krytycy literaccy — na równi z podkreślaniem zalet i walorów — wymieniają i wytykają ich słabe strony, niedociągnięcia i braki. Tak np. autorkę Żniw spotkał zarzut, że nie wszystkie postaci powieściowe zarysowała tak mocno, opracowała tak doskonale jak postać głównej bohaterki powieści. Babajewskiemu zarzucono, że w drugiej księdze Światła nad ziemią rozpracował nie dość jasno i przekonywająco pod względem artystycznym niektóre poruszone sprawy i zagadnienia. Pod adresem innych autorów padły inne zarzuty krytyki; bardzo skrupulatnie krytyka radziecka wytyka błędy, niedociągnięcia i brak staranności w opracowaniu języka utworów literackich. Co jest rezultatem takiego systemu pracy krytycznej? Autorzy nadal pracują nad nagrodzonymi utworami, przerabiają je, poprawiają w następnych wydaniach, co, rzecz prosta, przyczynia się do podniesienia poziomu artystycznego literatury w ogóle.

Tematyka rewolucyjnej przeszłości. Wspomniana wyżej Wolnica F. Gładkowa jest dalszym ciągiem Opowieści o dzieciństwie, wyróżnionej Nagrodą Stalinowską w ro-

ku ubiegłym. Pomysł napisania powieści opartej na wspomnieniach dzieciństwa, pomysł odtworzenia koszmarnej przeszłości przedrewolucyjnej podsunął Gładkowowi — A. M. Gorki.

W Opowieści o dzieciństwie Gładkow zobrazował sytuację chłopstwa rosyjskiego w ostatnim dziesięcioleciu ubiegłego wieku: w Wolnicy autor opisał sytuację rosyjskiej klasy robotniczej w tym okresie, odtworzył pierwsze kroki na drodze świadomej walki społecznej w środowisku „wolnych" najemników kapitału — rybaków kaspijskich. Wśród nich właśnie syn biednego chłopa, mały Fedia, spędził wraz ze swą matką rok smutnego dzieciństwa. Nagrodzone powieści Gładkowa są literacką ilustracją stosunków przedstawionych w pracy Wł. Lenina pt. Rozwój kapitalizmu w Rosji.

Tematykę rewolucyjnej przeszłości spotyka się również w innych nagrodzonych utworach prozy: Powieść M. Sokołowa pt. Iskry kreśli dzieje przebudzenia się świadomości rewolucyjnej górników i metalurgów Południa Rosji na przełomie wieku. Zajmująca powieść Sokołowa kończy się opisami pierwszych strajków, demonstracji i starć 1905 roku.

O rewolucyjnej przeszłości Kazania dowiadujemy się z ciekawej książki tatarskiego pisarza, K. Nadżmiego pt. Wiosenne wiatry. Zagadnienie rewolucyjnego przebudzenia się małego narodu Tuwy ujął S. Toka w pierwszym większym utworze prozaicznym napisanym w języku tuwińskim — w powieści Słowo Orata. Rewolucyjna przeszłość i przemiany na wsi ukraińskiej są tematem powieści M. Stelmacha pt. Wielka rodzina (Bolszaja rodnia). Dzieje walk rewolucyjnych ludu litewskiego w latach 1918/19 ujął pisarz litewski A. Gudajtis-Guzjawiczius w powieści pt. Prawda kowala Ignotasa. Szersze tło historyczne obrał dla swej powieści Północna Aurora (Siewiernaja Awrora) pisarz M. Nikitin: bolszewicka flotylla na Dźwinie płn. po bohatersku walczy z anglo-amerykańskimi najeźdźcami w okresie interwencji imperialistycznej na Murmańszczyźnie. W książce występuje m. in. znany podżegacz wojenny, Churchill, który montował wówczas imperialistyczną krucjatę przeciw młodej Republice Rad.

Jeszcze dobitniej, jeszcze mocniej brzmi nuta gniewu przeciwko podżegaczom wojennym w szeregu nagrodzonych utworów o bezpośredniej tendencji antyimperialistycznej. Powieść pisarza azerbajdżańskiego M. Ibrachimowa pt. Nadejdzie dzień (Nastupit dień) demaskuje knowania imperialistów (hitlerowskich, angielskich, amerykańskich) w Iranie w latach 1940/41.

Wyzwoleńczą działalność Armii Radzieckiej w okupacyjnej strefie Niemiec Wschodnich w latach 1945/9 opisuje i wybitnie antyimperialistyczne znaczenie polityczno-społeczne tej działalności akcentuje pisarz ukraiński W. Sobko w powieści pt. Gwarancja pokoju (Załog mira). Oficerowie i żołnierze Radzieckiej Administracji Wojskowej — przedstawiciele socjalistycznej ojczyzny, nosiciele pokoju i wolności narodów — pomogli ludowi niemieckiemu w walce o nowe, demokratyczne Niemcy.

Motyw walki o pokój osiągnął szczególnie mocny wyraz w nagrodzonych utworach poetyckich: W zbiorku wierszy młodego poety ukraińskiego Andrzeja Małyszko (wyróżnionym Nagrodą Stalinowską I stopnia w dziale poezji) brzmi patos walki z imperializmem amerykańskim. Za sinim moriem (tytuł nagrodzonego zbiorku) — to ujęte w piękną poetycką formę wra-

żenia z podróży poety do USA. Patosem namiętnej walki o pokój przepojony jest znany tomik poezji A. Surkowa pt. Światu pokój (Miru—mir).

Nagrodę Stalinowską (po raz trzeci) otrzymał S. Marszak za piękne Wiersze dla dzieci. Trzecim laureatem Nagrody Stalinowskiej I stopnia jest wybitny liryk St. Stipaczew; jego nagrodzony poemat Pawlik Morozow opiewa czyny i śmierć bohaterskiego komsomolca, zamordowanego przez kułaków w okresie kolektywizacji. Temat kolektywizacji ujęty historycznie — od pierwszej powstałej po Rewolucji komuny rolnej do ostatnich osiągnięć kołchozowych — jest przedmiotem pięknego poematu Pierworossyjsk pióra leningradzkiej poetki O. Berghołc. Postać Wł. Lenina opiewają dwaj nagrodzeni poeci: Azerbajdżanin Rasuł Rza (poemat Lenin) i Gruzin G. Abaszidze (cykl wierszy Lenin w Sangori).

Znany poeta S. Kirsanow otrzymał Nagrodę Stalinowską za poemat Makar Mazaj (słynny w swoim czasie stachanowiec, zabity przez hitlerowskich okupantów). Prócz wymienionych uzyskali Nagrodę Stalinowską poeci: Litwin T. Tilwitis, nestor poetów Dagiestanu G. Cadasa, Białorusin P. Browka, Ukrainiec P. Worońko, Ormianin G. Emin oraz poeta maryjski M. Kazakow.

W dziale dramaturgii otrzymali Nagrody Stalinowskie: Gruzin I. Mosaszwili za sztukę Zatopione kamienie, dramaturg moskiewski A. Surkow za Świt nad Moskwą, autor Sądu honorowego za sztukę historyczną o admirale Nachimowie pt. Flag admirała, pisarz ukraiński A. Korniejczuk za komedię Kalinowy gaj, dramaturg białoruski K. Krapiwa i inni.

W dziale krytyki literackiej nagrody otrzymali: D. Błagoj za monografię Droga twórcza Puszkina i W. Orłow za pracę Rosyjscy krzewiciele oświaty w latach 1790—1800".

Józef Spinc

Książki nadesłane

PROZA

Sadriddin Ajni — Buchara. Przekł. z ros. Ludwika Czerwińskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 91 + 3 nlb.

Anna Balazs — Nim przylecą jaskółki. Przekł. z węg. Raoula Porgesa i Moniki Sokolińskiej. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 265 + 1 nlb.

Marian L. Bielicki — Towarzysze walki. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 138 + 5 nlb.

Elfriede Brüning — Tajna radiostacja działa. Przekł. z niem. J. A. i O. Ziemilskich. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 147 + 1 nlb.

Borys Czyrskow — Generał armii. Scenariusz filmowy. Przekł. z ros. Jana Jerzyńskiego. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1950. Str. 85 + 3 nlb.

Janina Dziarnowska — Powieść o Annie. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 230 + 2 nlb.

R. Fraerman — Nikiczen i inne opowiadania. Przekł. z ros. Józefa Brodzkiego. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 253 + 2 nlb.

Sergiusz Gołubow — Bagration. Powieść. Przekł. z ros. Zofii Kaczorowskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 372 + 1 nlb.

Alojzy Jirasek — Studenckie dzieje z dawnych lat. Przekł. z czesk. Niny Zalewskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 143.

Alojzy Jirasek — Na starej poczcie. Przekł. z czesk. Niny Zalewskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 96 + 2 nlb.

W. Iljenkow — Opowiadania. Przekł. z ros. Marii Gero. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 269 + 3 nlb.

Wsiewołod Iwanow — Pociąg pancerny 14—69 Przekł. z ros. Romana Karsta. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 107 + 5 nlb.

E. Junga — **Nieśmiertelny okręt.** Przekł. z ros. Józefa Brodzkiego. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 97 + 3 nlb.

E. Junga — Krążownik „Aurora". Przekł. z ros. Józefa Brodzkiego. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 152 + 7 nlb.

Jerzy Korczak — Trzy spotkania. Spółdzielnia Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 93 + 1 nlb.

Józef Ignacy Kraszewski — Na bialskim zamku. Powieść historyczna z czasów Augusta III, t. I i II. Tekst według wydania z 1883 r. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 328 + 2 nlb.

G. Kublicki — Odkrywcy Antarktydy. Przekł. z ros. Pauliny Brodzkiej. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 157 + 2 nlb.

Aleksander Kuprin — Utwory wybrane, t. I, pod red. Ziemowita Fedeckiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 297 + 2 nlb.

Jean Laffitte — Milczące maszty. Powieść. Przekł. autoryz Hanny Olędzkiej. Wyd. II. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 165 + 1 nlb.

Mikołaj Laszko — Opowiadania. Przekł. autoryz. Zygmunta Robakiewicza.

Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 275 + 2 nlb.

Lew Linkow — Kapitan „Starego Żółwia". Powieść. Przekł. z ros. Józefa Brodzkiego. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 239 + 1 nlb.

Jack London — John Barleycorn. Powieść. Przekł. autoryz. Antoniny Sokolicz. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 229.

Łazarz Łagin — Pancernik „Aniuta". Przekł. z ros. Janiny Dziarnowskiej. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 98 + 2 nlb.

Maria Majerová — Ballada górnicza. Wyd. II. Przekł. autoryz. Jadwigi Bułakowskiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 149.

Jerzy Marek — Nad nami świta. Gawędy górnicze. Przekł. autoryz. Zdzisława Hierowskiego. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 258 + 2 nlb.

P. Pawlenko — Na wschodzie. Fragmenty. Przekł. z ros. Z. Malinowskiej. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 247 + 1 nlb.

Jan Petersen — Nieznani przyjaciele. Opowiadania z niemieckiego ruchu oporu 1933 — 1935. Przekł. autoryz. Krzysztofa Radziwiłła. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 174 + 2 nlb.

Vladimir Pozner — Ostrze włóczni. Powieść. Przekł. autoryz. Marii Kureckiej. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 313 + 1 nlb.

Graciliano Ramos — Zwiędłe życie. Przekł. z portug. Janiny Wrzoskowej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 126 + 1 nlb.

Romain Rolland — Jan Krzysztof. Księga czwarta. Krzak gorejący. Nowy dzień. Przekł. autoryz. Leopolda Staffa. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 462 + 4 nlb.

Anna Seghers — Towarzysze. Przekł. z niem. Wandy Kragen. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 220 + 2 nlb.

Anna Seghers — Siódmy krzyż. Powieść. Przekł. z niem. Marii Wołczackiej i Janiny Mareckiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 407 + 1 nlb.

Anna Seghers — Bunt rybaków z Santa Barbara. Przekł. z niem. Zofii Petersowej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 82 + 1 nlb.

Anna Seghers — Linia. Przekł. z niem. Marii Wirpsza-Kureckiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 60 + 3 nlb.

Czao Szu-li — Piosenki Li Ju-tsaja. Przekł. z tłum. niem. i ang. Jana Stefczyka. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 142 + 3 nlb.

William M. Thackeray — Księga snobów napisana przez jednego z nich. Przekł. Agnieszki Glinczanki. Państwowy Instytut Wydawniczy, Warszawa, 1950. Str. 274 + 1 nlb.

Aleksy Tołstoj — Mroźna noc. Przekł. z ros. Kazimierza Truchanowskiego. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 118 + 2 nlb.

Lew Tołstoj — Wojna i pokój, t. III. Przekł. z ros. Zofii Petersowej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 493 + 2 nlb.

Bodo Uhse — Lustro i inne opowiadania. Przekł. z niem. Gabrieli Mycielskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 141 + 2 nlb.

POEZJA I DRAMAT

Homer — Iliada. Przekł. Franciszka Ksawerego Dmochowskiego. Oprac. Tadeusza Sinko. Wyd. VII ze zmienionym wstępem. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. LXXIII + 388 + 1 nlb.

Tadeusz Kubiak — Ballady i pieśni. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 67 + 3 nlb.

Włodzimierz Majakowski — O Ameryce. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 205 + 1 nlb.

Adam Mickiewicz — Korybut książę Nowogródka (Grażyna). Podobizna autografa ze zbiorów Przeździeckich. Wydał Julian Krzyżanowski. Nakł. Tow. Naukowego Warszawskiego z zasiłku Ministerstwa Szkół Wyższych i Nauki, Warszawa, 1950. Str. 10 + XXXIV + 3 nlb.

Jerzy Pomianowski i Małgorzata Wolin — Faryzeusze i grzesznik. Komedia w czterech aktach. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 111 + 3 nlb.

Konstanty Simonow — Obcy cień. Dramat w czterech aktach. Przekł. z ros. Lidii Zamkow. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950 Str. 123 + 1 nlb.

Z. Skowroński i J. Słotwiński — Załoga. Sztuka w trzech aktach Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 85 + 1 nlb.

Adam Tarn — Zwykła sprawa. Sztuka w trzech aktach. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 62 + 2 nlb.

Adam Ważyk — Nowy wybór wierszy. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 115 + 1 nlb. + 1 portret.

Andrzej Wydrzyński — Salon pani Klementyny. Sztuka w trzech aktach. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 110 + 2 nlb.

STUDIA HISTORYCZNO - LITERACKIE (IBL)

Marian Jakóbiec — Literatura rosyjska wśród Polaków w okresie pozytywizmu. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. 86 + 2 nlb.

Henryk Markiewicz — Realizm krytyczny w twórczości Bolesława Prusa. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. 74.

Pozytywizm, część I. Studia historyczno-literackie pod red. Jana Kotta, tom II. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. 541 + 3 nlb.

Kazimierz Wyka — Teka Stańczyka na tle historii Galicji w latach 1849 — 1869. Studia historyczno-literackie pod red. Jana Kotta, tom IV. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 226 + 2 nlb.

HISTORIA I PUBLICYSTYKA

Jorge Amado — Albania radosna. Przekł z portug. E. Grudy i M. Hołyńskiej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 70 + 1 nlb.

Bohdan Baranowski — Powstanie Kostki Napierskiego w 1651 r. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1951. Str. 86 + 2 nlb.

R. Palme Dutt — Kryzys imperializmu brytyjskiego. Przekł. z ang. Janusza Wilhelmi. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 235 + 2 nlb.

Ilja Erenburg — Notatki z 5-ciu krajów. Przekł. z ros. Joanny Poraskiej. „Prasa Wojskowa", Warszawa, 1950. Str. 54 + 2 nlb.

Grzegorz Jaszuński — Narodziny Chin Ludowych. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 245 + 3 nlb.

Korea walczy. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 106 + 3 nlb.

W. Kowyżenko — Korea. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 30 + 2 nlb.

Bogusław Leśnodorski — Dzieło Sejmu Czteroletniego (1788—1792). Studium historyczno-prawne. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1951. Str. 473 + 2 nlb. z ilustr.

Włodzimierz Majakowski — O Ameryce. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 205 + 1 nlb.

Janina Weissowa — Kobiety polskie w obronie pokoju. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 38 + 2 nlb. z fotografiami.

Bronisław Wiernik — Wall Street napada na Koreę. „Książka i Wiedza", Warszawa, 1950. Str. 38 + 2 nlb. z mapą.

PAMIĘTNIKI, BIOGRAFIE, LISTY

K. Bajew — Twórcy nowożytnej astronomii — Kopernik, Bruno, Kepler, Galileusz. Przekł. z ros. „Nasza Księgarnia", Warszawa, 1950. Str. 109 + 2 nlb.

Jan Nepomucen Janowski — Notatki autobiograficzne 1803—1853. Przygotował do druku, wstępem i przypisami zaopatrzył Marian Tyrowicz. Wydawnictwo Zakładu Narodowego im. Ossolińskich, Wrocław, 1950. Str. XXXII + 629 + 3 nlb. z ilustr.

Zachar Kijaszko — Na ziemi kubańskiej. Przekł. z ros. Haliny Ołomuckiej. Biblioteka Żołnierza. Seria III. Opowiadania o walce i pracy. Wydawnictwo Ministerstwa Obrony Narodowej, Warszawa, 1951. Str. 132 + 5 nlb.

Kobiety nowej Polski — „Książka i Wiedza", Warszawa, 1951. Str. 226 + 2 nlb.

REPORTAŻE

Jacek Wołowski — Notatki z podróży do Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Spółdz. Wyd.-Oświat. „Czytelnik", Warszawa, 1950. Str. 45 + 2 nlb.

SPIS TREŚCI:

Str.

Zbigniew Bieńkowski: Narodowy Plebiscyt Pokoju . . 3

Leopold Infeld: Drogi i bezdroża nauki 6

Mieczysław Jastrun: O moim kraju. Do Ibrahima Gadżijewa 13

Jerzy Ficowski: Twórczość. Piorunochrony. Wielki tydzień. Piosenka, którą śpiewam tobie 15

Leopold Lewin: * * * 19

Kazimierz Brandys: Akcja w Kaleniu 20

Bohdan Czeszko: Pokolenie 51

Jerzy Piórkowski: Nasze życie. Akt I 92

Wadim Szefner: Nad pustynią — przeł. Zbigniew Bieńkowski 104

Wiktor Woroszylski: W walce o literaturę Polski Ludowej . 106

Z poezji Machtumkulego (Fragi): Niezniszczalne; Na obczyźnie; Odpowiedź — odpowiadamy; A braci nie ma — przeł. Jan Brzechwa . . 133

POLEMIKA: Wiktor Hahn: Słowacki czy Pietrzycki? 138

Z SEKCJI PROZY ZLP: Ryszard Matuszewski: Na Śląsku rosną nowi ludzie 139

WŚRÓD KSIĄŻEK: Leszek Herdegen — Teodor Bujnicki „Wybór wierszy"; Jerzy Pytlakowski: Jorge Amado; Ludwik B. Grzeniewski — Aleksander Fadiejew „Klęska"; Jerzy Parvi — Alain René Lesage „Przypadki Idziego Blasa" . . . 147

TEATR: Juliusz Żuławski: Na scenach warszawskich. Wojciech Natanson: Alcest, przyjaciel ludzi 163

NA WIDNOKRĘGU: Józef Spinc 173

KSIĄŻKI NADESŁANE 178

Wydawca: R. S. W. Prasa

Redaktor Naczelny: Adam Ważyk

Adres Redakcji: Warszawa, Wiejska 16, tel. 734-65 centr. 401-80/90 wewnętrzny 22

Administracja: Wiejska 12

Prenumerata i kolportaż: PPK „Ruch" Oddz. w W-wie, ul. Srebrna 12. tel. 804-20 do 25

Wpłat na prenumeratę można dokonywać Pl. 3 Krzyży 16. Chmielna 25.

Cena zeszytu zł. 3.60. Prenumerata kwartalna zł. 10.80, półroczna — zł. 21.60.

Rękopisów nie zamówionych redakcja nie zwraca.

D.S.F
21

CENA zł 3.60